ŚWIATŁO

Pismo poświęcone nauce i rozrywce.

WYDAWCA I REDAKTOR:

Ks. MARCELI DZIURZYŃSKI

ROCZNIK III. TOM II.

ZA DRUGIE PÓŁROCZE 1911 ROKU.

KRAKÓW. – NAKŁADEM WYDAWCY.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

SPIS RZECZY.

Rocznik III. Kraków 1-go lipca 1911. (Półrocze II-gie) Nr. 1.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok:** **4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok: **5** kor. — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie ul. Powiśle 12.

Od wydawnictwa.

Prenumerata „Swiatła“ wynosi odtąd, tj. od tego półrocza i nadal rocznie: 4 kor. — półrocznie 2 kor. Podwyższamy prenumeratę o 1 kor. na rok, a na pół roku o 50 hal., bo powiększamy objętość pisma o 4 stronice druku w każdym numerze, dajemy nadto ryciny i osobną okładkę, a to wszystko zwiększyło znacznie koszta wydawnictwa.

Kościół katolicki a żydzi.

Każdy, kto choćby powierzchownie śledzi obecne wypadki świata, przyznać musi, iż w wielu krajach Europy sprawa żydowska troską i obawą przejmuje chrześcijan, bo coraz widoczniejszem jest, że żydzi dążą do zupełnego zawojowania chrześcijan na każdem polu.

Do tego smutnego stanu doprowadziły chrześcijan dwie rzeczy: błędne pojęcie o celu bogactw, fałszywy kierunek ich używania, oraz nieposłuszeństwo i lekceważenie przepisów Kościoła katolickiego, odnoszących się do stosunku chrześcijan do żydów.

Bogactwo i pieniądz stały się od pewnego czasu bożyszczem ludzi tegoczesnych, a to pragnienie złota wyrodziło w sferach wyższych społeczeństwa samolubstwo i próżność, w sferach zaś niższych u biedaków, rodzi żądza grosza nadmierną chciwość i inne występne namiętności.

To złe pojęcie o celu i użyciu bogactw oddaje nas także na łup żydostwu, bo pieniądz stał się dziś panem świata, a żydzi mają pieniądz. Odstąpiliśmy od Ewangelii, zaczęliśmy bić pokłony złotemu cielcowi, co żydzi wnet zauważyli i zdobywszy bogatwa, zaczynają rządzić chrześcijanami.

Drugim powodem wzrostu wpływu żydowskiego było i jest lekceważenie przepisów i przestróg Kościoła odnoszących się do żydów. Od dawna wołał Kościół: »strzeżcie się żydów«, ale głosu jego nie słuchano.

Doskonałą rozprawkę o prawodawstwie kościelnem co do żydów, ogłosił przed kilkoma laty pisarz francuski, p. Tuvenne Aucias, w pewnem czasopiśmie katolickiem.

Wspomniany autor pisze, iż Kościół katolicki zajmował się sprawą żydowską, jak i tylu innemi sprawami, na długo przed dzisiejszymi mędrcami i politykami, i że umiał on znaleść i podać najlepsze jej rozwiązanie, najkorzystniejsze dla interesów ludów.

Pierwszym, który się zajął sprawą żydów, był sobór odbyty w Elwirze w Hiszpanii, przed końcem dziesiątego prześladowania chrześcijan. Jeden z kanonów tego soboru zabrania wiernym dawać córki swe w małżeństwo żydom, inny znów zakazuje nawet jadać z nimi.

W wiekach następnych, liczne sobory powtórzyły powyższe wzbronienia. Koncylium odbyte w Macon (580 roku po Chrystusie) zabrania żydom wykonywania funkcyi, do których przywiązane jest prawo wymierzania kar chrześcijanom. A dziś, jakże jest inaczej. Iluż to dziś żydów zasiada w trybunałach Europy!

Sobór zgromadzony w Awinione (1409 roku) zabronił chrześcijanom wchodzić w jakiekolwiek pieniężne interesa z żydami, żydzi zaś skazani byli na zwrócenie tego, co zdobyli za pomocą lichwy.

Czwarty sobór Lateraneński ponowił owe wyroki i zakazał żydom żądać zbytecznych procentów pod groźbą »pozbawienia ich wszelkich stosunków z chrześcijanami«. Nie wolno im było sprawować żadnych publicznych urzędów, a gdyby się to stało, karanym był jako przestępca nadający żydowi urząd; żydowin zaś odwoływanym był sromotnie i zmuszonym oddać Biskupowi, na korzyść ubogich, wszelkie w urzędzie zyskane pieniądze. Wtedy też

polecono żydom wyróżniać się od chrześcijan strojem, lub jakąkolwiek widoczną oznaką

Oprócz tych dokumentów, p. A. Turenne przytoczył wiele innych uchwał soborów i rozporządzeń Papieży, a z nich wynika, iż Kościół nie zmieniał nigdy pojęć swoich i postępowania względem żydów, jakkolwiek zawsze potępiał gwałty, których niekiedy stawali się żydzi ofiarą ze strony podrażnionych i do ostateczności przywiedzionych ludów.

Kościół katolicki — powiada wymieniony pisarz — wiernym był niezachwianie zasadzie, wygłoszonej przez sobór Lateraneński: »*Judaeos subjacere Christianis oportet et ab eis pro sola humanitate foveri*«. Niech traktowani będą żydzi z ludzkością, ale trzymani wciąż w zawisłości i jak najdalej od chrześcijan.

Na nieszczęście duch fałszywego liberalizmu chce inaczej, a nie od dziś już weszło w obyczaj nie słuchać Kościoła i poczytywać się za mędrszych i roztropniejszych od niego.

Zapoznano więc, a nieraz i pogwałcono jawnie przepisy synodów i powszechnych soborów, odnoszące się do żydów. Stąd wynikło, że żydzi rychło zbogacili się nad miarę, zdobyli i zagarnęli wszędzie towar i grosz kraju, a zamiast zostawać na stanowisku podrzędnem, zawisłem, nakładali ciężkie swe jarzmo na chrześcijan.

Gdy jarzmo to stawało się nieznośnem, tłumy wybuchały i przyszłoby do najopłakańszych gwałtów, gdyby książęta i rządy silną nie powstrzymały ich dłonią. Kościół stawał się wtenczas prawdziwym, a nieraz jedynym opiekunem żydów, i widziano Papieży, jak Jana XXII., Klemensa VI., stojących w ich obronie i przypominających ludom wiernym, iż poniesione klęski pochodziły z zapomnienia roztropnych przepisów Kościoła.

Pius IV. i Sykstus V. próbowali względem żydów pobłażliwości, i w nadziei nawrócenia ich, mnogie im czynili ustępstwa; lecz skutek zawiódł ich chwalebne oczekiwania i w lat niewiele potem Pius V. i Klemens VIII. zmuszeni byli przywrócić całą surowość pierwotnych kanonów.

»Wszyscy chrześcijanie — powiada Klemens VIII., Papież — cierpią z powodu lichwy żydów i ich oszukańśtwa. Żydzi przywiedli całe tłumy nieszczęsnych do żebractwa, a szczególniej wieśniaków, prostaczków i ubogich. Takie było zdanie o żydach«.

Dodać tu jeszcze musimy, iż podobnym duchem przezorności tchnęły i u nas w Polsce, przepisy Kościoła, Biskupów. Ciekawym dokumentem, jest tu list pasterski Biskupa chełmskiego, Szembeka, wzbraniający pod grozą rezerwatu nie tylko służenie, a zwłaszcza karmicielstwo u żydów — co i dziś się przestrzega — ale nawet wydzierżawienie im gruntów, domów, folwarków.

Przodkowie nasi nie powodowali się wówczas łałszywym liberalizmem, bo go jeszcze nie było, i dlatego żydzi nie mieli wówczas tyle bogactw, tyle wpływu szkodliwego na społeczeństwo chrześcijańskie, co dzisiaj.

Gdy zaś przyszły nauki fałszywego liberalizmu, wymyślonego naturalnie przez żydów, gdy nieroztropni chrześcijanie w imię tego liberalizmu, czyli w imię wolności dla wszystkich i we wszystkiem dali równouprawnienie żydom, i przypuścili ich do całkowitej równości praw obywatelskich, żydzi skorzystali z tej wolności w ten sposób, że całą ręką czerpią korzyści z tego uprawnienia i mieszają się do wszystkich spraw chrześcijan, sami jednak nie pozwalają chrześcijanom mieszać się do ich chejderów, kahałów i innych instytucyi talmudycznych.

Uwagi nasze zakończymy wnioskami przytoczonego wyżej autora:

»Kościół katolicki od początku, wyprzedzając wszystkich polityków, poczuł, że żydzi stanowią niebezpieczeństwo i że należy ich mieć na uboczu. On bronił życia żydów, ale, jako matka narodów chrześcijańskich, pragnie je ustrzedz przed złowrogimi rządami żydostwa, niosącego duchową i doczesną zgubę. Gdyby go usłuchano, chrześcijanie nie cierpieliby tego wszystkiego, co cierpią i ponoszą ze strony żydów, a następnie nie miałyby miejsca owe napady na żydów ze wszystkiemi towarzyszącemi im zbrodniami. Tak chrześcijanie i żydzi byliby zyskali obustronnie na przestrzeganiu przepisów kościelnych!

»Tymczasem, zamiast trzymać żydostwo na uboczu, narody chrześcijańskie, zapoznając myśl i ducha Kościoła, przypuściły je do całkowitej społeczności z sobą, nadając im wszelkie prawa obywateli. I stało się, że ci obywatele nowi, zagarnąwszy przeważną część bogactwa narodowego, wpływów, prasy, dążą do zawładnienia rządami i uciskania tych, których nie przestają poczytywać za istoty nieczyste, za pogan i nieobrzezanych Filistynów.

«Wszelkie przedsiębrane tu środki próżnemi się te okażą, jedynie pomódzby tu mogło i uratowałoby nas uznawanie w praktyce dawnych przepisów Kościoła, których i państwo przestrzegać powinno i każdy chrześcijanin z osobna.

»Tak długo bowiem, jak długo żydzi będą żydami, to znaczy, aż do końca niemal świata, jedynie zbawienną polityką trzymać się na uboczu, nie maltretując żydów ani ich poniewierając, lecz też jak najmniej z nimi przestając i zapobiegając ich szkodliwości«.

Rokita na Biadaczu.

(Podanie ludu górnośląskiego).

W Opolskiem, nad rzeką Ponwią, leżą wsie Biadacz i Luboszczyce, niedaleko jedna od drugiej. Za Biadaczem ku Masowu znajduje się cmentarz, a na lewo i prawo drogi piaski, białe niby śnieg.

Straszna to okolica!

Nasz kochany Górny Śląsk jest dosyć piaszczysty, ale wszędzie są owe piaski albo lasem pokryte, albo leżą ugorem, porosłe przynajmniej szczotkowatą trawą, tak, że wyglądają niby stepy, nie szpecące krajobrazu, gdyż się przyozdabiają na wiosnę i jesień obrusem żółtych kwiatów, zwanych w Opolskiem »kokociem mlekiem«.

Inaczej tu, pod Biadaczem. Tutaj tylko wiatr pytluje piachem i zawiewa nim niby śniegiem. Tu i owdzie kupy owego piachu, niby kurhany, porosłe są dziko ponurymi jałowcami lub »ostręgami« (cierniami).

I dziwne tu nieraz grupy i figury tworzą owe rośliny jałowcowe. Gdy się idzie lub jedzie drogą o szarej godzinie, rano lub wieczorem, to zdaje się człowiekowi, że widzi najwyraźniej albo olbrzymiego niedźwiedzia, albo dalej niby pędzącego jeźdźca na koniu, albo gdzieindziej w pobliżu drogi przykucniętego do ziemi rabusia, czyhającego na przechodnia, albo zresztą wiele innych podobnych figur.

Kilkadziesiąt kroków opodal drogi stoi stary, omszały i ku ziemi nachylony krzyż, a na nim kogut, który wiatrem poruszany, obraca się i skrzypi głośno, niby wzywając przechodnia do ostrożności.

Wszystko to nadaje okolicy tej ponure piętno i smutny wygląd. Niejeden przechodzień, idąc tędy, szepce pacierze i rad jest, gdy tę okolicę ma już poza sobą.

Ale nietylko wygląd tej okolicy jest ponury, bo i w podaniu ludowem krążą o tym skrawku ziemi zwanym, »wedle kokotka«, wieści strachem przejmujące, lubo tu jeszcze nikogo nic złego nie spotkało.

Mówią, że tutaj za bardzo dawnych czasów, gdy jeszcze w Czarnowąsach był klasztor, a w Opolu na Ostrówku panowali nad naszymi przodkami nasi książęta, w tej okolicy zły duch, zwany Rokita, harce swoje dyabelskie wyprawiał, a osobliwie się dawał we znaki luboszyckiemu młynarzowi.

Ten Rokita, to powalił się do rzeki i zastawił wodę, tak, że koła młyńskie stanęły — to znowu chlustał wodą zawzięcie, że się koło szalenie zaczęło obracać i mliwo się w kamieniach spaliło — to znowu młynarczykowi urwało głowę — i takie podobne rzeczy broił.

Nie dziw, że młynarz miał zawsze biedę o młynarczyka, i niekiedy sam ze młyna we dnie i w nocy nie wychodził.

Pewnego razu był już młynarz bardzo śpiący i aby nie zasnąć, wziął skrzypce, i stojąc nad koszem, przygrywał sobie... Aż tu około godziny dwunastej w nocy zaturkotał młyn mocniej i drzwi do młyna z łoskotem się otwarły...

Na progu ukazał się niewielki mężczyzna, czarno ubrany, z czapką na głowie, przez którą niewielkie rożki

wystawały, rożki niby trzymiesięcznego wołku... Na śniadej twarzy miał przybysz zarost niby kozią bródkę, a obuwie podobne do końskich kopyt...

Młynarz poznał w przybyszu Rokitę, ale się nie uląkł. Młynarz był to mężczyzna w średnim wieku, rosły i nieco otyły; twarz miał na czysto wygoloną. Uchodził on między ludnością okoliczną za człowieka odważnego, a sam się chwalił, że będąc żołnierzem, z koniem przez Dunaj przepłynął. Służył on pod chorągwią księcia Opolskiego, który cesarzowi przeciw Turkom posiłki dawał.

Trzeba wiedzieć, że w dawnych czasach młynarze z tak zwanymi »statkowymi gburami« byli wolnymi od pańszczyzny, ale mieli też i powinności różne, jak naprzykład służbę wojskową, gdy husyta, Szwed albo Turek kraje państwowe najechał. Wtedy często pokazywał się »sztacheta« (posłaniec wojenny), a nasi Patrzkowie, Kansowie, Gralowie i inni, siadali na koń i stawiali się na dziedzińcu zamku opolskiego, oczekując dalszych rozkazów.

I młynarz, o którym mówię, służył w takiem wojsku. Mieszkanie miał duże z czterema oknami, w kącie wielki stół dębowy, w drugim kącie łóżko usłane wysoko pierzynami; na ścianie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a pod obrazem szabla, zawieszona na krzyż z pochwą. W sieni zaś wisiało siodło.

Otóż Rokita, wszedłszy do młyna, przypuścił trochę wody na stawidła, przykręcił kamieni młyńskich i pytla, niby jaki stary czeladnik, a potem przystąpiwszy do młynarza, rzekł te słowa:

— Tak pięknie grasz! Naucz mnie też!

— Czemu nie? — odpowiedział młynarz i dodał:

— Ale widzę, że będzie trudno, bo masz takie krzywe palce.

Miał bowiem Rokita krzywe pazury i długie u palcy, niby jaki dziki zwierz.

— A nie możnaby to mych palców naprostować? — zapytał Rokita.

— A czemużby nie? — odrzekł młynarz, i skinął na Rokitę, żeby szedł za nim do kąta młynnicy, gdzie stał warsztat stolarski z potężną śrubą do przytrzymywania przedmiotów, na warsztacie obrabianych.

— Wetknij sam sobie dłonie z palcami — rzekł młynarz, odkręcając śróbę.

Rokita włożył palce, gdzie młynarz kazał, poczem młynarz jął przykręcać śrubę. Drzewa ścisnęły Rokitowe pazury, aż trzeszczało, a wtedy Rokita kręcąc się krzyczał:

— Dość, dość już!

Ale młynarz z całej siły jeszcze mocniej przykręcił i roześmiał się szyderczo, że się aż za boki chwycił.

— A widzisz, mam cię, Rokito! — wrzasnął młynarz.

Rokita zaś kręcił się z bólu i ryczał przeraźliwie, groził zemstą, ale mu to nic nie pomogło. W końcu prosić zaczął, obiecując przynieść miech pieniędzy, ale i to mu nie pomogło.

Młynarz zaś pozwał stojący obok skrzyń obuch i jak okłada, tak okłada nim Rokitę za wszystkie wyrządzone krzywdy.

Ostatecznie Rokita, który szamotał się szalenie, łupnął kopytami i szarpnął sobą tak, że urwał kawał warsztatu i uciekł, odgrażając się zemstą...

Upłynęło kilka tygodni. Rokita, wziąwszy ogromną łopatę idzie, by się na młynarzu zemścić.

Uknuł sobie plan, żeby młyn osuszyć i młynarza w ten sposób zniszczyć. W tym celu chciał nowe koryto Ponwi w około Biadacza przeryć i tam wodę wszystką ściągnąć.

Przyszedłszy na miejsce, około północy, jął się roboty. Założył łopatą i ziemię wywalał gwałtownie...

Ale nagle kogut w młynie luboszyckim zapiał... I Rokita przeląkł się jakoś strasznie i natychmiast uciekł, nie dokończywszy roboty zamierzonej, i już też więcej nie powrócił...

Gdzie Rokita ziemię zrył, tam jest do dziś nad Ponwią długa i niezgłębiona struga, zwana »jeziorem Habdabdziem«. Gdzie zaś Rokita ziemię wywalał, tam są owe ponure zadymki piaskowe niedaleko cmentarza biadackiego, gdzie stoi krzyż z kokotkiem.

Takie jest podanie ludowe, które tu podałem, bo i podania, baśnie i bajki ludowe dla pamięci potomnych przechowywać należy.

ZGON KONFEDERATA.

Obozem hufce stanęły na błoniach
Spocząć; Pułaski poglądał na morze:
Złote się gwiazdy migotały w toniach
I rubinowe kąpały się zorze;
Fala za falą wstawała z zwierciadła
I szła i do nóg wodzowi się kładła.

Jeden z nich tylko druh konfederacki
Poszedł za morza, na wspomnienia smętne,
Na bojach żywot leci mu tułacki;
Szkaplerz położył na serce namiętne,
A w ręku szabla, grom na wrogów głowy,
Szabla z Najświętszą Panną z Częstochowy.

Już świt. Już wrzasły trąby ostre głosy,
Słońce wnet błysło na morze i błonia:
Pułaski szablę otarł z rannej rosy,
Przeżegnał piersi i wskoczył na konia;
Mgła się po ziemi rozścieliła ranna,
Wódz pomknął, za nim zagrzmiało: »Sadannah!«

Lecz jechał smutny i do towarzysza
Mówił o swoim zgubionym szkaplerzu:
»Wkrótce, mój bracie, będzie w sercu cisza,
»I drobna prochu garść po twym Kaźmierzu,
»Zły znak!... Duch czuje drogę bracie miły!...
»Jam się spodziewał w ojczyźnie mogiły«.

»Bez Sakramentów zginę!... Bądź Twa wola!...«
Rzekł — Sadannah już mu widne w dali;
Czwałem więc z jazdą kopnął się na pola,
Kędy Anglicy szeregami stali
I usypane reduty ze szańców
Siały kartaczów gradem na powstańców.

I w porę przypadł, bo pod jego wzrokiem
Wrzała już bitwa zacięta wśród łanów,

Już szli Anglicy wyciągniętym krokiem
Z bagnetem w ręku na Amerykanów;
Wnet jedna chwila los bitwy przeważy...
A jemu zapał zajaśniał na twarzy.

»Naprzód!« — i w dwieście poskoczyli koni,
Za bohaterem lecieli na działa,
Wiatr ich zaledwie doścignął na błoni,
Szable migały w słońcu, ziemia drżała...
I przełamali Anglików dwa fronty —
A w tem błysnęły na okopach lonty.

Zagrzmiało... »Jezus Marya!« wódz krzyknął
I padł — zwycięzca padł na polu chwały
I skonał śmiercią, do której przywyknął;
I leżał z szablą swą, jak posąg biały,
I Bóg mu rozlał na obliczu ciszę:
W około płakali druh i towarzysze.

I usypali mu grób pod Sadannach
I krzyż na grobie zatknęli bronzowy:
Niech cię przed Boga wiedzie święta Panna
Tak, jak ty w taniec wodziłeś bojowy,
A módl się za nas, niech nam Bóg obudzi
Takiego jak ty, pośród wiernych ludzi!

Albania i Albańczycy.

Nigdzie w Europie niema takiego skupienia drobnych, a różnorodnych kraików i narodów, jak na półwyspie Bałkańskim. Na północy Rumunowie, ku zachodowi serbskie plemiona Bośniaków, Hercegowińców, Czarnogórców i Serbów, dalej Bułgarzy i Turcy, Albańczycy, Macedonowie i Grecy, nie licząc Ormian, żydów, Cyganów i wielu innych. Jedne z tych ludów, tworzą dziś niezależne państewka, jak Serbia, Bułgarya, Czarnogórze, Rumunia i Grecya; inne należą dotąd do Turcyi, z pod władzy której radeby jednak jak najrychlej się wydostać; Bośnia i Her-

cegowina, dawnej i stanowiące prowincye państwa Tureckiego, dziś są wcielone do Austryi

Pomimo tak różnorodnego składu, pomimo znacznej różnicy życia i dążeń tylu ludów bałkańskich, prawdopodobnie panowałby tam już jaki taki spokój, gdyby nie to, że niektóre z nich nie są zadowolone ze swego położenia. Tak część Bułgarów dotąd jeszcze jest pod władzą Turków, a woleliby być złączeni z Bułgaryą; Macedończycy, będąc z pochodzenia Grekami, ciążą ku Grecyi, Albańczycy zaś, którzy zawsze byli prawie niezależnymi od Turcyi, coraz wyraźniej dążą do wytworzenia osobnego państwa...

Ciekawym krajem jest Albania. Jest to najbardziej na zachód wysunięta prowincya Turcyi europejskiej, leżąca na wprost Włoch, nad morzem Adryatyckiem. Właściwie zowie się ona »Szkiperi«, to jest »Kraina skał«, sami zaś Albańczycy, zowią siebie »Szkipetarami«. Bo też cały ten kraj, pokryty jest wysokiemi górami i skałami, wśród których ciągną się głębokie wąwozy i przepaście, szumią bystre potoki i wodospady, czyniąc Albanię prawdziwie dziką, niedostępną i niezdobytą krainą.

Tym »górom i przepaściom«, ożywionym wielką miłością i poświęceniem swych półdzikich mieszkańców, Albania zawdzięcza to, że przez długie wieki, gdy inne ludy bałkańskie oddawna już jęczały pod jarzmem tureckiem, ona prawie nie widziała Turków, którzy zmuszeni byli pozostawić w spokoju walecznych górali albańskich *).

Jak wszystkie kraje górzyste, Albania nie jest bogatą. Wprawdzie na południu ziemia jest urodzajniejszą, podatną do uprawy zbóż, bawełny, oliwek, wina, morwy i tytoniu, ale większą część gór porastają lasy lub pokrywają pastwiska.

Dlatego rolnictwo jest tutaj zaniedbane, a ludność zajmuje się chętniej hodowlą bydła, koni i owiec. Miast jest bardzo mało, przemysłu niema prawie żadnego, prócz najprostszych robót domowych i jedwabnictwa dostarczającego tkanin jedwabnych na piękny ubiór narodowy.

---

*) Z dawnego życia Albanii jest piękna powieść, pod tytułem «Rycerz chrześcijański» — Warszawa 1900.

To też od najdawniejszych czasów bieda, a po części i wrodzona niechęć do ciężkiej pracy rolniczej oraz zamiłowanie wojaczki, wypychały Albańczyków w świat, na służbę do innych krajów, szczególniej do Turcyi, gdzie chętnie najmowali się do wojska pod nazwą Arnautów.

ALBAŃCZYCY.



Albańczycy północni, zwani są Mirydytami. Ci są katolicy.

W samej Grecyi żyje do dwustu tysięcy Albańczyków, a niektóre wyspy drobne całkowicie przez nich zaludnione.

Ogólna ilość Albańczyków wynosi dwa i pół miliona. Mówią oni językiem odrębnym, niepodobnym do żadnego z dzisiejszych języków europejskich. Znaczna część Albańczyków, bo blisko siedem dziesiątych części są oddawna religii mahometańskiej — i ci właśnie dostarczali Turkom najemnych żołdaków.

Dziesiątą część stanowią katolicy, a piąta część jest obrządku wschodniego.

Pomimo tej odmienności religii, która musiała wytworzyć pewne różnice w obyczajach Albańczyków, zachowali oni wiele właściwości wspólnych.

Przedewszystkiem jest to lud piękny, wysokiego wzrostu, silnej i zgrabnej budowy. Rysy twarzy ostre, surowe

ALBAŃCZYCY.



Albańczycy południowi — sturczeni.

i wyraziste, oko żywe, bujny wąs, nadają Albańczykowi wyraz męztwa i dzielności.

Wrodzoną piękność podnosi jeszcze jaskrawy strój narodowy, składający się z czerwonej, złotem i jedwabiem wyszywanej kurtki, z krótkiej, mocno sfałdowanej, przepasanej szerokim pasem spódniczki i szerokich, ukrytych w skórzniach szarawarów. Głowę okrywają fezem — czapeczką sukienną czerwoną z chwastem, — a para pistoletów i jatagan za pasem, oraz długa pięknie ozdobiona strzelba

stanowią niezbędną część nawet codziennego ubrania. To też w takim stroju nawet pastuch albański wygląda, jak poważny rycerz.

I rzeczywiście, wojowniczość stanowi główną właściwość usposobienia Szkipetara; ale też wyradza ona w nich pewną dzikość, mściwość, skłonność do okrucieństw i przelewu krwi. Lada sprzeczka prowadzi tam często do bójki, w której natychmiast biorą udział krewni i przyjaciele obu stron walczących. Rozlegają się strzały, błyszczą jatagany i nieraz z powodu głupstwa padają trupy.

Jednym z objawów tej dzikości jest dawny obyczaj krwawej zemsty rodowej, który istniał niegdyś u wielu ludów, lecz wszędzie już zaginął. Za śmierć członka rodu mści się jego rodzina na zabójcy, na jego rodzie i przyjaciołach, póki krew krwią nie zostanie spłacona. Niekiedy jednak po długich walkach, spór kończy się okupem, złożonym przez rodzinę zabójcy na rzecz ofiary. Jedna tylko zbrodnia nie może być niczem okupioną — to porwanie i zbezczeszczenie kobiety; ale też i dziewczynie, która okryje się hańbą, grozi surowa kara, a nawet okrutna śmierć przez ukamienowanie.

Albańczycy dzielą się na liczne plemiona, pozostające pod wodzą wybieranych przez siebie buluk — baszów i wojewodów, czyli starszyzny rodowej. Wojewodowie tworzą radę, w której każdy ród ma swego przedstawiciela. Rada winna pilnować spraw swego plemienia, a wobec Turków obowiązany bronić go bulak basza. Dwa razy do roku odbywają się zgromadzenia ogólne, gdzie rozbierają się sprawy, dotyczące całej okolicy.

Niektóre plemiona albańskie zachowały dotąd zupełną prawie niezależność od Turcyi i mają własnych książąt. Do takich należą Mirdyci, mieszkający w północnej części Albanii. Jest to najdzielniejszy odłam Albańczyków: waleczni, przywiązani głęboko do dawnych obyczajów i religii katolickiej, której są najgorliwszymi wyznawcami, bronią jej przeciw wszelkim zakusom mahometanizmu Na czele Mirdytów stoi książę, zwany »kapetanem«, mający stolicę w mieście Oroszy. Tam znajduje się pałac książęcy, — skromny, prosty, podobniejszy do dworu średnio zamożnego szlachcica, niż do siedziby panującego,

chociaż otoczony grubym murem ze strzelnicami. I obyczaje tego nworu książęcego prostsze są, niż w innych krajach: każdy może wejść swobodnie do księcia z prośbą o poradę w biedzie lub kłopocie.

Książe rządzi z pomocą »rady starszych« bez zgody, której nic sam nie może stanowić. Radę składają wojewodowi (naczelnicy rodów) i bajraktorzy, czyli chorążowie, po jednym z każdego okręgu.

W sprawach bardzo ważnych zwołuje się zgromadzenie ludowe, czyli sejm, na który każda rodzina wysyła przedstawiciela. Zgromadzenia starszyzny odbywają się zazwyczaj, na dworze książęcym — poczem książę wyprawia sutą ucztę, każąc rżnąć i piec woły, karany i kozły, jak za prastarych czasów.

Turcy nie wtrącają się prawie wcale do wewnętrznego życia Mirdytów, których jedynym obowiązkiem zględem państwa tureckiego jest wystawienie w razie wojny oddziału, po jednym wojaku z każdej rodziny, pod wodzą własnego naczelnika.

Potęga pracy.

Człowiek, jako istota wyższa od reszty stworzenia tem samem obarczony jest większymi obowiazkami od istot, które go otaczają; a te obowiązki bywają większe lub mniejsze w miarę tego, jakiemi zdolnościami Bóg go uposażył i w miarę środków, jakiemi rozporządza.

Najpierwszym obowiązkiem ziemskiem są względy rodzinne. Człowiek — to istota wyższa, z rozmysłem wypełniająca swe zadania i jako taka, przeznaczona do wznioślejszych celów. Nie to jest celem człowieka, by mu tylko dobrze było, ale by też był użytecznym. Poza obowiązkami najbliższymi, są dalsze, niemniej ważne: temi są obowiązki społeczne.

Kto ich nie pomija, a w miarę swej możności wypełnia, te ma prawo zwać się obywatelem kraju i godnym jest szacunku. Bo choćby kto wypełniał najsumienniej obowiązki rodzinne, a nie troszczył się zupełnie o ogólne

sprawy, mając możność i środki ku temu, ten byłby nieużytkiem społecznym, samolubem.

Jak pracowitość w przeciwstawieniu do lenistwa posiada wielką wagę, poucza nas o tem historya, która dodaje, jak całe narody ginęły skutkiem zasklepienia się w sobie, lenistwa — a na odwrót; czynni, pracowici, rozwijali się kosztem pierwszych.

Weźmy za przykład Amerykę, ten nowy świat, o którym nam cuda nieraz opowiadają, nie zawsze zresztą zgodne z rzeczywistością.

Europejczycy, zdobywszy tę ziemię. zastali tam już ludność miejscową, przeważnie w stanie dzikim będącą; były już i ślady kultury, ale nie wszędzie, i to nawet, co było zanikło skutkiem chciwości najeźdźców. Ale pomimo całej bezwzględności, z jaką przybysze rozpoczęli swą gospodarkę rabunkową, ci awanturnicy chciwi bogatw, złota, zawieźli jednak kulturę, która się tam rozwinęła wspaniale i dziś świat nowy w niejednem przoduje staremu.

Dali więc przykład i wzory gotowe miejscowym czerwonoskórym. Co ci czynili wobec przybyszów, czy skorzystali z przykładów?

Zamiast przyswąjać sobie to, co było wniesione do nich przez naród kulturny, skutkiem lenistwa woleli kryć się w lasach i napadać na siedziby Europejczyków, nieliczne jeszcze. Takie napady kończyły się nieraz wyrznięciem całych osad. A pomimo tych zwycięstw plemię czerwonoskóre wygasa i już dziś jest wymierającem plemieniem.

Zestawmy teraz dwie odmienne rasy: czerwonoskórych i murzynów. Pierwsi — miejscowi, liczebni, wolni, groźni dla osadników. Murzyn — to niewolnik, sprowadzony z Afryki; ale murzyn umiał pracować: za jego pracę — pęta wrzynały mu się w ciało, a skóra pękała od razów. Nie za lenistwo, bo dla swej pracy murzyn był pożądanym w każdej plantacyi, ale że to był człowiek, istota rozumna, a przez to nie byłby ślepo posłusznym, jak koń lub wół, więc by go steroryzować, by nie miał odwagi targnąć się na krępujące go więzy, obchodzono się z nim gorzej od zwierzęcia.

I patrzmy: wolny Indyanin — jest dziś gasnącem plemieniem na swej rodzinnej ziemi. A Murzyn? Ten przetrwał katusze i gdy za rządów szlachetnego Lincolna zdjęto im pęta, ci czarni niewolnicy założyli republikę w Afryce, zwaną Liberyą (co znaczy wolność) i dziś mają przyszłość przed sobą. Może przyjdzie czas, że dojdą do takiej siły, iż w wszerz i wzdłuż Afryki, za przykładem Ameryki, rozlegnie się inny okrzyk: »Afryka dla Murzynów!« wtedy, gdy czerwonoskórych znać będziemy tylko z opisów.

Oto przykład, jaką potęgą jest praca, że nawet w najtwardszej niewoli daje tę siłę spożywczą, chroniącą od zagłady.

Znamy przypowieść o Panu ewangelicznym, który wyposażył swych podwładnych nie jednakowo: jednemu bowiem dał 10 talentów, drugiemu 5, trzeciemu 1 i gdy pierwszy i drugi zarobili swymi talentami drugie tyle, trzeci swój jeden zakopał w ziemi. I pytał się Pan kolejno po skończonym czasie, ile który z nich zyskał, a dowiedziawszy się, że ostatni z nich swój talent zakopał w ziemi, odebrał mu go i dał temu, który zarobił najwięcej.

Ta przypowieść poucza nas, że nawet ci, którzy obdarzeni są najmniejszemi zdolnościami, nie mają jednak prawa być nieużytecznymi, ale choć w małym stopniu przyczyniać się do wspólnej pracy, pod groźbą kary, jaką nam zagroził sam Chrystus w tej przypowieści.

A gdy każdy z nas spełni w tem życiu swe obowiązki, odpowiednio do ilości talentów, jakiemi nas Bóg obdarzył, wtedy i w tym strasznym momencie, gdy nam przyjdzie zdawać rachunek z naszego włodarstwa na ziemi, z większą otuchą będziemy patrzeli na dopełnianie tego żywota, gdy przed tron Boży zaniesiemy nasze uczynki i nie będziemy podobni owemu słudze, który swój talent zagrzebał w ziemi.

Do pracy więc! do pracy! Do pracy nad sobą, do pracy w rodzinie, do pracy społecznej dla dobra ogółu!

Zawiązki organizacyi społecznej u ptaków.

Ileż to razy, widząc gromady ptaków wylatujące jesienią w odległe kraje, poza morza i oceany, zadajemy sobie pytanie, w jaki sposób te małe i na pozór bezrozumne stworzenia potrafią kierować się w wędrówce swej, zachować konieczny w takiej gromadzie porządek, obmyślać popasy, zdobywać żywność, wreszcie powracać z wiosną do miejsc, gdzie gnieździły i lato spędzały. Wydaje się naturalnem, że do tego wszystkiego potrzeba im byłoby pewna organizacya i jak gdby rząd z wodzem na czele, jakiś mądry kierownik wybrany przez gromadę.

A jednak badania uczonych przyrodników zaprzeczają temu i dowodzą, że te olbrzymie stada ptaków zgromadzają się i wędrują tylko pod wpływem instynktu mimowolnego, nie wybierają żadnego wodza, nie dbają o swoich »bliźnich«, ściskają swe szeregi w celu ohrony tylko, zatrzymują się tam, gdzie widzą żywność obfitą, a doleciawszy do celu, rozpraszają się każdy, gdzie mu się podoba; — jednem słowem, nie znają organizacyi społecznej. Tylko zacątki jej dają się w niektórych gatunkach zauważyć.

W Ameryce północnej znajduje się gatunek Gołębia wędrownego, który w niesłychanych masach się gromadzi i przelatuje z miejsca na miejsce, szukając żeru. Stada gołębi tych, jak szarańcza spadają na pola i wkrótce zostawiają za sobą pustynię ogołoconą z wszelkiego ziarna.

Jaskółki sprytniejsze i bardziej »uczuciowe« od gołębi zbierają się gromadnie w chwili odlotu, a poza tem nie dbają o swe towarzyszki, porzucając w drodze osłabione lub skaleczał. Wodza nie mają żadnego, ale trzymają się pewnego porządku, jak i inne wędrowne ptaki, mianowicie przodujący ptak po pewnym czasie ustępuje miejsca innemu, zajmując stanowisko mniej utrudzające w trójkącie; tę bowiem figurę tworzy najczęściej wędrowne stado ptactwa.

Niekiedy gromadzą się ptaki (wrony, jaskółki i t. d.) przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, albo też w celu wspólnego gnieżdżenia się, ale i tu rzadko dostrzedz można

ślady jakiejś organizacyi społecznej. Za to życie rodzinne u ptaków jest bardzo rozwinęte, a ptasie małżeństwa, nie mówią już o przysłowionych turkawkach, bywają niezmiernie czułe, otaczając także drobną dziatwę swoją pieszczotami i troskliwością. Przeciwnie, względem sąsiadów z pobliskich gniazd zachowują się nieraz wrogo, wszczynając kłótnie i bójki, a nawet niestety, dopuszczając się kradzieży. Prawda, że rabusie bywają karani (n. p. u gawronów) przez uczciwszych współrodaków, którzy rzucają się na złodziejskie gniazdo i niszczą je bez litości. — Ten wymiar sprawiedliwości zdaje się wskazywać pewien stopień mądrości społecznej, jak również rozsyłanie straży czy pikiety w miejsca, gdzie ma się trzymać stado ptasie. Szyldwachy krzykiem ostrzegają gromadę o grożącem niebezpieczeństwem. I tu jednak nie widać żadnego wodzireja, przeciwnie niż w stadach zwierząt czworonożnych.

Ciekawe niezmiernie spostrzeżenia poczyniono nad bezlotkami, żyjącemi w strefach antarktycznych (okolice bieguna Południowego), zwanych także mańkutami. Mańkuty bardzo mało mają ptasiej natury: podobnie raczej do fok i psów morskich, żyją przeważnie na wodzie, nurkują i kaczą po fali. Skrzydła ich grube jak pletwy, główka mała kołysze się na grubym korpusie, na lądzie dzie trzymają się pionowo i nader komicznie wyglądają, ciężkie i niezgrabne w ruchach. Uczeni Gerlach i Rakowitz potrafili zbliżyć się do osad mańkutów i przypatrzyli się ich życiu i obyczajom. Otóż każda rodzina mańkucka, składająca się z rodziców i dwojga dzieci miała wyznaczone dla siebie miejsce na gniazda i podwórko otaczające, a jak tylko gospodarz przez nieuwagę czy też umyślnie postawił łapę na podwórku sąsiada rozpoczynała się kłóinia coraz gwałtowniejsza, z wielkim wrzaskiem i hałasem. W takiż sam sposób przyjęto skradających się ostrożnie podróżników, którzy musieli ustąpić z placu, aby nie ogłuchnąć zupełnie.

Szczęściem inny gatunek mańkutów okazał się bardziej pobłażliwym, tak iż p. Rakowitz mógł się przyjrzeć dokładnie życiu ptasiej osady.

Zdziwiło go niezmiernie to, że młode nie mieszkały już w rodzicielskich gniazdach, ale zbierały się na płasko-

wzgórzu, wzniesionem ze 30 metrów nad powierzchnią morza. Młode mańkuty w liczbie może sześćdziesięciu zabawiały się czy może gimnastykowały, ale pod nadzorem starszych; kilka bowiem poważnych ptaków siedziało na krańcu, wyprostowane i nieruchome, ale czujne. Gdy tylko który z młodych ptaków zbliżył się zanadto do brzegu urwiska, dozorca otwierał wielki swój dziób i dość ostro dawał krzykliwe ostrzeżenie.

Czasami wystarczało to, ale jeżeli lekkomyślny pupil upierał się przy swojem, spadała nań dotykalna admonicya, po której, wrzeszcząc i kołysząc się, wracał spiesznie do kolegów, ze swym krągłym brzuszkiem i machającemi a grubemi skrzydełkami. Mistrz zaś spokojnie zasiadał na miejscu, złożywszy obok siebie pęczek wyrwanego śmiałkowi pierza. Nie dość na tem: ponieważ nadzorowanie młodzieży musi być utrudzające, starsze ptaki zmieniały się po kolei. Od czasu do czasu, jeden z nadzorców podnosił głowę i wydawał krzyk przeźliwy, podobny do ryku osła, na co odpowiadał natychmiast krzyk ptasi z dołu. Rzeczywiście nad brzegiem morza, u stóp urwiska spoczywało leniwie na piasku kilka starszych mańkutów. Nie chciało im się ruszyć, więc wezwanie z góry powtarzało się kilkakrotnie, dopóki jeden z rezerwistów nie zdecydował się na zluzowanie towarzysza. Otrząsnąwszy się nieco, wdrapywał się mozolnie na górę po stromej kamienistej ścieżce i zajmował miejsce na skraju platformy, a strażnik uszczęśliwiony zsuwał się spiesznie na dół i z pluskiem rzucał się w kąpiel morską. Wszystko odbywało się grzecznie i zgodnie bez kłótni.

Poczciwe ptaki na wspólnym gruncie utrzymywały publiczny pensyonat czy gimnazyum, nie troszcząc się jednak o żywność dla młodzieży, bo tę przynosili rodzice dla swoich dzieci, rozpoznając je w tłumie.

Nietylko nadmorskie ptactwo gnieździ się gromadnie, bywają i na lądzie ogromne ich kolonie, n. p. pewien gatunek wróbli w południowej Afryce: zgromadza się w liczbie kilkuset (600 do 800) dla budowania wspólnych gniazd. W tym celu wyplatają społem duży, pochyły dach z pewnego gatunku trawy. Pod tą nieprzepuszczalną pokrywą przytwierdzają swoje gniazdka jedno obok dru-

giego z okrągłemi otworkami w dół zwróconymi. Cała ta misterna budowa jest tak ściśle wykonana, że czasem przetrwa lat kilka i dopiero pod wzrastającym ciężarem załamuje się konar i wszystko razem spada na ziemię.

Jednak i u tych przemyślnych ptaszków nie dostrzegamy prawie śladów organizacyi społecznej, ani podziału pracy tak, że z wyjątkiem gawronów i papug wszystkie chwilowe lub stałe zbiorowiska ptaków wydają się najczęściej kierowane ślepym instynktem, lub potrzebą obrony od wspólnego nieprzyjaciela. Zato instynkt rodzinny wielką gra rolę w ich życiu i w tem przewyższają zwierzęta czworonożne i inne, a nawet ptactwo domowe. Być może, iż za przykładem paru wyżej wspomnianych gatunków, rozwiną w sobie i inne ptaki wyższą organizacyę, wskazującą pewną, jak gdyby roztropność, zbliżoną do zapobiegliwości ludzkiej, a w każdym raze badanie ich czynności i obyczajów niezmiernie jest zajmujące nietylko dla uczonych...

Towarzystwo czystych rąk.

Pewna podróżniczka, po powrocie z Anglii, opowiada fakt następujący:

Na jednej z ulic Londynu spostrzegła dzieci, wychodzące ze szkoły. Przystanęła, aby się im przyjrzeć i zobaczyła, że pani jakaś, stojąca przy bramie, coś dzieciom rozdaje. Zbliżyła się i ujrzała, że dzieci pokazują owej pani ręce, ona je ogląda i tym, które mają czyste, daje z koszyka drobne zabawki, notesiki, scyzoryki i t. p. Które zaś miało palce choćby atramentem pobrudzone nic nie dostawało.

Gdy dzieci przeszły, podróżniczka wdała się w rozmowę z ową panią i dowiedziała się, że jest ona członkiem »Towarzystwa czystych rąk«, które w taki sposób krzewi wśród dziatwy czystość. Jest delegatką do sześciu szkółek. Raz na tydzień zjawia się przed każdą szkołą z koszyczkiem, zawierającym podarki. Dzieci nie wiedzą,

którego dnia pani przybędzie, więc starają się codzień ręce utrzymywać w czystości.

— Towarzystwo nasze — tłómaczyła delegatka — wychodzi z zasady, że czystość rąk, to rzecz w zakresie hygieny ciała najważniejsza, skłania do dbania o czystość całej osoby i otoczenia, więc, choć w skromnym zakresie, racyonalnie i celowo krzewi wśród swego społeczeństwa rzecz pożyteczną i niezbędną. Zawartość jednorazowa koszyka kosztuje nas około 2 szylingów (2 kor. 50 hal.) czyli na jednę szkołę rocznie około 4 funtów szterlingów (75 koron). Za tę sumę i pół godziny lekkiej pracy, poświęconej kilkudziesięciu niezamożnym dzieciom, osiągamy stosunkowo wiele dobrego. Składka członkowska kosztuje.. 2 szelingi rocznie.

Delegatka wyjaśniła, dalej, że jest starszą sklepową, i że Towarzystwo wyrobiło jej urlop półgodzinny dziennie na owo rozdawnictwo.

Podróżniczka opowiadała dalej o jeszcze ciekawszej czynności Towarzystwa.

Przed ubogim domem zatrzymuje się powóz, wysiada pani, trzymając w ręku coś jakby biały welon i młoteczek, i wchodzi do bramy. Po dziesięciu minutach wraca bez owego welonu, wsiada do powozu i odjeżdża.

Pani ta — to czynny człowiek »Towarzystwa białych firanek«. Ma swoje 2 do 3 ulic. Wyszukuje najuboższe domostwa, wchodzi i prosi grzecznie o pozwolenie zawieszenia firaneczek. Czasem nie pozwolą, ale najczęściej zgadzają się. Wtedy delegatka na poczekaniu przybija firaneczki i jedzie dalej.

Podobno w ubogich mieszkaniach, gdzie najczęściej promień słońca nie dochodzi; gdzie zawsze jest czarno, ponuro i smutno, tam takie białe firaneczki zachęcają ogromnie mieszkańców, zwłaszcza kobiety, do dalszego porządku w mieszkaniu. Czystość przenosi się z okna na stół, ze stołu na łóżko, a z łóżka na podłogę. Zrestą po dwóch tygodniach owa pani znowu przyjeżdża, zdejmuje brudne firanki, a zawiesza czyste. Bywa różnie, bo czasami niedbali i niechlujni ludzie drą i wyrzucają firanki, ale to pań z Towarzystwa nie zraża.

U nas nikomu taka drobna, a żmudna praca nie przyjdzie do głowy. A praca ta działa skuteczniej, niż suche nauczanie hygieny.

Słowa ministra o alkoholu i zbrodniach.

W końcu października roku zeszłego odbyło się w Londynie (stolicy Anglii) wielkie zebranie, na którem przemawiał także angielski minister skarbu Mr. Loyd George »o alkoholu i reformach społecznych«. Zaznaczył on, że wszelkie rozprawy parlamentarne, a nawet prawa wydane dla ochrony robotników i polepszenia ich bytu nie przyczynią się do zaradzenia ich nędzy i podniesienia ich moralnego, dopóki będzie istniał przemysł alkoholowy, doprowadzający warstwy pracujące do zwyrodnienia fizycznego i moralnego.

Potem rowodził się minister nad wpływem alkoholu na mnożenie się zbrodni i przytoczył w tym względzie zdania wielu prawn:ków i uczonych, którzy wykazali dowodami, że przeważna część zabójstw, napaści, gwałtów, poranień są skutkami pijaństwa.

Kto tedy na seryo pragnie poprawy bytu warstw pracujących, a szczególnie podniesienia ich poziomu moralnego, powinien przedewszystkiem zabrać się do walki z napojami alkoholicznymi.

Koronacye angielskie.

Z upadkiem cesarstwa rzymskiego ustały także koronacye w Frankfurcie nad Menem i powoli znikła w Europie prawie zupełnie ta ceremonia oznaczająca obejmowanie godności monarszej.

Od lat 50 nie odbywają się też koronacye królów pruskich w Królewcu, a i ta koronacya, przy której król pruski wkładał sobie sam koronę na głowę, była tylko

suchem aktem państwowym, bez średniowiecznych symbolicznych obrzędów.

Tylko car rosyjski i król angielski, otrzymują do dziś dnia koronę z zachowaniem tych samych ceremonij, jakie istniały w dawnych wiekach. Co do zachowywania bowiem różnych zwyczajów, jest Anglia najbardziej konserwatywną monarchią na świecie; obyczaje liczące sobie tysiąc lat istnienia, przechowują się do dnia dzisiejszego bez najmniejszej zmiany i uszczerbku.

Miejscem koronacyi jest »Opactwo», jak brzmi jego nazwa zwyczajowa, czyli kollegiata św. Piotra w Westminsterze, według brzmienia nazwy oficyalnej. O katedze św. Pawła w City powiadają dziś jeszcze Anglicy, że sam Apostoł położył jej kamień węgielny. O opactwie św. Piotra w Westminsterze utrzymywała się czas jakiś taka sama legenda, ale zarzucono ją już w wiekach średnich. Natomiast powstała tradycya, że św. Piotr osobiście uczestniczył przy konsekracyi kościoła. Rybak jakiś miał go przewieść z prawego brzegu Tamizy, by Apostoł udzielić mógł błogosławieństwa dokonanemu dziełu.

Król Edward Wyznawca (1042 do 1066) dokonał budowy kościoła i znacznie go powiększył. Od tego czasu wszyscy królowie angielscy w nim byli koronowani, niektórzy spoczęli tam w grobach. Pierwszym, który w opactwie koronę otrzymał, był nieszczęśliwy ostatni król pierwotnych mieszkańców Anglii, Saksonów, Harold, który wkrótce później w walce z Wilhelmem Zdobywcą padł w bitwie pod Hastings. Wilhelm sam następnie koronował się w Westminsterze, a w akcie koronacyi uczestniczyli zarówno Normanowie, jak pokonani Saksonowie.

Nienawiść i nieufność rozdzieliła jednak oba narody. Wśród ceremonii koronacyjnej powstał tumult i zamięszanie. Obie strony mniemały, że każdą z nich sprowadzono tam zdradziecko, by ją wymordować. Chwycono za oręż. Przyszło do krwawej walki. Kościół opactwa opustoszał, pozostał w nim tylko król Zdobywca, który zatrzymał Arcybiskupa i rozkazał mu włożyć sobie na głowę koronę.

Podobnego rodzaju krwawe sceny powtarzały się nieraz jeszcze przy późniejszych koronacyach. Gdy wstępował na tron król Ryszard Lwie Serce, przybyło do Londynu

wielu żydów angielskich, którzy na zgromazzeniu w City uchwalili złożyć królowi »dar dobrowolny«, następnie zaś postanowili wziąć udział w ceremonii koronacyjnej.

Ale Ryszard Lwie Serce nie cierpiał żydów i wydał rozkaz, by ich do świątyni nie wpuszczano. Gdy stanęli przed jej bramą, straż królewska uderzyła na nich z mieczami. Powstał gwałtowny rozruch, wśród którego wielu »niewiernych» utraciło życie. Tłum zgromadzony w kościele słysząc zgiełk walki orężnej, myślał w pierwszej chwili, że przygotowano powstanie i zajął obronną postawę. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy mu oznajmiono, że zginęło wielu żydów i uznał to za dobrą wróżbę, mianowicie, iż za nowego króla wrogom chrześcijaństwa źle się dziać będzie.

Wiele jeszcze późniejszych koronacyj wzbudzało niepokój w tłumie »przywiąza nymdo dynastyi«, gdyż po ostatnie czasy prawa do tronu angielskiego, były przedmiotem licznych protestów ze strony innych rodzin mających pretensye do tronu i pociągały za sobą obawę, że w czasie aktu koronacyjnego protesty te będą dokumentowane.

Stąd powstał zwyczaj, że w czasie koronacyi »rycerz króla« w pełnym rysztunku wjeżdżał na koniu do hali Westminsteru, trzykrotnie rzucał na ziemię rękawicę i wielkim głosem wzywał do walki wszystkich tych, którzyby rościli sobie prawa.

Po raz ostatni ceremonię tę wykonano za koronacyi Jerzego IV. w roku 1820, później jej zaniechano ze względu na to, że w czasie panowania Jerzego IV. zmarł ostatni ze Stuartów. Ale pozostali jeszcze przy życiu zwolennicy Stuartów i do dziś dnia w Anglii istnieją. Po śmierci królowej Wiktoryi, w nocy na drzwiach pałacu, przybito jej następcy dokument protestujący przeciw objęciu tronu przez Edwarda VII.

Rytuał ceremonii koronacyjnej spisany jest w książce *Liber Regalis*, kodeksie przechowywanym w opactwie, a pochodzącym z XIV. wieku. Ceremonia trwa obecnie około 4 godzin. ustalona jest w najdrobniejszych szczegółach i rozpada się na 20 rozdziałów. Pierwszym jej aktem jest uznanie króla. Arcybiskup Canterbury zwraca się w kościele

ku czterem stronom świata, na wschód i na zachód, północ i południe, wołając donośnym głosem

— Panowie *(Sirs)*, oto przedstawiam wam tu Jerzego, niewątpliwego króla tego państwa. Czy chcecie złożyć mu hołd i przysięgę?

Na to wszyscy zgromadzeni w świątyni z oznakami radości obwołują monarchę. Król przystępuje wtedy do złożenia swojej przysięgi, iż »rządzić będzie stosownie do statutów parlamentu, praw i obyczajów kraju«. Arcybiskup intonuje hymn *Veni Creator*, poczem następuje namaszczenie króla świętymi olejami.

W czase tego rozlega się pieść chóru Händla z pierwszej biblijnej księgi królów »Zadok kapłan i Natan prorok namaścił Salomona«. Powoli spływa z starodawnej złotej ampułki w kształcie ptaka, olej św. na głowę, piersi i ręce króla, który zajmuje miejsce na tronie drewnianym pochodzącym z czasów Edwarda I. Pod tym tronem znajduje się relikwia »kamień ze Skone», czyli »kamień przeznaczenia«, według legendy ten sam, na którym zasypiał patryarcha Jakób w Betulii. Właściwie zaś pochodzi ten kamień z wysp szkockich. Starzy naczelnicy celtyccy siadali na nim podczas koronacyi.

Następnie zakładają królowi ostrogi, opasują go »mieczem państwa», i oblekają go w ornat monarszy. Teraz dopiero odbywa się ceremonia inwestycyi *per annulum et baculum*, przez pierścień i miecz. Miecz państwa, jest mieczem dwusiecznym w czerwonej pochwie; król następnie wraca go państwu, otrzymując w zamian opłatę w wysokości stu szylingów. Oprócz tego używane są jeszcze w ceremonii miecze sprawiedliwości duchownej i świeckiej, oraz mistyczny miecz *Curtana* — tępy, który oznacza prawo monarszej łaski.

Arcybiskup Canterbury wkłada na głowę królowi złotą koronę. Lud wybucha okrzykami, a w tejże chwili wszyscy parowie nakrywają głowy koronami szlachectwa, jednocześnie zaś rozlegają się surmy trąb i uderzają wszystkie działa Toweru.

Korona sporządzona jest według starożytnego wzoru. Sama nie pochodzi z dawnych czasów, gdyż Oliver Cromwell i jego parlament rozkazali dawne insygnia koronne

przetopić na monetę, by zasilić w ten sposób skarb państwa. Korona jest tak ciężką, iż dzisiaj monarchowie nie mogą jej długo utrzymać na głowie, zastępuje się też ją po kilku minutach złotą obręczą.

Po korouacyi odbywa się czołobitność parów. Składają ją oni osobiście, lecz według kategoryi swych godności szlacheckich. Naprzód idą szeregiem książęta, później margrabiowie, hrabiowie, baronowie, reprezetowani przez najstarszych przedstawicieli rodów.

Po tem dopiero odbywa się koronacya królowej. Ceremonia kończy się aktem religijnym i odśpiewaniem hymnów pobożnych.

BARBARZYŃCY.

W starożytnym Egipcie był w powszechnem użyciu zwyczaj, iż wstępujący na tron władca usuwał napisy i wizerunki swych porzedników, wyryte na posągach kolumnach i ścianach świątyń. Tym sposobem król Ramzes II. uchodził w oczach greckich historyków za jednego z największych królów Egiptu. Dopiero nowsze badania wykazały, że przebiegły Faraon zręcznie pozacierał wszelkie nazwiska, odnoszące się do jego przodków, a w miejsce ich imion kazał umieścić swoje.

Tak więc starożytni Egipcyanie byli niekiedy mimo wysokiej oświaty barbarzyńcami, niszczącymi dzieła minionych pokoleń i usuwającymi barbarzyńską ręką wszelkie świadectwa ich istnienia. Działo się to jednak na setki lat przed Chrystusem, a więc w czasach, gdy prawo silniejszego panowało bezwzględnie i gdy jeszcze miłość bliźniego była społeczeństwu ludzkiemu zupełnie prawie nieznana. Wynika stąd jasno, że to, co uchodziło w państwie Faraonów trzy i pół tysiąca lat temu, nie może ujść żadną miarą cywilizowanym ludom Europy w wieku dwudziestym.

A jednak jest kraj w Europie, kraj, który jeszcze przed 40-tu laty kierował polityką europejską, a i dziś przoduje jeszcze światu w postępie nauk i sztuki, — kraj

francuski, gdzie są ludzie, którz prześladowaniem religii katolickiej chcą dorównać dawnym barbarzyńcom.

Mamy tu na myśli tegoroczny okólnik masonów francuskich, którzy treścią swą przynosi hańbę cywilizacyi ludzkiej.

Nie zdoławszy bezwzględnemi ustawami stłumić w narodzie francuskim życia chrześcijańskiego, wymyślają masoni wszelkie możliwe projekty wiodące do zniszczenia duchowieństwa i zatarcia najdrobniejszych śladów istnienia społeczności katolickiej. Najpierw tedy domagają się masoni francuscy zakazu noszenia ubrań i oznak kapłańskich poza obrębem kościołów. A więc usunąć suknię duchowną z ulicy, odzwyczaić lud od jej widoku, ograniczyć ją do kazalnicy i ołtarza. Kapłanowi katolickiemu we Francyi nie wolno będzie ukazywać się w stroju, który wyobraża powagę i dostojeństwo Kościoła oraz wymownie świadczy o jego posłannictwie. Natomiast każdemu człowiekowi wolno przybierać się w chałaty i nieobyczajne stroje...

Idźmy jednak dalej... Pachołkowie żydostwa chcą zniszczyć przepiękne objawy czci religijnej, jak procesye i nabożne obchody. Będzie więc dozwolonem urządzać w dniu 1-go maja olbrzymie pochody socyalistyczne, będzie można nosić przed nimi czerwone płachty i tablice, pokryte hebrajszczyzną — ale biada katolikom, którzyby z wizerunkiem Bogarodzicy w ręce i starą pieśnią na ustach wyszli poza obręb murów kościoła!

Projekty te są widocznym znakiem powrotu pierwszych wieków chrześcijaństwa. Toć i rzymscy cesarze nic innego nie robili, tylko prześladowali wyznawców krzyża i zmuszali ich do życia w podziemiach. Różnica między Neronami i Dyoklecyanami, a masoneryą tylko ta, że pierwsi karali śmiercią opornych, ta ostatnia zaś jest jeszcze za słaba, aby w ten sposób z przeciwnikami postąpić. Może zaś być, że niejeden chrześcijanin wolałby śmierć męczeńską, niż życie w takich warunkach.

Dalsze zakazy dowodzą tylko jeszcze większego upodlenia duszy masonów francuskich. Oto n. p. projektują masoni, aby wydano zakaz używania dzwonów albo zniesienia wszelkich insygniów religijnych, znajdujących się na

pomnikach i na jakiemkolwiekbądź publicznem miejscu. Chcą więc masoni poobalać figury i posągi Świętych przed kościołami i powywracać krzyże przydrożne. Nie potrzeba chyba dodawać, że w projektach tych odnajduje się odwieczną nienawiść żydostwa do Chrystusa.

Niemniej ohydnym jest następny wniosek, żądający zakazu wystawiania i noszenia na drogach, placach, gmachach i wszelkich wogóle miejscach publicznych, jakoteż w kościołach jakichkolwiek chorągwi, prócz narodowych francuskich lub chorągwi należących do zatwierdzonych stowarzyszeń. Myśl jawna. Ponieważ Kościół katolicki, jako całość, należy do związków, niezatwierdzonych przez rząd masońsko-socyalistyczny, nie miałby więc prawa wywieszania swych odznak. Znowu zatem pierwsze lepsze towarzystwo żydowskie mogłoby umieścić płachtę u wejścia do swego lokalu, dozwolone byłoby też używanie czarnych, czerwonych i nie wiem już jakich chorągwi; jedynie tylko wywieszanie sztandarów kościelnych uważałoby państwo za przestępstwo.

Projekt karania księży za udzielanie dzieciom szkolnym nauki religii, jest jaskrawym dowodem, jak masoni i radykali pojmują wolność nauki i wyznania.

Wreszcie żądają kasaty wszystkich kongregacyj, nawet takich, które pełniąc służbę miłosierdzia u łoża cierpiącej ludzkości, wypisały złotemi głoskami imię swoje w dziejach Kościołach i cywilizacyi...

Kto takie pomysły na seryo snuje i pragnie je w czyn wprowazić, tego inaczej nazwać nie można jak tylko barbarzyńcą.

Rozmaitości.

Zawrotne cyfry.

W roku 1901 obliczono majątek rodzinny wiedeńskich Rotszyldów i oceniono stan czynny nad 11 tysięcy milionów. Jeżeli przypuścimy, że cały ten kapitał przynosi tylko 4 prc. rocznego dochodu, to będziemy mieli liczbę

rocznego dochodu Rotszyldów wiedeńskich w kwocie czterysta czterdizestu milionów koron.

Jeżeli całoroczny dochód Rotszyldowski podzielimy na 365 dni, to zobaczymy, że rodzina Rotszyldów wiedeńskich posiada dochodu dziennego więcej niż jeden milion dwieście tysięcy koron, że przeto każda godzina przynosi około pięćdziesiąt tysięcy koron, minuta około 833 koron, każda sekunda około czternastu koron dochodu. Tak było przed dziewięciu laty — o ileż więc w tym czasie powiększył się jeszcze majątek tej rodziny.

Przysięga dzieci.

Ciekawe ze względu na wychowanie amerykańskie szczegóły znajdujemy w jednym z ostatnich numerów *New Jork Amcrican.* Pismo to podaje tekst przysięgi, jaką przed niedawnym czasem złożyć musieli wszyscy uczniowie w szkołach Stanów Zjednoczonych.

Treść tego aktu brzmi, jak następuje: „Przysięgam, że nie będę swawolnie niszczył drzew, ani kwiatów; przyrzekam uroczyście, nie nie będę spluwał na podłogę tramwaju, pokoju szkolnego i wogóle jakiegokolwiek gmachu publicznego; nie będę nigdy rzucał papieru lub resztek jedzenia na ulicę, w parku lub miejscu publicznem; będę zawsze i względem każdego człowieka grzeczn ; będę opiekował się ptakami; będę szanował cudzą własność w równej mierze, jakbym dbał o swoją; przyrzekam wreszcie być wiernym i prawym obywatelem państwa“.

W ten sposób amerykańska szkoła zaszczepia w sercach dziecinnych, myśli głębsze, które w dziecku od lat najmłodszych mają wyrabiać poczucie obowiązków obywatelskich.

Oryginalna sprzedaż.

W Chicago niejaki Karol Kittrick, liczący lat 41, chorujący na nieuleczalną i nie bardzo znaną lekarzom chorobę, sprzedał dozorczynioms zkoły medycznej „National Medical University College“ swoje ciało za 7 dola-

rów. W kontrakcie powiedziane było, że sprzedaje „serce, duszę i ciało“.

Kittrick umarł i dozorczynie zaraz objęły w posiadanie jego zwłoki. Ciało wystawione będzie na sprzedaż, na co z pewnością kupcy lekarze się znajdą, którzy będą chcieli chorobę nieznaną lepiej zbadać. — Tak to Amerykanie handlują, czem tylko mogą.

Dziwny zwyczaj.

Istnieje w Niemczech w niektórych powiatach zwyczaj dziwny, że nie żony przyjmują nazwiska mężów po ślubie, lecz przeciwnie mężowie wraz z ręką i posagiem żony biorą i jej nazwisko. W Niemczech zapatrują się na tę kwestyę z czysto ekonomicznego stanowiska i uważają to za rzecz zupełnie naturalną. Mąż przyjmuje nazwisko żony wówczas, jeśli wchodzi w jej majątek, który od lat wielu należy do jej rodziny.

Jeśli n. p. dobra w pewnej miejscowości należą do właściciela Webera i w całym powiecie znane są one jako takie, to jeśli córka Webera wychodzi za mąż, to mąż jej musi przyjąć nazwisko Webera. Uzasadniają to zaś tem, że lud w okolicy przyzwyczajony do tego miana nie mógłby zoryentować się, gdyby właściciel zmienił nagle nazwisko.

Dziwaczne skąpstwo.

Od czasu do czasu zdarza się słyszeć, iż milionerzy ulegają napadom sknerstwa, graniczącego z obłędem i pod wpływem tej manii pędzą życie, jak ostatni nędzarze. Oto niedawno odszukano w największej nędzy, zaginioną przed laty pannę Jane Perkins Williams, znaną niegdyś milionerkę, zaćmiewającą nawet słynną bogaczkę Hetty Greens.

Dziwaczka osiedliła się w nędzy, biedzie i brudach, w najuboższej dzielnicy New-Yorku. Miss Williams liczy obecnie 70 lat. Zapytana odmawia polici wszelkich wyjaśnień o powodach swego nędznego życia pustelniczego, jakie pędzi od lat 10-ciu. Tożsamość jej osoby stwier-

dzona została na podstawie listów, znalezionych w jej budzie z desek.

Przez czas swego życia pustelniczego żywiła się tylko mlekiem, z którego flaszki zapełniały wszsystkie kąty jej siedziby, szczelnie zamykanej, pełnej kurzu i brudu. Łóżko zastępowała jej stara kanapa, zawalona staremi dziennikami.

Pod stosami tych tysięcy dzienników odnalazła policya rozmaite walory i papiery ogólnej wartości przeszło 2 miliony koron. Stwierdzono również, że panna Williams złożyła oprócz tego w różnych bankach przeszło 2,100.000 koron w depozycie. Policya natrafiła wypadkowo na dziwaczkę, gdyż sąsiedzi uskarżali się na nią. Przewieziono ją do sanatoryum celem zbadania jej stanu umysłowego, budzącego podejrzenie poważnego zboczenia.

Sobotwór z drzewa.

Rzeźbiarz japoński Hananuma Masakichi wykonał własny swój sobowtór rzeźbiony w drzewie. Podobieństwo rzeźbionej postaci jest tak wielkie, że budzi podziw wśród ziomków artysty, którego niepodobna odróżnić od posągu, gdy przy nim stoi. Masakichi użył do tego arcydzieła 2.000 kawałków drzewa, które są jednak tak dobrze złożone w jedną całość, że spojenia są niewidzialne dla oka. Każda zmarszczka na skórze, każda nierówność skóry są niesłychanie dokładnie odtworzone przez artystę. Prócz tego Masakichi zaopatrzył starannie głowę swego sobowtóra włosami, aby złudzenie było jeszcze zupełniejszem.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Rocznik III. Kraków 1-go sierpnia 1911. (Półrocze II-gie) Nr. 2.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce
wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok: **5** kor. — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya **„ŚWIATŁA“** w Krakowie ul. Powiśle 12.

Kościół — a lud.

Na puszczy Betsaidzkiej, koło jeziora Genezaret otoczyła razu pewnego Chrystusa kilkotysięczna rzesza. Przez trzy dni lud słuchał słowa Bożego. Zapasy żywności już wyszły. W braku pokarmu z trudem wróciliby do domów, z niedostatku sił ustaną w drodze.

»Żal mi tego ludu« rzekł Chrystus! A nietylko słowem okazał współczucie, lecz wszechmocą swoją sam za radził biedzie; cudownie bowiem chleb pomnożył i głodnych nasycił; nietylko pokarmem duchownym zasilił, ale i cielesnym potrzebom zaradził

I Kościół św. nietylko słowem przez usta swoich kapłanów, lecz i dziełami swemi naśladuje Boskiego Założyciela. Kościół nauczający pobudował wspaniałe świątynie, abyśmy u stóp Chrystusa mogli wylewać potrzeby i smutki nasze. Kościół fundował szpitale, aby chorzy i opuszczeni mieli przytułek i opiekę; aby w starości i w kalectwie mieli strawę i kąt ciepły. Kościół otworzył ochronki dla sierót i opuszczonych dzieci, aby w zastępstwie rodziców wychować je na pożytek społeczeństwa; Kościół bogatszych do miłosierdzia zachęca. Kościół w czasach klęsk publicznych pozbawiał nawet świątynie złota i srebra, aby nieść pomoc potrzebującym.

Błądziłby ten, coby dowodził, że religia dotyczy tylko potrzeb duszy, a o potrzebach doczesnych nie myśli.

Religia i dobrobyt — mówią obłudni opiekunowie ludu — nie mają nic wspólnego; owszem religia katolicka zabrania nawet starać się o dostatki ziemskie, boć księża często głoszą, żeby się zdać we wszystkiem na Opatrzność Boską.

Jakto? A sprawiedliwość, którą przepisuje religia, a której broni zawsze Kościół, czy nie wpływa na poprawę bytu biedniejszych? Czy ta sama sprawiedliwość, która być powinna »fundamentem państw«, nie wymaga, aby każda narodowość, każdy stan miał swoje prawa zastosowane do swego usposobienia i potrzeb?

W życiu publicznem bezprawiem byłoby pozbawiać naród tego, co jest najdroższem dla niego skarbem — mowy rodzinnej, wychowania ojczystego, rządzenia się sobą.

Któż nie wie, że Bóg, Kościół, rozum i serce — skłaniają człowieka do miłości swojej ziemi, współobywateli, języka, historyi i pamiątek ojczystych.

Podobnież w życiu ekonomicznem, podług pojęć katolickich, nie można się rządzić tylko »wolną konkurencyą«.

Jak bogaty ma prawo do życia z procentu od swego kapitału, tak robotnikowi, rzemieślnikowi i rolnikowi należy oddać prawo do pracy i utrzymania odpowiedniego ludzkiej godności.

Oklepany to koncept masoński, jakoby Kościół katolicki dawał robotnikom i biednym wyrobnikom tylko »asygnacye na życie przyszłe, a o teraźniejsze nie dbał«.

Prawda, że Kościół, jak i sam Chrystus, zastrzega, że najważniejszą sprawą to dobro duszy: bo co pomoże człowiekowi, choćby cały świat zyskał, a na duszy stratę poniósł?

Głównym bowiem obowiązkiem człowieka to wypełnianie prawa Bożego, staranie się o pokarm dla duszy: »jeśli chcesz wnijść do żywota, chowaj przykazania«. Ale Kościół podaje też środki, którymi zapewnić można i właściwy dobrobyt tu na ziemi.

Ani ewangelia Chrystusa, ani Kościół katolicki, ani kapłani katoliccy nie stają w obronie wyzysku, lichwy i tyranii, jak okłamują lud niektórzy oświeciciele.

Nie żąda Kościół koniecznie przywrócenia patryarchalnych czasów, kiedy to wszyscy zajmowali się uprawą roli albo pasterstwem. Ale żądać musi, i to Papieże w swoich listach oświadczają, aby robotnik z rodziną swoją w teraźniejszych warunkach miał byt taki, jaki przystało na istotę ludzką, aby mógł prowadzić życie przyzwoite i korzystać odpowiednio do pracy ze zdobyczy ogólnej cywilizacyi i oświaty.

Na to potrzeba przedewszystkiem, aby robotnikowi dana była możność porządnego chrześcijańskiego życia rodzinnego. Dlatego pożądaną jest rzeczą, aby rodzina otrzymała żonę i matkę.

Jak to rozumieć? Oto tak. Choć zupełne usunięcie kobiet i dziewcząt od roboty w fabrykach i na folwarkach podobno nigdy już nie da się przeprowadzić, jednak otoczyć je wypada większą troskliwością; zmniejszyć n. p. można czas pracy, zapewniając im możność przebywania więcej z rodziną. Wszelkie ochronki, ogródki, przytułki, choć piękne w naszych warunkach oddają usługi, nie zastąpią nigdy pieczołowitości matczynej.

Przy małem wynagrodzeniu cała rodzina pracujących źle się odżywia; niezdrowe zajmuje mieszkanie lub po kilkoro w jednej izbie.

I jakie nie raz bywają stosunki. Mąż i żona wcześnie rano wychodzą do fabryki lub na pole; wieczorem wracają znużeni do domu, gdzie wszystko zastają w nieładzie.

Izba brudna, chłodna, jedzenie przyprawia się naprędce, a więc niestrawne. Dzieci jeżeli nie były w ochronie, zamorusane, obdarte.

Nie dziwmy się, że robotnik fabryczny czy folwarczny czuje się jakoś nie swój w mieszkaniu, szuka rozrywki poza domem. Pociąg do wódki, dla rozweselenia się w trudnem położeniu sprowadza większą nędzę. Stąd niepokój, trwoga o przyszłość, głód w czasie choroby lub starości.

A wtedy?... Żal tego ludu.

Do szczęśliwego pożycia rodzinnego potrzebne jest odpowiednie ile możności dogodne mieszkanie.

Sam wzgląd moralny przemawia za tem, aby nie w jednej izbie człowiek się rodził, spał, jadał, chorował i umierał. Patrzymy na to ze smutkiem po wielu folwarkach i fabrykach.

Czy długo tak jeszcze potrwa, nie wiemy.

To tylko możemy powiedzieć, że odciągnęłoby niejednego od pokus socyalistycznych, gdyby miał jaki taki kąt swój, choć dwie izdebki i odpowiednie utrzymanie. Nie stawianoby nadzwyczajnych żądań, niemożebnych do wykonania, gdyby choć najkonieczniejsze potrzeby były wpierw dobrowolnie zaspokojone.

Prawda, że dziś stosunki pod niejednym względem się polepszyły, ale to prawda, że każde niemal z ustępstw zostało wprowadzone z przymusu prawa państwowego albo z obawy zaburzeń robotniczych.

Nie czekajmy, aż gwałt nastąpi, lecz z dobrej woli przedsiębrać należy reformy praktyczne.

Proletaryusze — pracujący nie pragnęliby pewno obalać porządku istniejącego, gdy się przekonali, że stany wyższe podają im dłoń pomocną i że mogą bez gwałtów stopniowo dolę swą polepszyć.

Powtórzymy tu za Biskupem Kettelerem: »Spróbujmy, ale wszyscy bez wyjątku przez jeden tylko tydzień żyć ściśle według nauki Chrystusa, a temsamem rozwiążemy trudną kwestyę socyalną«, to jest wzajemny stosunek między różnemi klasami ludzi

Chrystus, który niegdyś na rzeszę patrząc, mówił »Żal mi tego ludu«, pobłogosławi nam wtedy w naszych zamiarach i pracach.

Z podróży po Ameryce.

(Opowiadanie ks. M. P.).

Emigracya.

Jadąc do Ameryki na wielkim niemieckim okręcie »Kronprinzessin Cecilie«, widziałem, że wraz ze mną płynie paręset emigrantów, z których blisko stu było Pola-

ków i Litwinów. Wylądowawszy (16-go sierpnia 1910 r.) w Nowym Jorku, udałem się zaraz do polskiego Domu emigracyjnego pod wezwaniem świętego Józefa, w nadziei, że tam znajdą się wszyscy emigranci, którzy ze mną odbywali podróż. Lecz jakie było moje zdziwienie, kiedym ich ani tego, ani następnych dni nie zobaczył.

Rektor Domu emigracyjnego, ks. Stanisław Cynalewski, bardzo zasłużony kapłan, kierownik Polskiej Spółki Finansowej, znawca stosunków polskich w Ameryce, objaśnił mię, że wszyscy nowoprzybyli emigranci są zawsze zatrzymywani na jednej z przyległych do miasta wysp, gdzie ich badają urzędnicy Stanów Zjednoczonych. Każdy z emigrantów, wyuczony wpierw przez swych znajomych, tłumaczy, że przyjechał odwiedzić kogoś z bliskich krewnych. Ale biada mu, jeśli pod krzyżowym ogniem zapytań wymknie się mu, że już ma pracę zapewnioną; biada, jeśli posiada umowę o wynagrodzenie za pracę; biada, jeśli okaże się choć trochę chory lub nie wylegitymuje się prawnie o stopniu pokrewieństwa z tym, do kogo przyjeżdża, — bez miłosierdzia wówczas, bez apelacyi, najbliższym okrętem zmuszony jest powracać do Europy. Bywały wypadki, że dla choroby oczu jednego z dzieci całą rodzinę odsyłano do portu europejskiego.

I dlaczegóż to wszystko? Czyż w Ameryce niepotrzebne już ręce do pracy?

Oto dlatego, że coraz więcej stosuje się w praktyce doktryna Monroe'a: »Ameryka dla Amerykanów«, a co za tem idzie — rząd obecny chce zamerykanizować wszystkich swych obywateli. Nie zmierza do tego drogą gwałtów, drogą odbierania mowy ojczystej i religii, ale idzie pośrednio. Emigracya podtrzymuje poczucie każdej narodowości nie amerykańskiej, to też dlatego rząd postanowił prąd emigracyjny ukrócić.

O jakże niebaczni są nasi rodacy, jadący do Ameryki, jak gorzko za to pokutuje wielu, kiedy sprzedawszy cały swój dobytek na podróż, zostają przymusowo odesłani do Europy i znajdując się bez grosza i dobytku cierpią ostatnią nędzę.

A teraz słów parę o emigrantach, którym się uda wylegitymować należycie i stanąć na ziemi amerykańskiej.

Kto ma pieniądze, może zostać bogatym, nie przeczę. Wobec ciążenia Amerykanów do miast, nie trudno kupić farmę z dużym kawałkiem ziemi, nie trudno pracując koło ziemi, ciągnąć z niej bogactwa.

Ale potrzeba mieć pieniądze i pracować ciężko. Przy tych warunkach i u nas można zostać bogatym. Ziemi uprawnej w Ameryce darmo nikt nie daje. Można wprawdzie od rządu dostać za pośrednictwem agentów-żydów i rozmaitych wyzyskiwaczy, w głębi lądu o tysiące mil od portu kawał dzikiego lasu wśród gór i moczarów, ale wykarczowanie lasu, pobudowanie farmy, zaprowadzenie drogi i t. p. trudy pochłoną tyle pracy, że za tę pracę można w kraju kupić stokroć piękniejszą sadybę.

Kto zaś nie chce zająć się karczunkiem, a nie ma pieniędzy na kupno gotowej farmy, musi iść na dzienne zarobki. Nieszczęśliwa jego dola! W Ameryce trzeba pracować dwa razy ciężej, a co najważniejsza — trzeba mieć więcej wykształcenia i kultury, niż nasz ludek wiejski posiada.

Weźmy naprzykład budowanie domu. Czy tam mularze noszą cegłę, kamienie, chłopy podają piasek i cement, tak jak u nas? Gdzie tam. Przy nowobudującym się murze stoją maszyny i windy. Robotnicy pracują przy maszynach i maszynom usługują, a one same kamienie podnoszą i składają, windy dźwigają piasek i wodę, windy oczyszczają ziemię i t. d. Przy takich okolicznościach nie dość jest mieć zdrowe ręce, lecz potrzeba jeszcze mieć mądrą głowę i spryt.

Jeśli zaś kto te przymioty posiada, a co najważniejsza ma z tysiąc koron w szkatule, oprócz wydanych na podróż, ten może w Ameryce zrobić dobry interes.

Radzę w takim razie emigrantom-Polakom i Litwinom, aby, przybywszy do Nowego Jorku, zwracali się najpierw do Domu św. Józefa, znajdującego się na ulicy Broad Street Nr. 117. Tam rektor tego domu, ks. I. Cynalewski, udziela potrzebnych rad i opiekę ma nad emigrantami. Udawszy się tedy, uniknie się wyzysku i oszukaństwa praktykowanego przez ludzi złej woli.

Dom św. Józefa powstał z ofiar założonego w tym celu Towarzystwa Opieki nad emigrantami jeszcze w 1896

roku. Ale najwięcej rozwinął się i wiele dobrego zdziałał, odkąd u steru działalności tego domu stanął wielki miłośnik ludu polskiego i znawca stosunków amerykańskich, niegdyś misyonarz w Patagonii, ks. Stanisław Cynalewski.

O wielkiem mieście, Nowym Jorku, niewiele mogę napisać, bo zbyt krótki pobyt mój nie pozwolił na dokładniejsze poznanie go. Zaznaczyć jednak mogę, że miasto powyższe wraz z przedmieściami ma kilka milionów ludności, że katolików tam jeszcze w roku 1908 było 1,700 000, Polaków zaś 136.200, parafij polskich 10.

Ponieważ Nowy Jork jest największym portem Ameryki Północnej, więc też ruch w nim i handel ogromny. Domy niesłychanie wysokie, zwłaszcza w portowej centralnej części miasta dochodzą do trzydziestu kodygnacyi (pięter). Ruch tramwajów i samochodów jest tak wielki na ulicy, że trudno przejść w poprzek.

Miasto posiada piękny ogród zoologiczny, rozłożony na wielkim obszarze ziemi przedmiejskiej.

Godną uwagi jest olbrzymia statua Wolności, wykonana przez Bartholdy'ego w 1886 roku. Jest to dar Francyi. Statuę umieszczono na wyspie przy wjeździe do portu, a jest tak wielka, że w wydrążeniu ręki bogini, trzymającej wzniesioną latarnię morską, łatwo może przejść człowiek z posągu do latarni. Cudami techniki są trzy mosty, łączące Nowy Jork z Brooklynem, rzucone przez szeroką rzekę Hudson. Pierwszy z nich był zbudowanym w roku 1883.

Parafie polskie.

Jeszcze przed zawarciem pokoju Wersalskiego, mocą którego Stany Zjednoczone po długiej wojnie uznane zostały przez Anglię jako niezależne mocarstwo, więc około 1783 roku zwrócił się Ojciec św. Pius VI. do Franklina z propozycyą mianowania swego wikaryusza Apostolskiego dla katolików w Ameryce. Kongres narodowy, zawiadomiony przez Franklina, odpowiedział, że nie ma prawa wtrącać się do spraw religijnych. A artykuł I. poprawek konstytucyi na mocy V. artykułu głosi: »Kongres nie ma władzy ustanawiać praw względem ustalenia panującej religii«.

Z tego widzimy, że w Stanach Zjednoczonych panuje absolutny rozdział Kościoła od państwa. Charakterystycznem jednak w tym rozdziale jest to, że nie, jak w europejskich państwach, rząd czuje się wyższym od Kościoła, dyktuje mu prawa lub prześladuje jego wyznawców, lecz przeciwnie, czując się niżej od Boga, od religii, od Kościoła, daje mu pełną swobodę.

Katolicyzm dawniej niewielu miał wyznawców w Ameryce. Bardzo dużo było tam purytanów, mormonów i rozmaitych sekt, w niektórych nawet stanach uchwalono wyjątkowe prawa na księży katolickich.

Dziś to wszystko ustąpiło absolutnej swobodzie. Dziś kościoły katolickie wznoszą się wszędzie. Duchowieństwo szanowane jest przez wszystkich.

Zaznaczam jednak, że rząd nie płaci pensyi na utrzymanie księży. Czy katolicy czy wyznawcy innej religii muszą swoim kosztem budować i utrzymywać kościoły, płacić składkę na utrzymanie proboszczów i Biskupów.

A jednak tam duchowieństwo biedy nie doznaje. Wierni są hojni dla swych pasterzy.

Parafie tworzą się w miarę potrzeby ludności.

Podam taki przykład. Nad brzegami Oceanu leży portowe miasto Boston. W jednej jego dzielnicy Cambridge (czytaj Kembridż) zamieszkało sporo emigrantów - Polaków. Poznali oni przejeżdżającego przez to miasto księdza J. Żmijewskiego z Królestwa Polskiego i zaczęli go prosić, aby z nimi pozostał. Zgodził się na to zacny kapłan i, uzyskawszy pozwolenie swego Biskupa, przeniósł się do Ameryki. W tym czasie z powodu braku dochodów zbankrutowała protestancka parafia przy ulicy Otis, właśnie w dzielnicy Cambridge, gdzie zamieszkał uproszony przez Polaków ks. Żmijewski. Dzielny ten kapłan żywo zakrzątnął się wśród rodaków: zebrał składkę, kupił protestancką kirchę, ozdobił, poświęcił i tak założył polską — katolicką parafię.

W innych miastach widziałem, jak ksiądz kupuje malutki kawałek ziemi, zakłada kapliczkę i szkołę — to początek parafii. W kilka lat potem dokupuje się duży plac i buduje wspaniałą świątynię. Parafia założona.

Już to w Stanach Zjednoczonych niema katolików malowanych, obojętnych, nie spełniających swych obowiązków, jakich wielu mamy w starym kraju.

U nas świątynie pobudowane, parafie zorganizowane, szkoły otwierać wolno, księża pobierają rządową pensyę, słowem Kościół ustalony. W Ameryce Północnej katolicy muszą wszystko tworzyć i wszystko utrzymywać. Kto pozostał katolikiem z przekonania, czynnie popiera Kościół; stąd, choć takich tam mniej, gorliwością przewyższają Europejczyków. Z własnej pracy wznoszą świątynie, budują szkoły, sprowadzają i utrzymują księży, organizują i opłacają gazety katolickie.

Księża zaś amerykańscy mają tam dużo więcej pracy i wpływu niż u nas. Nietylko spowiadają, odprawiają nabożeństwa i spełniają funkcye kościelne: oni organizują parafie, zakładają bractwa i stowarzyszenia, redagują lub wspierają pisma, prowadzą szkoły, urządzają czytelnie i biblioteki, zbierają i przechowują fundusze, zarządzają kółkami i komitetami i t. p. — tysiące muszą załatwiać spraw, społecznych i religijnych.

W Ameryce życie nie stoi, nie płynie tak nudno i powoli, jak u nas: ono wre i kipi, i każdy Amerykanin musi z niem nadążyć pracować i działać — inaczej zginie.

W Stanach Zjednoczonych znajduje się przeszło 40 dyecezyi. Około szesnastu milionów katolików. Polaków dwa do trzech milionów. Cyfry dokładnej podać nie mogę, bo dane statystyczne często różnią się od prawdziwych. Niejednokrotnie Polak urodzony w Galicyi lub Poznańskiem, na zapytanie przy urzędowym spisie, powie, że się urodził w Niemczech lub Austryi i figuruje na liście Niemców lub Austryaków.

Biskupa polskiego dla wszystkich Polaków niema. Jego Excellencya Biskup Rhode jest wikaryuszem generalnym, czyli pomocnikiem Arcybiskupa chicagowskiego tylko. Wprawdzie nie odmawia swych usług rodakom; konsekruje kościoły polskie i bierzmuje w obcych dyecezyach, ale nie z jurysdykcyi, lecz ze swej łaski i za zezwoleniem duchownej zwierzchności.

Będąc w Chicago, ja i moi towarzysze: ks. P. Mańkowski i ks. Z. Skarzyński mieliśmy szczęście złożyć swe

uszanowanie temu jedynemu polskiemu w Ameryce Biskupowi. Jakiż miły widok uderzył nas przy powitaniu. Biskup przyjmował dziatwę do szkoły. Egzaminował i rozmawiał z rodzicami. Biskup Rhode jest zarazem proboszczem. Parafia stanowi jego utrzymanie.

Duchowieństwo w Ameryce Północnej nie jest, ogólnie mówiąc, lepiej od naszego uposażone. Są miejskie parafie, bogate, tam i księża mają więcej dochodów. Są ubogie parafie w górach, wśród lasów i dolin. Niejeden ksiądz ma kilka misyjnych parafijek, rozłożonych w borach i lasach o kilkadziesiąt kilometrów jedna od drugiej, jeździ po jednej do drugiej i pracuje nieraz bardzo ciężko.

Zakonów nie brak w Stanach Zjednoczonych. Są tedy: Franciszkanie, Jezuici, Zmartwychwstańcy, Krzyżacy i inni. Wielką działalność rozwijają Siostry Felicyanki, uczące dziatwę. Zakonnicy i zakonnice cieszą się wielką swobodą i otoczeni są należnym szacunkiem.

Do najpiękniejszych kościołów polskich w całej Północnej Ameryce należy kościół św. Józefata w Milwaukee. Koszta budowy wyniosły przeszło 2 miliony koron. Piękne marmury, prześliczne rzeźby, wspaniała wielkość tego gmachu zachwyca każdego. Kościół ten wzniesiony został staraniem ks. Wilhelma Grutza. Skończony w roku 1901 należy obenie do Franciszkanów.

Bardzo piękne i duże kościoły są w Chicago, Milwakee, Buffalo i Bostonie. Statystyka z roku 1905 wykazywała 517 kościołów polskich. Dziś możemy ich liczyć do tysiąca. *(Dokończenie nastąpi).*

Noc w Koloseum.

(Wrażenie z pobytu w Rzymie).

Nad wiecznem miastem noc rozpostarła gwiaździsty całun, siedem pagórków tonie już w mroku, tylko wieże i kopuły świątyń rysują się ciemnemi liniami na pogodnem tle nieba.

Najciemniej jednak i najmroczniej jest w dolinie, objętej do koła wzgórzami, które pod nazwą Kapitolu, Pa-

latynu, Eskwilinu i Caelium, zasłynęły w historyi świata. W głębi tej kotliny czernią się potężne mury Koloseum, olbrzymiego szkieletu, który dziś jeszcze przeraża rozmiarami swemi i nagością.

Zazwyczaj po zachodzie słońca pusto tu i cicho; rzadko kiedy przechodzień zabłąka się w tę stronę, gdyż z dawien dawna cyrk Flawiuszów złowrogiego używa rozgłosu.

W średnich wiekach gnieździli się w nim łotrzykowie wszelkiego rodzaju: jakiś czas był warownią feudalnych baronów, a naszem w stuleciu rzezimieszkowie zaczajali się w niezliczonych jego arkadach i ograbiali przechodniów.

Dziś jeszcze samotny wędrowiec niechętnie kieruje swe kroki w stronę amfiteatru i via Sacra. Nocami wstają tam z grobów widma przeszłości i snują się wśród zwalisk Rzymianie, przysięgają, że nieraz echo jęków i westchnień odbija się o strzaskane kolumny i mury.

Niema już jednak powodu do obawy; i duchy i bandyci pierzchnęli z Forum i Koloseum, wystraszeni gwarem, jaki tu panuje. Ludno jest i głośno w tem pustkowiu, powozy co chwila zjeżdżają z sąsiednich pagórków, gromadki ludzi wchodzą pod arkady i rozpraszają się po arenie. Dziś wielka uroczystość w dawnym cyrku Flawiuszów: mają puszczać fajerwerki, a ta ulubiona Rzymian zabawa ściąga corocznie tłumy w kotlinę Koloseum.

Zajeżdżamy o dziewiątej przed amfiteatr, który wśród mroku sprawia wrażenie jakiegoś olbrzymiego Lewiatana. Pochodnie, płonące gdzieniegdzie, raczej zwiększają, niż rozpraszają ciemności. Noc jest pogodna, gwiazdami wyiskrzona, wiosenna, ale od gór Sabińskich wieje chłód surowy, wspomnienie zimy, która tam się schroniła między skalne wąwozy i śnieżne szczyty, zanim z tego przytułku nie wypłoszą jej jasne promienie słońca i ciągłe z południa podmuchy.

Po arenie błąkają się w ciemności tłumy ludzi, gwarząc z sobą wszystkiemi językami świata; na wyższych piętrach zabłyśnie niekiedy mdłe światełko i wnet gaśnie. Muzyka wojskowa gra rozmaite marsze i uwertury, a z oddali dochodzi, niby szum fal morskich, stłumiony gwar kilkotysięcznej rzeszy. To bezpłatni widzowie, pouczepiani

u wszystkich okolicznych murów, krzyczą popychają się i niecierpliwią, nie mogąc doczekać się przedstawienia. Są to prawnuki tych samych Rzymian, którzy przed pałacami wylękłych imperatorów wrzeszczeli: *Panem et circenses!* a tłocząc się na stopniach amfiteatru, żądali, żeby chrześcijan rzucać lwom na pożarcie.

Z czcią stąpamy po ziemi, skropionej krwią Męczenników. Z każdego złomka murów, z każdej wyszczerbionej kolumny, przemawia do nas mnóstwo wspomnień.

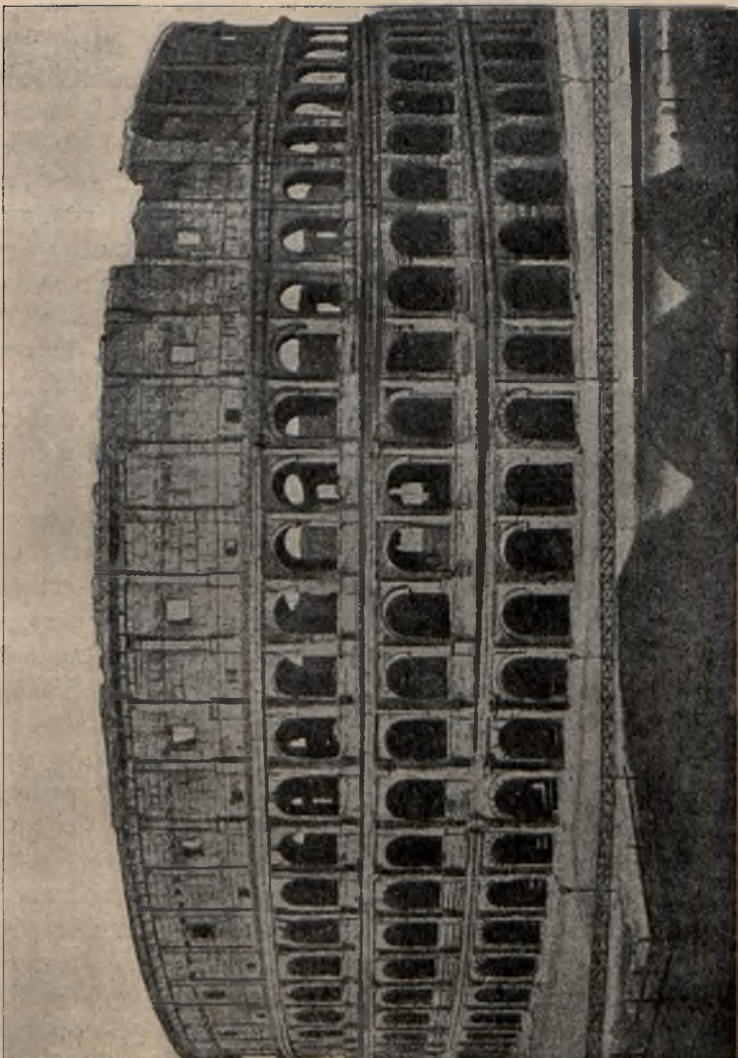
Wyobraźnia mimowoli odtwarza sceny, które się tu działy: widzimy gladyatorów, pozdrawiających imperatora wyrazami: *Ave Cesar! Mortituri te salutant!* widzimy dumne patrycyuszki rzymskie i bezbronne dziewice chrześcijańskie, wydane na pastwę dzikim zwierzętom.

Ten cyrk, zaczęty przez Wespazyana, a skończony przez Tytusa, musiał być za czasów swojej świetności ósmym cudem świata. Rzym chełpił się z niego, i uważał go za symbol swojej wielkości.

»Dopóki stać będzie Koloseum, dopóty stanie Rzymu. Skoro runie Koloseum i Rzym także upadnie, a razem z Rzymem świat cały« — brzmi proroctwo uczonego Bedy Venerabilis, który oglądał ten gmach w VIII. wieku po Chrystusie, kiedy całości jego murów nie zdołał jeszcze naruszyć ząb czasu, ani oręż najezdników, ani barbarzyńska ręka ludzka. Dziś jeszcze pomimo, że została z niego jedna trzecia część zaledwie, imponuje on, przygniata swoją wielkością. Dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi mogło się tu pomieścić.

Patrząc na te puste framugi, kędy stało niegdyś siemdziesiąt posągów, wyobrażających prowincye podległe cesarstwu rzymskiemu, przychodzi mi na myśl bardzo stara legenda: Posągi miały być zaczarowane, a skoro która z prowincyi buntowała się przeciw państwu, marmurowy jej wizerunek odwracał się od olbrzymiego posągu Romy ze złotem jabłkiem w ręku. Imperator korzystał z tego ostrzeżenia i natychmiast wysyłał legiony przeciw zbuntowanym, nie czekając, aż wieść nadejdzie od prokonsula.

Przechadzając się po arenie, dochodzimy do nizkiego, drewnianego parkanu, który odgradza rozkopane podziemia, gdzie niegdyś mieściły się klatki z dzikiemi zwierzętami.



Koloseum w Rzymie.

Musiały być bardzo obszerne, gdyż Rzymianie lubili patrzeć na krwawe walki lwów i tygrysów. Po ukończeniu cyrku, podczas igrzysk, wyprawianych przez Tytusa, trwających 100 dni, zginęło 5.000 dzikich zwierząt. Teraz z tej pustki wieje wilgoć i zniszczenie.

Naraz wystrzał przerywa nasze dumania; cały amfiteatr zajaśniał ogniami bengalskiemi. Na przemian, jedna arkada płonie złotem, druga szmaragdową barwą, trzecia żywem świeci fioletem, czarując wzrok harmonią i blaskiem kolorów, zlewają się z sobą w tęczową całość, obok dymu unosi się w górze, tworząc nad naszemi głowami przejrzyste velarium. Ku niebiosom lecą różnobarwne rakiety, pękają z trzaskiem, rozsypują się w gwiazd miliony. Koloseum, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zmienia swoją postać: to już nie ruina opustoszała i opuszczona, lecz zaczarowany pałac Aladyna, utkany ze złota i drogich kamieni, iskrzący się tęczowemi ogniami rubinów, szafirów i szmaragdów, blaskiem opali i topazów. Nie znać szczerb, ani rozpadlin, gdyż powiewny obłok przesłania je krepowym rąbkiem. To co było, umarło, ożyło i powstało w stokroć większej chwałe i piękności.

Jeszcze nie zdążyliśmy ochłonąć z wrażenia, nasycić oczu nieporównaną symfonią barw i świateł, kiedy wszystko gaśnie i znika. Gdyby nie ostra woń prochu, możnaby mniemać, że nam się przyśniła jedna z bajek z »Tysiąca i jednej nocy«.

Powtórny wystrzał nową zapowiada fantasmagoryę: na tle omszonych murów ukazuje się olbrzymia, promienista stokrótka, otoczona zielonemi liśćmi, aluzya do imienia królowej: Margherita.

Muzyka opuszcza arenę, a za nią podąża publiczność. Forum i via Sacra będą z kolei widownią cudnej gry blasków i kolorów. Całe Koloseum płonie teraz szkarłatem, jak gdyby wszystka krew niewinnie tu wylana rozgorzała nagle. Wspaniały łuk Konstantyna promienieje różanym odbłyskiem jutrzenki, świątynia Faustyny tonie w fioletowem świetle, wysmukła kolumna Fokasa wygląda, jak gdyby była wykuta z gorejącego złota, szmaragdowe blaski zapełniają olbrzymie arkady bazyliki Konstantyna. Wśród zwalisk, odzianych w godowe szaty, iskrzą się róż-

nobarwne wodotryski, spadają migotliwe gwiazdy, płyną ku górze promieniste świece rzymskie. Świetlane szlaki łączą ziemię z niebem.

Teraz morze ognia z kolei całą zalewa kotlinę; zdaje się, że olbrzymi pożar ogarnął Romę.

Tak musiała wyglądać stolica świata, kiedy zdobywał ją Alaryk, na czele Wizygotów, kiedy Genzeryk wydał ją na łup dzikich hord wandalskich, kiedy hufce Roberta Guiscarda roznosiły po ulicach śmierć i pożogę.

Pali się łuk Tytusa i świątynia Zgody, zapadły się w płomienie mury bazylik, runął bronzowy posąg Nerona, w postaci boga słońca, i stopiony żarem, płynie strugą gorącej lawy; tylko murowany piedestał sterczy jeszcze wśród ognistej powodzi. Skaliste zręby Palatynu także purpurową rozgorzały łuną, ze świątyni Kastora i Palluksa zostały tylko trzy wysmukłe kolumny z paryjskiego marmuru. Kłęby dymu zwiększają jeszcze złudzenie.

Tracimy poczucie rzeczywistości i chwilami zdaje nam się, że istotnie patrzymy na jeden z tych strasznych kataklizmów, wobec których nic się nie ostoi, wszystko musi runąć i przepaść....

O, tak, wszystko runęło, wszystko przeszło i zagasło, tylko wysmukła dzwonica kościoła św. Franciszki, wznosi się nietknięta nad szalejącem morzem płomieni, a na niej błyszczy krzyż tryumfujący — zawsze miłosierny i rozpościera opiekuńcze ramiona nad zgliszczami świata pogańskiego, nad cmentarzyskiem bóstw pogańskich.

»I burza minie, a krzyż się ostoi!«

Siła i długowieczność naszych przodków.

Że Polacy w granicach dawnej niepodległej, nierozszarpanej jeszcze Ojczyzny naszej większą od następnych pokoleń (a zwłaszcza dzisiejszego) odznaczali się rycerskością, siłą woli, wytrwałością, odpornością na trudy, energią, zdrowiem — mamy liczne na to w kronikach naszych dowody.

Było to zresztą rzeczą zupełnie naturalną, wypływało bowiem z koniecznego trybu życia naszych przodków: częste wyprawy w ciężkiej zbroi, szermierka, gonitwy, łowy powojenne i potrzeba przywdziewania na się zbroi, podróże konne, prace ręczne, wreszcie przebywanie przeważnie na wsi—wszystko to sprawiało, że siłacze w owych czasach wcale nie należeli do jakichś wyjątkowych zjawisk. Z całego szeregu na to w dawnych źródłach przechowywanych dowodów przytoczyć można tutaj parę.

W XIV. wieku Stanisław Ciołek, syn wojewody, chłopcem jeszcze będąc, wstępował na wyższe miejsce, brał w każdą rękę dorosłego mężczyznę i tłukł jednego o drugiego. Dzwon spuszczony z wieży jednego z kościołów krakowskich wziął za ucha i zaniósł po schodach do kościoła. We wsi swojej Ostrołęce, przy stawianiu młyna, zobaczywszy kilkunastu ludzi dźwigających potężną belkę, kazał ją wszystkim wziąć za jeden koniec, a sam pochwycił za drugi, przeniósł z nimi i osadził na ścianie. Kiedy ścisnął świeże drzewo, to ciekł z niego sok, jak z gąbki. Dwie złożone razem podkowy rozciągał lub kruszył. Oznaczywszy krótką szablą koło na ziemi, nie dał się z niego wyciągnąć za sznur choćby i dwunastu ludziom. W czasie pobytu swego w Pradze z Kazimierzem Wielkim, stanął do walki z jakimś słynnym siłaczem i tak go uścisnął, że biedny Czech skonał w jego objęciach. Wysłany w roku 1356 na Wołyń przeciwko Tatarom, poległ Stanisław Ciołek pod Włodzimierzem śmiercią bohaterską.

Wojciech Brudzyński, dworzanin królów Aleksandra Jagiellończyka i Zygmunta I., sześciu ludzi w pełnych zbrojach dźwigał na swoich barkach, a siedząc na koniu, gdy chwycił się rękami belki w bramie wjazdowej, konia swego w górę nogami z ziemi uniósł.

To samo umiał Wiesiołowski, marszałek wielki litewski, który pewnego razu na łowach uratował Zygmunta Augusta od śmierci, osadzając na miejscu oszczepem żubra, który pędził na króla.

Król Zygmunt I. łamał podkowy, rwał postronki, napinał kuszę bez lewara, talię kart przedzierał. Niemniej silnym od niego był Janusz II, ostatni książę mazowie-

cki (1526), który także słynął z wyrzucania w górę kół i potężnych kamieni.

Marcin Brzozowski, »Kapturem« zwany, tańczył swobodnie dokoła stołu z beczką piwa na ramieniu. O Jakóbie Niezabitowskim (w wieku 16), słynnym z odwagi, niesłychanej siły i olbrzymiego wzrostu, a będącym postrachem Tatarów, wspomina z uwielbieniem Bielski.

Tyszkiewicz, wojewodzie brzeski, rozdrażniał niedźwiedzia, a gdy już zwierz stanął na łapach, łeb mu wtedy ucinał. Ks. Druszkowski, proboszcz bochotnicki, kiedy mu obce konie wpadały do ogrodu, przez mur je wyrzucał.

Czasy tych Herkulesów bezpowrotnie już chyba minęły i dlatego to może z tem większym podziwem patrzymy dzisiaj na wyjątkowych, nielicznych bardzo siłaczy, popisujących się na arenach w cyrku — patrzymy jak na zabytki dawnej przeszłości, zapominając nieraz, że to, co nas w nich wprawia w zdumienie, nie jest ową naturalną przodków naszych siłą, lecz niemniej może podziwu godną, ale tylko techniką (wyćwiczeniem).

Przy tak olbrzymiej sile, dawni Polacy długiem cieszyli się życiem. Piast miał żyć 120 lat; Gerundy Denhoff 130. Rycerz Jan Krzetowski mając 100 lat, wojsko do obozu prowadził. Tomasz Zamojski przeżył 100 lat, a na Wołyniu niejaki Jakób Zygmunt, w tymże wieku, jakby młodzieniec, harcował na koniu.

We wsi Miechowej, w Bracławskiem, włościanka Marya Świeniecka żyła 120 lat, a Jacanowska w 165 roku życia umarła z przestrachu przy oblężeniu Torunia przez Szwedów. W okolicach Krosna, rolnik pewien w 115 roku życia pracował za czterech parobków, a krawiec Puchalski w Warszawie w 101 roku życia szył bez pomocy okularów.

Kucharka w Kozielcu 106-letnia, w roku 1741 gotowała obiady nawet na senatorskie stoły. Organista w Sierakowicach w 107 roku grywał pięknie na organach; zbiegano się z najdalszych stron, by słuchać jego gry mistrzowskiej. W Chełmnie niejaki Pobowiecki, woźny sądowy, 105-letni starzec, gdy krzyknął: »Mości panowie uciszcie się!« było słychać na drugiej stronie ulicy.

W Rynkowcach 112-letni starzec, młynarz, wstrzymywał jedną ręką koło młyńskie, Henorowicz, szewc, umarł w 115 roku życia.

W Lichnowicach żyła rodzina Różyckich; w której przez kilka wieków każdy potomek żył około 100 lat. W zeszłem stuleciu cesarzowi Napoleonowi przedstawiono szlachcica polskiego w ubiorze z czasów Jana III. Sobieskiego. Ten niezwykle długi wiek był zazwyczaj skutkiem skromnego i czynnego życia.

ZWYCIĘZCA.

Przed Napoleonem I. stał człowiek blady i smutny. Na czole jego głębokiemi zmarszczkami pooranem wypisane były troski i trudy, a obok nich myśl głęboka. Pierwszy konsul Francyi, Bonaparte bowiem nie był wówczas jeszcze cesarzem, spoglądał wszakże na niego, jak gdyby z politowaniem. W pokoju cisza panowała, nareszcie przerwał ją Napoleon.

— Jużem raz dał panu odpowiedź przez marszałka Marmot, rzekł tonem gniewnym. Niepotrzebnie trudziłeś się pan osobiście. Nie zmieniam mych przekonań tak często, jak rękawiczki, pomysł pana uważam za szaleństwo. Francya jest za ubogą, aby dawać pieniądze szarlatanom i awanturnikom?

Krew uderzyła do twarzy bladego człowieka, nie odpowiedział jednak ani słowa, zapanował nad wzburzeniem, jakie mu zawrzało w piersi i wyszedł w milczeniu.

Tym mniemanym szarlatanem był Robert Fulton, amerykanin, który prosił Bonapartego o zasiłek pieniężny. Oddawna marzył Fulton o zastosowaniu w żegludze maszyny parowej, lecz nie miał na to środków; zbudował już model statku parowego, statek ten żeglował po Sekwanie wobec licznego tłumu widzów, zebranych nad brzegiem rzeki, lecz pierwszy konsul uporczywie odrzucał wynalazek, nie wierząc w jego praktyczność; nawet nie chciał go poddać poważnemu badaniu uczonych.

— I cóż czynisz teraz? zapytał zawiedzionego w swych nadziejach mechanika jeden z jego znajomych.

— Zbuduję statek parowy, odparł krótko Fulton.

— Jak? czem?

— Tego nie wiem jeszcze, ale to wiem, że przeszkody słabym tylko odwagę odbierają, a ja słabym nie jestem! odrzekł stanowczym tonem amerykanin.

I nie porzucił swych marzeń. W roku 1807 Fulton opuścił Francyę, by do ojczyzny powrócić. Tam pracował dalej nad swojem dziełem, ale i tu przesądy, uprzedzenia utrudniały mu pracę. Nie zrażał się jednak i za pożyczone pieniądze budował wytrwale parowiec... Po kilku miesiącach dzieło było skończone. Statek parowy, zwany Clermon, ukazał się na rzece Hudson. Zebrane tłumy nad brzegiem rzeki przypatrywały się z powątpiewaniem dziełu rodaka. Wtem na pokładzie ukazał się Fulton, pogodny, promieniejący radością i rzekł głośno, tak, aby był przez wszystkich słyszany.

— Kto zechce odbyć ze mną podróż do Albany, tego biorę darmo na mój parowiec!

Lecz w tłumie, stojącym nad brzegiem rzeki, nikt ku przystani się nie skierował. Posypały się tylko drwiące i złośliwe żarty, a nawet groźby.

— Skąpać nas chcesz w rzece, mówili, dziękujemy pięknie!

— Ty, stary oszuście! wołali drudzy, chcesz na nas próby odbywać?... Rób doświadczenia na samym sobie!

Fulton pobladł, skinął na majtków i sam popłynął. Zaszumiały wody, rzeki i statek posunął się zrazu zwolna, potem z szybkością strzały... Ucichły żarty i groźby, tłum w milczeniu patrzył na parowiec, a potem jednym głosem zakrzyczał:

— Niech żyje Fulton!

Geniusz odniósł tryumf nad ciemnotą ludu. Fulton ukazał się na pokładzie. Dobry człowiek, już przebaczył winowajcom, powiał białą chustą ku rodakom, jakby chciał powiedzieć:

— Dziękuję wam!

W oczach jego świeciły łzy radości. Zwyciężył wreszcie przesądy, był panem swego wynalazku.

Wprowadzenie w życie żeglugi parowej, które świat zawdzięcza Robertowi Fultonowi, jest jednym z ważniejszych wypadków w dziejach ludzkości, równie ważnym, jak wynalazek drogi żelaznej, bo ułatwił komunikacyę między państwami, zbliżył rozdzielone oceanami części świata. To też choć Francya zraniła obojętnością tego wielkiego człowieka, choć Ameryka zrazu nie dowierzała jego pomysłowi, jednakże w końcu uczczono go, otoczono szacunkiem i uwielbieniem, a gdy Fulton umarł roku 1815, mieszkańcy Stanów Zjednoczonych przez cały miesiąc żałobę nosili. Dziś świat cały nazwisko Fultona z szacunkiem wymawia.

Obrazki marokańskie*).

W jednym z tegorocznych numerów paryskiego dwutygodnika *La Revue*, p. Karol Géniaux kreśli kilka ponurych obrazków z życia marokańskiego, zaczerpniętych z opowiadań Europejczyków, którzy z powodu interesów handlowych bawili w ostatnich latach dłużej lub króciej w tym burzliwym kraju. Każdy z tych osadników lub kupców opowiedział panu Géniaux najciekawszą przygodę ze swego życia na gruncie marokańskim, świadczącą, że obyczaje mieszkańców Maroka są jeszcze bardzo dzikie.

— Wyjechałem z Casablanca — opowiadał osadnik p. M. M., Francuz — podczas świąt Mouloud, obchodzonych na pamiątkę urodzin Proroka. Nazajutrz wieczorem miałem zobaczyć się w pewnej wiosce marokańskiej z moim pośrednikiem w zakupach nasion, niejakim Sadok Tlali. Przybywszy do jego domu, wzbudziłem w nim swą obecnością wielki niepokój.

— Trzeci rok mieszka pan w Maroku, nie wiedząc, że w tym tygodniu obchodzimy święto Mouloud. Zabraniam panu wyjść z mego domu! — zawołał gwałtownie Sadok.

*) Maroko, kraj na północnym zachodzie Afryki. W ostatnich czasach Francuzi starają się opanować ten kraj.

Mimo tego zakazu, chciałem wyjść na ulicę wioski, lecz Sadok rzucił się na mnie razem ze swymi służącymi i uwięził w swym domu. I miał racyę, co wyjaśni następujący wypadek.

W wiosce przebywało wówczas muzułmańskie bractwo Aissaounas, udające się do Casablanki. Ci sekciarze muzułmańscy byli tak zaciekli, że zabiliby każdego chrześcijanina na swej drodze, podczas dni świątecznych Mouloud.

Nazajutrz po mem uwięzieniu przez przyjaznego mi i dbającego o moje życie Sadoka, mogłem obserwować przez okno praktyki religijne tego bractwa.

Na ulicy wioski tworzyli oni kolisko, otoczone przez wielki tłum Beduinów. Sekciarze tańczyli przy dźwiękach tamtamów, szarpali na sobie odzież, drgali, jak w konwulsyach. Najbardziej histeryczni fanatycy z bractwa Aissaouas, mieli na wargach pianę i kaleczyli swe twarze i ramiona cierniami. Niektórzy zjadali skorpiony, które im rzucał naczelnik bractwa. Krew, pot, ślina szpeciły te straszne postacie.

Nagle rzucili się na jakiegoś człowieka, zdarli z niego odzież, skoczyli na jego obnażone ciało i usiłowali zmiażdżyć je swemi stopami.

Zaledwie zdołano wyrwać nieszczęśliwego z rąk rozszalałych fanatyków. Był to żyd.

Fanatycy uczyniliby to samo z każdym chrześcijaninem — zapewnił mnie Sadok.

Po świętach Mouloud, mój przyjaciel Sadok uwolnił mnie i zaprowadził do obozowiska tych sekciarzy, którzy, podobnie, jak ja, udawali się w powrotną drogę do Casablanki.

Teraz byłem niezmiernie zdziwiony spokojem tych fanatyków. Pokryci ranami, leżeli na swych matach, pili kawę i mnie nią poczęstowali.

Sadok polecił mnie, jako ich towarzysza podróży do Casablanki, którą następnie odbyłem z nimi razem. Troszczyli się o mnie w drodze, byli dla mnie bardzo uprzejmi. Ci fanatycy, poza dniami swych dzikich igrzysk religijnych, byli jak najspokojniejszymi ludźmi. Tylko na Wschodzie spotkać można takie przeciwieństwa.

A oto drugi obrazek, malujący sposób ściągania podatków w Maroku. Opowiedział go p. M. D, również Francuz, który podróżował, na krótko przed obecną akcyą francuską w Maroku, w sprawach handlowych.

Pewnego wieczoru — opowiada ten Francuz — usłyszałem na drodze jakieś straszne dźwięki. Zdawało mi się początkowo, że w pobliżu znajduje się banda europejskich chłopców szkolnych, którzy rożnorodnymi dźwięki trąbek wygrywają jakąś piekielną serenadę. To wspomnienie Europy tu w Afryce rozbawiło mnie.

Mój towarzysz podróży, stary Hiszpan, który z biegiem lat stał się prawie Arabem i znał doskonale obyczaje Marokańczyków, przybrał minę bardzo poważną, prawie trwożną.

— Nie śmiej się pan — rzekł do mnie. Te niesforne dźwięki trąb wydają żołnierze z wojska marokańskiego (mahalla). Wracają oni z jakiejś ekspedycyi wojskowej, która zazwyczaj bywa rozbojem.

Mahalla zbliżała się. Oddział ten składał się zaledwie z 50 jeźdźców w czerwonych kaftanach i zakurzonych szarawarach. Połowa oddziału miała trąby, lecz kilkunastu żołnierzy nie miało broni. Dowodził nimi oficer, którego zapytałem się, za pośrednictwem mego towarzysza Hiszpana, skąd wraca.

W odpowiedzi oficer rozłożył lewą rękę, w którą począł uderzać prawą dłonią, co miało oznaczać, iż powraca z pewnej wioski, zamieszkałej przez biednych fellahów (chłopów), dokąd wysłał go jego zwierzchnik, Kadi, dla poboru podatków.

Ci przeklęci fellahowie odmówili zapłacenia podatków, więc musiał ich ukarać, co właśnie objaśniło owo bicie lewej ręki przez prawą.

— Jak ich ukarałeś? — zapytałem.

Chcąc nam wyjaśnić rodzaj kary, oficer kazał czterem żołnierzom zdjąć z koni ciężkie wyładowane worki.

— Otwórzcie worki! — zawołał do żołnierzy.

Żołnierze rozwiązali worki i poczęli wyjmować powoli jedną, drugą, trzecią, dziesiątą głowę dziecięcą. Głowy wydawały się jeszcze żywe, tylko uśpione, świeże, otoczone pukłami wijących się włosów. Wyjęli po kolei 26 głów

chłopców, w wieku od 6 do 12 lat i ułożyli je w koło. Nareszcie jeden z żołnierzy umieścił w tem kole z głów dziecięcych szlachetną głowę starca, z oczyma, rozszerzonemi z przerażenia.

Na ten straszny widok cofnąłem się z przerażenia. A oficer zawołał: Spójrzcie! Oto cała szkoła, ucząca się koranu, z nauczycielem pośrodku.

I śmiał się, zadowolony ze swego zwycięstwa nad mieszkańcami, nie płacącymi podatków w Maroku.

Prawidła życia.

Tomasz Zan, jeden z najzacniejszych Polaków, przyjaciel Mickiewicza, założyciel stowarzyszenia młodzieży na uniwersytecie wileńskim, ułożył dla członków owego stowarzyszenia »prawidła«, które po wieczne czasy mogą służyć za wskazówki postępowania w życiu wszystkim, chcącym kształcić i doskonalić swe dusze.

Jako główne podstawy życia cnotliwego i pożytecznego, uważa Zan dwa przedewszystkiem czynniki, to jest: moralność i oświatę.

W pierwszym punkcie »prawideł« każe Zan młodzieńcowi codziennie po ocknieniu ze snu przypominać sobie, że »czas szybko i bez powrotu ucieka«, a zatem należy z niego korzystać ze wszystkich sił, aby przez cnotę i naukę zapewnić sobie szczęście osobiste.

»Pracuj naprzód nad odkryciem twoich niewiadomości — powiada. — gdy zaś poznasz, czego i jak wiele nie umiesz, czego i jak chciałbyś się nauczyć i czego nieuchronnie do twej nauki potrzebujesz, natenczas bądź przekonany, że uczyniłeś pierwszy, lecz wielki krok na drodze doskonalenia twego umysłu.

»Nie nazywaj dostateczną nauką wiadomości, usłyszanych z ust obcych albo wyczytanych z książki — mówi w dalszym ciągu, dając skuteczne rady, jak należy nabywać prawdziwej mądrości życia przez zgromadzenie wiedzy i doświadczenia — lecz staraj się nadto, sam nad wszystkiem, co widzisz, słyszysz, pojmujesz, ciekawie i ro-

zumnie zastanawiać się i myśleć, aby nabyte wiadomości przerabiały się w istotny pożytek i własność twego umysłu: podobnie, jako pokarm użyty i przetrawiony zamienia się w posiłek, krew we właściwe części twego ciała«.

Dalej zaleca Zan być skromnym w rozmowach, zdaniach, opiniach, nie stawać się zarozumiałym i nie unosić się, broń Boże, pychą z tego, co się zdobyło w dziedzinie wiedzy i nauki, bo to rzecz niebezpieczna i łatwo prowadząca do zguby. Gdybyś spostrzegł w sobie zarodek tego niebezpieczeństwa: »bież co rychlej do umiarkowańszego od ciebie, użyj jego rady, albo innych sposobów do odkrycia twoich niedoskonałości«.

Krótko, ale zazwyczaj jasno i treściwie określa w następnych paragrafach pojęcia cnoty, patryotyzmu, przyjaźni i miłości bliźniego.

»Chcesz być cnotliwym?« — pyta i zaraz taką daje odpowiedź: »Zapatruj się na sprawy wielkich cnotami ludzi, ażebyś usposobił się czuć szlachetnie. Gdy zaś uczujesz przywiązanie do ziemi ojczystej, skłonność do przyjaźni z towarzyszami swego wieku i powołania, miłość bliźniego i troskliwość o samego siebie, natenczas możesz być przeświadczony, że uczyniłeś pierwszy, ale wielki krok na drodze doskonalenia twego serca«.

»Słodkich owoców przyjaźni z twoimi towarzyszami możesz być pewnym, jeże stłumisz w sobie do szczętu samolubstwo i zazdrość, jeżeli będziesz szanować chwalebne postępki towarzyszów, będziesz szczery i otwarty, będziesz słuchał bez żadnej urazy naganę wad swoich i z pociechą przyjmował rady i przestrogi«.

Miłości bliźniego pokażesz dowody, jeżeli będziesz umiał litować się nad cierpieniem ubogich, bez względu na ród, stan, przekonania, wiek i płeć cierpiącego współczłowieka.

»Troskliwość o samego siebie zakładaj na tem, ażebyś wszelkiemi siłami doskonalił umysł i serce, tudzież utrzymywał czerstwość i zdrowie, chroniąc się stale gnuśności i rozpusty.

»Im łagodniejszym coraz będziesz się stawał i prostszym w pożyciu z drugimi, tem większego postępu w moralności będziesz miał dowody. Jeżeli kto naruszy twoją

łagodność, bądź spokojny; jeżeli cię dotkliwie obrazi, przebacz mu; jeśli natrętnik dalej się uniesie, zlituj się nad jego nierozsądkiem i proś go, ażeby cię wyzwolił ze swojej napaści; jeżeli i tym sposobem nie ustanie w złośliwości, przebacz mu jeszcze i proś go jeszcze, i nie uważaj gwałtownego odporu, chyba w przypadku niebezpieczeństwa«.

Ta chrześcijańska równowaga i pobłażliwość stanowią przez całe życie najwydatniejsze rysy charakteru i usposobienia samego Zana, który nietylko nakreślił młodzieży programat taki, ale sam sobie wcielił go niejako i do zgonu był żywym wzorem wygłaszanej teoryi.

Czyż nie wart, abyśmy powyższe »prawidła« przyjęli za swoje i według nich postępowali?

Aeroplany u zwierząt.

Najznakomitszym wynalazkiem ostatnich czasów są bez wątpienia maszyny latające, tak zwane, aeroplany. I nic dziwnego; — ludzie niezmiernej dokazali sztuki: latają po powietrzu za pomocą przyrządu cięższego od powietrza.

A jednak, powiedziećby można, że człowiek nie ma się czem pysznić. Prawa, które kierują wzlotem aeroplanu, oddawna już są znane... pewnym zwierzętom. Wyliczymy z nich niektóre.

Wiewiórka latająca, zwana polatuchą, posiada po obu stronach ciała skórę obwisłą, w kształcie fałdów, pomiędzy przedniem i tylnemi nogami, które rozciąga jak spadochron i za ich pomocą może wykonywać bardzo szerokie skoki na znacznej nawet przestrzeni, przy czem ogon puszysty służy jej za ster. Nie jest to zatem lot właściwy, kierowny, jak u nietoperzy, ale tylko zdolność utrzymywania się przez dłuższy czas w powietrzu podczas skoku. Pospolita polatucha w dość znacznej ilości zamieszkuje brzozowe i sosnowe lasy wschodniej Europy i Syberyi, ale jako nocne zwierzątko, mało jest znana.

Wiewórka norfolska, która zamieszkuje Nową Walię (w Australii), z niezwykłą zręcznością drapiąc się na najwyż-

sze szczyty drzew, wcale nie zadaje sobie trudu ze schodzeniem, ale rzucając się śmiało w dół, używa swoich fałdów, niby spadochronu. Skoki te bywają czasem zdumiewającej długości, a zwierzątko za pomocą swego »aeroplanu« płynie w powietrzu, zmieniając dowolnie kierunek zwrotami ogona.

Zdolność latania po powietrzu posiada pewien rodzaj jaszczurki zwany smokiem latającym. Nie ma on nic wspólnego z bajecznym smokiem w legendach i baśniach. Jest to nieszkodliwa, mała jaszczurka; ma około stopy długości; mieszka na drzewach w południowo-azyatyckich lasach. Żebra ma bardzo długie i ruchome, za ich pomocą rozciąga skórę na bokach ciała nakształt skrzydeł i tym sposobem może, podobnie jak polatucha, przelatywać z drzewa na drzewo na znacznej odległości.

Pomiędzy rybami morskiemi znajduje się też gatunek ryb latających, które wskutek swych mocno rozwiniętych pletw piersiowych i małego stosunkowo ciężaru zdolne są do utrzymania się czas jakiś w powietrzu. Wzbijają się one z wody tysiącami i zawsze w prostym kierunku przeciwko fali, najczęściej w czasie burzy, lub silnego wiatru. Przelatują czasem do 200 metrów, wznosząc się w górę na 6 metrów. Przy wzlotach pletwy tych ryb wyprężają się silnie i pozostają nieruchome, niby skrzydła aeroplanu. Lecą zwykle dalej przeciwko wiatrowi, niż z wiatrem, a tylko wiatr dmiący z boku zmusza je do zbaczania od obranego kierunku. Szybkość ich lotu jest na początku dość znaczna, potem się zmniejsza; czasem bywa, że uderzają się o wodę i ponownie wznoszą w powietrze, po chwili znów powtarzają toż samo. Zdaniem przyrodników, ryby te mogłyby przelatywać większe przestrzenie, gdyby im pletwy nie wysychały w powietrzu. Wysychając, stracą one swą elastyczność i nie mogą ryby w powietrzu utrzymać; muszą więc co pewien czas spadać do wody, aby je zamoczyć.

Ojczyzną tych ryb są morza podzwrotnikowe i umiarkowanej strefy, niekiedy ukazują się one w morzu Śródziemnem, widziano je też na brzegach oceanu Atlantyckiego w Anglii. Z pomiędzy ryb tego gatunku najbardziej uzdolnioną do latania jest ostrolotka, albo »jaskółka mor-

ska«. Ma ona tylko 6 do 10 cali długości, żyje gromadnie i z wierzchołka fal rzuca się łukowato w powietrze. Nieraz na 20 stóp wysoko wznosić się może, a przelatuje przestrzeń na 600 stóp długą.

Są w naturze inne jeszcze przyrządy do bujania w powietrzu, niemniej skuteczne od skóry i pletw. Takim przyrządem jest delikatna przędza »babiego lata«. Pospolicie mniemają ludzie, jakoby wiatr przerywał sznurki pajęczyny i te resztki unosił w powietrzu, dopóki się gdzieś nie przyczepią. Baczniejsze jednak oko przyrodnika znalazło inną tego zjawiska przyczynę. Oto na płynącej w powietrzu pajęczynie wisi u dołu pajączek i, unoszony prądem powietrza, wzbija się niby balonem w błękity. Miła to przejażdżka, a choć czasem, przy zbyt silnym wietrze, balonik pajęczynowy się urwie, przeważnie jednak mały podróżnik żegluje w powietrzu z powodzeniem. Sprawcami »babiego lata« są najczęściej drobne gatunki pajączków. One to, siedząc na liściu, czy suchym konarze, snują z gruczołów, tak zwanych kądzielników, długie nici pajęczyny, któremi wiatr igra. Gdy już pajączek tak wielki węzeł nici wysnuje, że ten zdoła unieść śmiałego żeglarza, zasiada w ich końcu spokojnie i oczekuje chwili, kiedy ciepły prąd wiatru uniesie te sznury w powietrze. W podobny sposób budują sobie pająki mosty napowietrzne pomiędzy drzewami, lub nawet nad mniejszemi strumieniami, jeżeli się chcą przenieść na miejsce dogodniejsze.

Że pająki mogą się za pomocą pajęczyny unosić nawet daleko, świadczą o tem liczne spostrzeżenia. Zauważono n. p. nieraz w odległości 10 mil od wybrzeży afrykańskich na otwartem morzu całe gromady pajączków, unoszone prądem ciepłego powietrza, które przyczepiały się do masztów i lin okrętowych.

Dlaczego właśnie w jesieni snują pająki w ten sposób pajęczynę, przyrodnicy różne podają przyczyny. Jedni mniemają, że mając w jesieni poddostatkiem żeru, pajączki czynią swoje wycieczki dla przyjemności; inni porównywują to zjawisko z ciągnieniem ptaków. Najprawdopodobniej pajączki, korzystając z pięknej pogody, puszczają się przy pomocy pajęczyny w powietrze na połów drobnych muszek, które w tym czasie bujają tysiącami w słońca pro-

mieniach. Porozwieszane po drzewach sznury pajęczyny są i latem, ale nie widać ich z pośród liści. Dopiero gdy liście opadną, wychodzą na jaw te nici pajęcze, które wiatr unosi i rozrywa, a które śmiało nazwać można aeroplanem pająka.

Rozmaitości.

Żyd a krzyż zasługi.

Sławny rosyjski jenerał Skobelew, znany pod nazwą „białego jenerała", siedział pewnego dnia w czasie rosyjsko-tureckiej wojny w swoim namiocie, zajęty pisaniem. Tuż za namiotem płynął Dunaj. Nagle nadlatuje granat i pada wprost przed namiotem... jeszcze chwila, a Skobelew stałby się ofiarą niszczącego pocisku. Stojący jednak przed namiotem na straży żołnierz, naturalnie także przedewszystkiem w własnej obronie, pochwycił natychmiast granat i wrzucił go do rzeki.

Żołnierz ten był żydem. Skobelew, widząc, że mu uratował życie, przemówił doń: „Czy wiesz, żeś mi uratował życie, namyśl się, co wolisz otrzymać w nagrodę, czy krzyż zasługi, czy 100 rubli".

— Żołnierz pomyślał chwilę i zapytał:

— A ile kosztuje taki krzyż?

— Co kosztuje? Sam dla siebie może mieć wartość zaledwie 5 rubli. Ale za to przynosi zaszczyt!

— Skoro się tak rzeczy mają, odpowiedział żydek, to proszę o 95 rubli i... o krzyż zasługi.

Wdowa mająca 50 dzieci i 270 wnuków.

W Pretoryi, w południowej Afryce, w dystrykcie Kronstadt w Transwalu, żyje pewna 79-letnia wdowa van Wyk, która ma poza sobą ciekawą historyę życia. Urodzona w roku 1832, wyszła w 18 roku życia pierwszy raz zamąż. Po dwóch latach owdowiała, mając 1 dziecko. Wkrótce, bo już po 10 miesiącach, wyszła powtórnie zamąż, tym razem za wdowca M. M. Pretoriusa, ojca czworga

dzieci. Z mężem tym żyła jednak tylko niespełna półtora roku, pozostawszy znowu wdową, mając już pięcioro dzieci.

Już po pięciu miesiącach wyszła poraz trzeci za mąż za Dawida Rieterse, który wniósł jej jako prezent ślubny siedmioro swoich dzieci. Z nim żyła lat 11, rewanżując się mężowi powiciem również siedmiorga dzieci. Po śmierci jego pozostała wdową, mając już 19 dzieci do wyżywienia.

Potem wstępuje po raz czwaty w związek małżeński i znowu z wdowcem Danielem Cronje, ojcem ośmiorga dzieci. I z tym żyła lat 11, obdarowując męża czworgiem dzieci.

Po śmierci jego była przez 5 lat wdową, poczem wychodzi za Henryka Kloppera, kawalera; z nim żyła również 11 lat i miała dziewięcioro dzieci, zanim i ten przeniósł się na łono Abrahama. Po dwuletniem wdowieństwie wychodzi po raz szósty za mąż i znowu za wdowca z pięciorgiem dzieci, Henryka van Wyka.

Z małżeństwa tego miała czworo dzieci. Jak trzej jego poprzednicy, tak i van Wyk zmarł po 11 roku pożycia małżeńskiego. Wytrzymała pani van Wyk, pozostała już wdową, otoczoną pięćdziesięciorgiem dzieci, które ą nazywają matką. Wnuków doczekała się dotychczas 270.

Piekło chińskie.

Jak szkoły podzielone są na klasy i stopnie — tak też Chińczycy piekło podzielili na okręgi, które z góry zaludniają przestępcami, stosownie do ich specyalności i stopnia wykroczeń. Stopień pierwszy obejmuje wszystkich obywateli chińskich, którzy przed śmiercią trudnili się niewypłacaniem długów, lichwiarstwem, szulerstwem i szpiegostwem. Ci mają być tłuczeni na wzór — mówiąc po ziemsku — cynamonu w moździeżu.

W drugim stopniu piekielnym mieszkają występcy przeciwko religii: niedowiarkowie, świętokradzcy i bezbożnicy. Cała ta publiczność odbywa pokutę w postaci serca do dzwonów. Gwałtowny huragan porusza wciąż dzwonami, zaopatrzonymi zamiast serc żelaznych w ciała zażartych niedowiarków.

Trzeci stopień zamieszkały jest przez płeć nadobną. Wszystkie damy, trudniące się wynalazkami w dziedzinie kosmetyki, mody, wypełniają ten okręg.

Zakaz podróżowania.

Dziś wolno w Austryi każdemu wyjeżdżać kiedy chce i dokąd chce. Były jednak czasy, i to nie zbyt dawne, gdy wyjazd z Austryi był rzeczą wcale nie łatwą.

Już cesarz Józef II. ustawą o wychodźtwie z 10-go sierpnia 1774 postanowił, że żaden poddany nie śmie opuszczać granic państwa bez szczególnego pozwolenia. Młodzież rodów szlacheckich do 20-go roku życia nie mogła wogóle wyjeżdżać, a to dlatego, bo rząd chciał, żeby jak najmniej pieniędzy wywożono za granicę.

Po wojnach napoleońskich stała się w Austryi gotówka rzadkością, a że ci, którzy ją posiadali, wyjeżdżali chętnie za granicę, więc wzbudziło to niechęć rządu.

W roku 1806 2-go września otrzymał minister spraw zagranicznych, hr. Stadion odręczne pismo cesarza Franciszka następującej treści: „Z uwagi na to, że sumy, które różne osobniki wywożą za granicę dają w całości pokaźną liczbę, zabrania się takich podróży za granicę. Tylko w wyjątkowych wypadkach można udzielić pozwolenia, jeśli podróż istotnie jest potrzebna; nigdy zaś w wypadkach podróży dla przyjemności“.

Monarchii to nie pomogło; w pięć lat później i tak zbankrutowała. Stosunki te dające nieraz możność do nieuzasadnionych szykan policyjnych, ustały dopiero po rewolucyi. Obecnie po stu latach odbijają się prawnuki za te zakazy dawniejsze i jeżdżą w sposób nielitościwy, czy potrzeba, czy nie potrzeba.

Szkolnictwo w Europie.

Ogółem istnieje w Europie 465 tysięcy 451 szkół, w których zajętych jest 1 milion 119 tysięcy 413 nauczycieli: naukę pobiera 45 i pół miliona uczniów; na jednego nauczyciela przypada przeciętnie 45, przed 20-tu laty przypadało 60 uczniów.

W Rosyi jest nauczycieli 195 tysięcy, w Niemczech 168 tysięcy, czyli o 27 tysięcy mniej. W Rosyi przypada 1 nauczyciel na 644, w Niemczech na 361, w Anglii na 233 mieszkańców (nauczycieli 177 tysięcy 500). Analfabetów (to jest nie umiejących czytać ani pisać) przypada na 1.000 ludzi w Rosyi 617, Włoszech 315, w Austryi 257, Francyi 40, Belgii 20, Anglii 10, Niemczech 3. W Niemczech uczęszcza do szkoły 68 procent (to jest 68 na 100) dzieci w wieku 5 do 16 lat, w Rosyi tylko 27 prc.

Korespodencya panujących.

Gdyby panujący stosowali się do zwyczajów, które obowiązują zwykłych śmiertelników, i odpowiadali na wszystkie listy, musieliby mieć całe legiony sekretarzy. Najliczniejszą korespondencyę ma Papież, otrzymując dziennie 22 do 25 tysięcy listów, Zatrudnia aż 35 sekretarzy. Cesarz Wilhelm II dostaje po 4 tysiące listów i po 3 do 4 tysięcy gazet dziennie., król angielski 2 do 3 tysięcy.

Cesarz Franciszek Józef daleko mniej.—1.500 zaledwie, królowie hiszpański i włoski jeszcze mniej, bo 300 do 400, królowa holenderska — 150. Prezydentowie Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej — od 1.000 do 1.500 listów i druków. Najmniej przynosi poczta p. Fallièresowi prezydentowi Francyi, bo tylko 50 do 60 listów dziennie.

Podziemna gazeta.

Jaki olbrzymi ruch panuje pod ziemią w Londynie wykazują dowodnie cyfry kolejowe; w ciągu roku 1906 koleje podziemne przewiozły 240 milionów pasażerów. Te podziemia stolicy Anglii mają też swoje stacye telegraficzne, telefoniczne, kawiarnie zakłady fryzyerskie, a od kilku lat i swoją — gazetę.

Pismo to jest przeznaczone wyłącznie dla pasażerów „Londyńskiej podziemnej kolei elektrycznej“, a nosi nazwę „Kret“. Wydawca p. Albert Stanley, w pierwszym numerze objaśnił, że głównym celem pisma jest zapobieżenie wzajemnemu przyglądaniu się pasażerów, które, zwłaszcza dla pań, jest skutkiem położenia siedzeń bardzo niemiłe.

Gazeta wychodzi co sobotę i, pomimo, że nie ma żad ych ogłoszeń, rozdawana jest pasażerom bezpłatnie. Są w niej artykuły, pogadanki, plany Londynu, okolic, kolei żelaznej, drukowana zaś niebieską farbą na białym papierze.

Osobliwe jaszczurki.

W Australii południowej uznane zostały za pożyteczne jaszczurki zwane „Goanna“, należące do gatunku „Monitor“. Szczególne to stworzenia, mierzące od 6 do 7 stóp długości, odznaczają się nadzwyczajną zwinnością i ruchliwością. Spłoszone przez przechodnia, wdrapują się na drzewa nader szybko i zręcznie, jak wiewiorki.

Mają one bardzo długie ogony, za które łatwo byłoby ściągnąć je z drzew, lecz nikt tego nie czyni przez wzgląd na ich charakter. Sprawdzono, że jaszczurka „Goanna“ tępi jadowite węże, stąd też uważane są za nader użyteczne i cieszą się nawet ochroną prawną.

Czego odznaką jest nos?

Nos jest pewną wskazówką charakteru człowieka. Nos gruby jak gruszka należy do ludzi szczęśliwych. Jeżeli nos jest rozdęty, to dowodzi, że jego właściciel jest smakoszem lub salonowcem. Nos orli zdradza odwagę. Nos szeroki u wylotu zdradza uszczypliwość i skłonność do śmiechu. Nos cienki oznacza lękliwość; szerokie dziurki w nosie znamionują zamiłowanie do pracy. Wreszcie nosek pyrkaty, to jest zadarty krzywo do góry jest własnością osób dziwacznych i ekscentryczek.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Rocznik III. Kraków 1-go września 1911. (Półrocze II-gie) Nr. 3.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok: **5** kor. — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie ul. Powiśle 12.

Z podróży po Ameryce.

(Opowiadanie ks. M. P.).

(Dokończenie).

Szkolnictwo polskie.

Nasi rodacy, mieszkający w Stanach Zjednoczonych, dzięki wyższemu, niż u nas wykształceniu i nabytej tutaj inteligencyi, rozumieją dobrze doniosłość szkoły polskiej. Gdzie tylko organizuje się polska parafia, tam nieodmiennie powstaje zaraz i szkoła.

Szkoły polskie w Ameryce powstały staraniem duchowieństwa polskiego i pozostają dotychczas wyłącznie pod jego kierownictwem. Noszą przeto nazwę »parafialnych«, w przeciwieństwie do rządowych, które tam się nazywają »publiczne« i są ściśle bezwyznaniowe.

Rząd Stanów Zjednoczonych popiera wszelkimi sposobami cywilizacyę i oświatę, więc też nigdy żadnych nie czyni przeszkód w otwieraniu szkół lub nauczaniu. Wie o tem dobrze, że dając swobodę i wiedzę, tem samem zobowiązuje dla siebie mieszkańców.

Jak dalece Amerykanie kochają swój kraj i rząd, dowodem może posłużyć ten fakt, że kiedy z powodu wypowiedzenia przez Stany wojny Hiszpanii prezydent Mac

Kinley dnia 23-go kwietnia 1898 roku zażądał od kraju 125 tysięcy woluntaryuszów na dwa lata służby w armii — zgłosiło się w krótkim czasie przeszło milion ochotników! W Stanach Zjednoczonych niema powszechnej obowiązkowej służby wojskowej. Mają pojedyncze Stany i większe miasta swoją milicyę, lecz bardzo niewielką, ale państwo to silne miłością swych mieszkańców. Każdy Amerykanin, acz nie zmuszony obowiązkowym poborem, stanie na wezwanie i chętnie pójdzie w bój za kraj, który mu daje swobodę, wiedzę, obronę i wszelkie wygody. Ale do rzeczy.

Rok szkolny w polskich zakładach naukowych większych trwa 10 miesięcy: od września do czerwca. Są jednak małe szkółki parafialne, które funkcyonują tylko w czasie wakacyj; w tych to szkółkach dziatwa kształcąca się w szkołach z językiem wykładowym angielskim, choć przez parę miesięcy uczy się ojczystej historyi, katechizmu i języka polskiego.

W czasie szkolnym nauka odbywa się każdego dnia w tygodniu z wyjątkiem soboty i niedzieli (te dwa dni przeznaczone są na wypoczynek), oraz ważniejszych świąt kościelnych i krajowych.

Rozkład godzin jest taki: O godzinie ósmej Msza św., po której rozpoczyna się nauka i trwa do godziny dziesiątej. Następnie po kwadransowej pauzie lekcye przeciągają się do jedenastej i pół. Po południu od godziny pierwszej do czwartej z kwadransową pauzą po godz. drugiej i pół.

Program nauk odpowiada programom szkół publicznych z dodaniem religii, języka ojczystego i historyi Polski.

U nas, gdy kto dziecko oddaje do zakładu naukowego, zapytuje najpierw: jakie szkoła daje prawa rządowe. W Ameryce tego pytania nie znają. Tam potrzebna nauka i wiedza, a nie prawa. Jeżeli jaka szkoła ma dobrych nauczycieli i uczniowie umieją dokładnie to czego się uczyli, to uniwersytety w porozumieniu się z zarządem danej szkoły, przyjmują uczniów na wyższe studya bez wahania.

Dziatwa polska uczy się, ogólnie mówiąc, dobrze, bo na porządku dziennym jest, że uczeń szkoły polskiej, o ile wstępuje do publicznej, zostaje przyjęty do klasy równo-

znacznej, albo, co częściej się zdarza, dostaje promocyę do klasy wyższej.

A teraz o pojedynczych szkołach słów parę.

Pierwsza szkoła polska powstała w roku 1866 staraniem ks. Bakanowskiego C. R. w mieście Panna Marya w stanie Texas. Druga w następnym roku przy parafii św. Stanisława w Millwaukee. Później z każdym rokiem, wraz z przybywaniem parafii, przybywało i szkół polskich, tak, że obecnie jest ich chyba do tysiąca.

Dzieci uczęszczających do szkół polskich więcej jest, niż 100 tysięcy; zważywszy że w samem n p. Chicago w roku 1900 było już 15 tysięcy.

Na wyróżnienie zasługuje szkoła polska przy kościele św. Stanisława w Buffalo (Boflo). Ogromny gmach tej szkoły z czerwonej cegły zbudowany, wykończony został w roku 1890 i mieści 2.800 dzieci; 27 Sióstr Felicyanek i 5 nauczycieli świeckich zatrudnionych jest nauczaniem.

Dodać powinienem, że ks. Jan Pitass, założyciel tej szkoły, należy do najwybitniejszych księży polskich w Ameryce. Urodził się ten kapłan w 1844 roku w Niemieckich Piekarniach na Górnym Śląsku. Kształcił się w Raciborzu, następnie w Rzymie odbył studya teologiczne i wyjechawszy do Ameryki w roku 1873 z rąk Biskupa Buffalowskiego otrzymał święcenia kapłańskie. Nazajutrz (8 go czerwca) w dzień św. Trójcy odprawił prymicye w niemieckim kościele katolickim i tegoż dnia po południu zebrali się u niego zamieszkali w Buffalo Polacy i pod przewodnictwem młodego kapłana zorganizowaną została w tem mieście pierwsza parafia polska.

W rok potem staraniem ks. Jana Pitassa stał już pierwszy polski kościół; pod tym samym dachem mieściła się szkoła i plebania. Parafia św Stanisława wzrastała szybko; z kilkudziesięciu rodzin przy zakładaniu parafii w rok potem było już kilkaset. I wkrótce tak się zwiększyła liczba wiernych, że wybudowano nowy piękny, z wysoką wieżą kościół, w stylu romańskim. Poświęcenie świątyni odbyło się w roku 1886.

Kościół ten, jak i niektóre inne amerykańskie podzielony jest na dwa piętra. Kościół dolny i nad nim górny. Ćwierćwiekowa praca dla rodaków, kościół i szkoła, dają

prawo zasłużonemu kapłanowi temu nosić słuszne miano patryarchy Polonii w Buffalo i okolicy.

Oprócz parafialnych szkół polskich, w dziedzinie oświaty wysoce zasłużone są zakony męskie i żeńskie. Więc OO. Zmartwychwstańcy, Franciszkanie, Jezuici i inne. Ale najwięcej szkoł polskich jest w ręku Sióstr zakonnych. Najstarszemi są Siostry Opatrzności Boskiej.

Mają około sześć szkół. — Dalej Siostry Notre-Dame'ki (czytaj Nortdamki) mają więcej, jak 16 szkół; uczą około 10 tysięcy dzieci. Siostry Nazaretanki, Zmartwychwstanki, Szkolne św. Józefa i Felicyanki, wszystkie te zakony ogromne kładą zasługi dła społeczeństwa polskiego.

W czasie swego pobytu w Ameryce zwiedziłem kilka takich szkół zakonnych, ale niezatarte wrażenie zostawił mi dom prowincyonalny i szkoła Felicyanek w Cheektowaga pod Buffalo. Zakład ten, zbudowany na dziesięciu akrach ziemi, posiada gmach, w którem przemieszkuje 189 Sióstr. Matka prowincyonalna i 270 dzieci (chłopców 140, dziewcząt 130). Siostry mają dużą kaplicę, obszerny chór; sale dla dziatwy niezmiernie wygodne, z wielkiem uwzględnieniem zasad hygieny i kultury.

Kiedy zwiedzając zakład, wszedłem do sali, gdzie była zebrana dziatwa, doznałem nieopisanego wrażenia. Sierotki stanęły w półkole i śpiewały. A pieśń »Cześć ci ziemi Polska, cześć Ojczyzno miła« głęboko wryła się mi w serce. Hen! tak daleko za morzami, za lądami dzieci te po większej części, nie mające rodziców, zginęłyby dla kraju, a może i dla Boga, ale zesłała im Opatrzność Siostry Felicyanki, które ich żywią, ubierają, kształcą i utrzymują w ich serduszkach miłość dla wiary ojców ich i ziemi polskiej.

Kapelanem przy tym klasztorze jest zasłużony ksiądz prałat kapituły warszawskiej Walenty Świnarski. Staruszek już bardzo podeszły w leciech, bo liczący lat 78; jeszcze w roku 1904 obchodził on złoty jubileusz kapłaństwa.

Siostry Felicyanki dzielą się na trzy prowincye: Detroit, Millwaukee i Buffalo. W roku 1901 miały pięć zakładów i ochronek, a 39 szkół polskich; dziś liczba ich znacznie większa.

Wyższych szkół Polacy w Ameryce posiadają niewiele: Akademia Nazaretanek i kolegium św. Stanisława w Chicago, wyższa szkoła OO. Reformatów w Pułaski, także szkoła w Millwaukee i Shamokin, nakoniec wielkie polskie seminaryum. O innych wyższych szkołach nie słyszałem.

Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje seminaryum polskie w Detroit. Jeszcze w roku 1870 kardynał Ledóchowski, mieszkający w Rzymie, proszony ciągle przez Biskupów amerykańskich o księży polskich, podał myśl założenia polskiego seminaryum duchownego w Ameryce. Składką w tym celu zajął się ks. L. Moczygęba, nie czując się jednak na siłach z powodu podeszłego wieku, przeprowadzenie tego zamiaru do skutku złożył w ręce ks. Józefa Dąbrowskiego, który w roku 1887 gmach seminaryum wykończył i zaczął kształcić alumnów. Liczba uczniów zwiększała się rok rocznie: w 1888 było 35 zaledwie, w pięć lat potem było już 105, a w roku 1898 — 153, obecnie liczba ich wynosi 330, do 80 kleryków a 250 uczniów, którzy albo przechodzą na kursy teologiczne, albo się przenoszą do uniwersytetów państwowych.

Dawniej seminaryum znajdowało się w mieście Detroit. W roku 1909 nowy rektor ks. Buhaczkowski kupił koszary oficerskie w Ovchavd Lake (wymawia się Ovczavd Lek), położone o parę mil angielskich od Detroit, a złączone z niem koleją parową i elektryczną i do tego miasta przeniósł seminaryum.

Dziś ma ono niesłychanie wygodne pomieszczenie i bardzo zdrowotną okolicę. Dziewięć murowanych budynków rozrzuconych wśród lasu nad brzegiem jeziora, własną elektryczność, urząd pocztowy, wodociągi, automobile, żaglowce i place do gry w piłkę — słowem wszelkie wygody. Każdy budynek ma inne przeznaczenie: w jednym jadalnia, w drugim sale restauracyjne, w innym szkoła i kaplica, dalej sypialnie, mieszkanie dla profesorów, gości i t. d.

Cześć kapłanowi, który takie miejsce wybrał dla swych wychowanków, i cześć dla Polonii, która swoimi darami dopomogła kupić tak uroczą siedzibę!

Życie Polaków w Stanach Zjednoczonych.

Konstytucya Stanów Zjednoczonych zapewnia swym obywatelom całkowitą swobodę związków. To też Polacy łączą się w rozmaite stowarzyszenia. Przy kościołach są bractwa i związki parafialne samodzielne lub należące do wielkich organizacyi. Pobożne bractwa troszczą się o ozdoby świątyni, odmawiają lub śpiewają nabożne oficya, utrzymują ochronki i instytucye dobroczynne. Związki o celach społecznych posiadają kasy pogrzebowe, biura pracy, wspierają ubogich, utrzymują biblioteki lub redagują pisma.

Do największych organizacyi należą: Zjednoczenie Polskie rzymsko-katolickie, liczące przeszło 40 tysięcy członków, oraz Związek Narodowy Polski— 60 tysięcy członków. Mniejszych stowarzyszeń jak: Sokół, Macierz Polska, Związek Polek, rozmaitych »Lig« i Unii bez liczby.

Wielka to szkoda, że niema dotąd jednej wielkiej polskiej organizacyi, łączącej wszystkie odcienie związków. Ale natura ludzka jest wszędzie jednaka. Członkom Zjednoczenia zdaje się, że związkowcy nie są katolikami. Ci zaś zarzucają Zjednoczeniu, że nie jest dość polskiem-narodowem; tu pobożność, tu demokracya, ówdzie cele partyjne, dość, że jednej organizacyi wielkiej, łączącej wszystkich Polaków, Ameryka nie posiada.

Pism polskich widziałem w Ameryce sporo. Każda większa kolonia polska, każdy związek potężniejszy posiada swój organ.

Polacy w Stanach Zjednoczonych piastują rozmaite godności rządowe i miejskie. Godności tam są obieralne, więc każdy uczciwy i zdolny człowiek może być bez względu na narodowość i elektorem i członkiem kongresu, i burmistrzem miasta, ba, nawet prezydentem. Wielu z naszych rodaków trudni się handlem — jedni posiadają wielkie składy hurtowne, inni fabryki lub sklepy. Wielu Polaków poświęca się rolnictwu, inni pracują w drukarniach i fabrykach, służą w wojsku, prowadzą przedsiębiorstwa — słowem we wszystkich sferach i gałęziach przemysłu spotkać można naszych rodaków.

W dziedzinie wynalazków zasłynął swego czasu Brat Żegleń, Zmartwychwstaniec z Chicago, który wynalazł kulochronny pancerz jedwabny. W dziedzinie malarstwa promienieje jako pierwszorzędna gwiazda p. T. Żukotyński z Chicago. W dziedzinie literatury wybitniejsi są: dr. J. Iłowiecki, Szczęsny Zahajkiewicz, Marya de Mańkowska i inni. Największe jednak zasługi w piśmiennictwie polskiem położył ks. Wacław Kruszka, proboszcz parafii św. Wojciecha w Millwaukee. Autor dzieł: »Rzym«, »Neapol i Wezuwiusz«, »Hymny Wielkopostne«, »Anarchizm i jego stosunek do socyalizmu«, oraz wielu innych; w ostatnich latach napisał obszerną »Historyę Polski w Ameryce«, w której szczegółowo opisuje wszystkie parafie i osady polskie w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Dzieło monumentalne i opracowane bardzo troskliwie; tomów 13, wydane w roku 1905, drukiem Spółki Wydawniczej *Kuryera Polskiego* w Millwaukee, stanu Wisconsin.

Ks. Wacław Kruszka urodził się w Słabomierzu, w księstwie Poznańskiem 1868 roku: kształcił się w Wieluniu i Wągrówcu. Następnie był profesorem w Chyrowie. Chcąc się poświęcić stanowi kapłańskiemu, pojechał do Rzymu, gdzie studyował teologię i wyjechawszy do Ameryki w 1895 roku, przyjął święcenia kapłańskie. Odtąd z wielką gorliwością pracuje dla kościoła i narodu.

Założył już trzy polskie parafie: w Bipon, Oshkosh i Millwaukee św. Wojciecha. W 1904 roku był delegatem od duchowieństwa polskiego do Rzymu z prośbą o Biskupa Polaka dla Ameryki.

Będąc w Millwaukee, ja i moi towarzysze mieliśmy przyjemność poznać tego wybitnego kapłana i doświadczyć jego uprzejmości. Ks. Jan Szukalski, proboszcz kościoła św. Cyryla i Metodego wraz z p. Fr. Wasilewskim ofiarowali nam swe automobile, na których pod przewodnictwem ks. Kruszki objechaliśmy całe miasto i oglądaliśmy jego najpiękniejsze kościoły. Życzliwość i uprzejmość, jaką nam okazali ci rodacy, wyryła w sercach naszych niezatarte wspomnienie.

A teraz powiem słów parę o równości amerykańskiej

Dużo się o tem słyszało. I po większej części prawda. Żadnych kastowych przywilejów, żadnych jaśnie wielmożnych, żadnych tytułów dziedzicznych, ani orderów tam nie znajdziesz. Robotnik na farmie zasiada do stołu wraz ze swym panem. Wszystkie koleje mają jedną klasę dla wszystkich. Tragarz podaje rękę wykwintnie ubranemu podróżnemu. Słowem równość całkowita.

Może się komu wyda dziwne, jak to się dzieje, że milioner zasiada w wagonie razem z chłopem, ale muszę wyjaśnić, że tam takich chłopów, jak są u nas, brudnych, analfabetów, niezgrabnych nie znajdziecie. Tam prosty robotnik więcej ma inteligencyi i towarzyskiej ogłady i porządniej się ubierze, niż u nas niejeden, co robotnikowi rozkazuje. Stąd i różnica się zaciera. Nie byłbym jednak sprawiedliwym sprawozdawcą, gdybym nie dodał, że i tam jednak są różnice stanowe, acz niezbyt wyraźne. Są wagony tak zwane »tykietowe«, gdzie się dopłaca za osobne krzesło. Są całe dzielnice podmiejskie, gdzie w prześlicznych willach i pałacach mieszkają bogacze.

Teorya równości absolutnej w praktyce jest absurdem. Kiedyś do Ameryki napłynęło setki kolonistów równych sobie; jedni pozostali robotnikami, inni zaś wybili się na wyższy szczebel, jeśli nie szlachectwa, to przynajmniej bogactwa.

Gdybym chciał wszystkie wrażenia ze swej podróży po Ameryce streścić, to musiałbym ogólnie powiedzieć, że życie amerykańskie, kultura, swoboda i cywilizacya wyprzedza nas o jakie trzysta lat.

Na wyróżnienie zasługuje gościnność naszych rodaków. Nas »gości ze starego kraju«, jak się amerykańscy Polacy wyrażali, przyjmowano z otwartem sercem.

Kiedyśmy byli w Buffalo, poznaliśmy zacnego redaktora, p. A. Skarzyńskiego, kierownika *Dziennika dla Wszystkich* i właściciela fabryki wina częstochowskiego. Z prawdziwie polską uprzejmością podejmował nas u siebie, własnym automobiłem zawiózł nas do wodospadu Niagary, obwiózł po mieście, gdzie obznajamiał we wszystkiem, co jest godnego widzenia.

Niewielu poznaliśmy duchownych i świeckich Polaków, ale ci, z którymi mieliśmy przyjemność spotkać się, pozostawili po sobie jak najsympatyczniejsze wrażenie.

JEZIORO ŚWIERKÓW.

Podanie litewskie.

Skreślił B. B.

Umarła Litwa pogańska, umarła w całej sile swego życia, w całym blasku piękności swojej; podobna do młodej dziewczyny, która nie znając jeszcze uniesień światowych, obca troskom i goryczom żywota, idzie do cichego grobowca, z nadzieją, że w innej krainie będzie weselsza, że będzie kąpać swe lica w zdroju czystej wody, że będzie rzewną duszą modlić się do piękniejszego młodziana, aniżeli najpiękniejszy anioł ziemski.

Skonała Litwa w zaraniu żywota swojego, podobna do młodej matki, która pieszcząc u łona dziecię, wpatruje się w jego oblicze, a wpatruje się tak długo, aż się błękit jej oka zaćmi, i już nigdy światłości ziemskiej nie zobaczy, nie zobaczy nawet tych kolei, przez które anioł jej przechodzić będzie.

Jak kochanek z wieńca mirtowego, który mu za całą pamiątkę po lubej został, przypomina sobie cudną postać najdroższej, jej słowa wdzięczne, przymilenia pieszczotne i obietnice szczęścia ziemskiego; jak rzewne chłopię po tęsknem echu pieśni, którą nad jego kolebką matka nuciła, a która nie przestała jeszcze odbrzmiewać w jego duszy; jak sierota po dźwięku głosu matki serce jej rozumie — tak ja po pieśniach, które brzmią jeszcze nad wodami Niemna, po warkoczach brzóz wieńczących samotne pagórki, po paśmie podań, po gwarze zabaw, zgaduję starą Litwę i czuję, jakim tętnem ona biła wtenczas, gdy w jej świętych jeziorach urodne dziewy kąpały białe lica, gdy w jej cienistych gajach ogień pochłaniał ofiary całopalne i dym ich pod niebo wysyłał, gdy na jej wyżynach wznosiły się wieże wysokie, patrzące dumnie po obszernych smugach i borach okolicznych.

Więc jesli chcecie, mili bracia to wam krótko opowiem jacy to byli praojcowie Litwy; więc jeśli chcecie, miłe siostry, to wam jednę pieśń o nich powtórzę.

*
* *

Ongi, na Nowogródku, panował możny książę Erdźwiłł, syn Montwiłłów. Erdźwiłł był mężnym w bitwie i odważnym wśród niebezpieczeństw, jako lew młody; a że był przytem rozumny, więc w krótkim czasie potrafił i swoich wrogów pokonać, prawa zadyktować całej Litwie, zjednawszy sobie wprzód jej miłość i zaufanie bez granic.

Ale z małego panka stawszy się możnym dziedzicem Nowogródka, lubił często przypominać sobie chwile dawnego bytu, i dlatego nie podnosił hardo nad innych głowy i nie pysznił się bogactwem swojem, siłę tylko wywierał na wrogach ziemi, a grozę zdrajcom okazywał.

Litwa od czasu jego rządów na nowo zakwitnęła pięknością i życiem. Dawniej dzikie góry były puste, a na nich tylko zwierz drapieżny albo jeszcze drapieżniejszy człowiek przemieszkiwał

Więc nie dziw, że gdy Erdźwiłł wzniósł piękny zamek dla siebie, opasując go murem i dźwigając cztery potężne baszty, niby czterech olbrzymich strażników, nie dziw, że gdy książę swoję siedzibę ozdobił pięknie, to ona stała się miejscem słynnem i ciekawem, a ciekawem tak, że każdy Litwin kładł sobie za warunek konieczny, przynajmniej raz w życiu oglądać jego mury i jego wszystkie piękności, a pokłonić się potężnemu panu, który własnemi siłami i własnym rozumem potrafił te cuda prawie z niczego wyprowadzić.

Erdźwiłł rycerzom kuningom zawsze był dostępny i nigdy od gości nie stronił, bo oprócz tego, że był w swoim domu rad niezmiernie i kazał podczas uczty burtynikom wdzięczne pieśni przygrywać, ale jeszcze dawał młodym rady i wskazywał drogi, któremi można dojść sławy i majątku, od starszych zaś i doświadczeńszych przyjmował wdzięcznem sercem przestrogi, i nigdy się za nie nie obrażał.

Co się zaś tyczy młodych, dzielnych wojowników, których licznym pocztem dziedzic nowogrodzki lubił być

zawsze otoczon, dla tych, oprócz mądrości księcia, oprócz szczerej gościnności jego synów, dla tych dwór Erdźwiłła był milszy nad inne dwory, gdyż książę miał córkę urodną, z błękitnemi jak niebo wiośniane oczyma.

* * *

Pan Nowogródka miał pięciu synów i jednę córkę, najmilszą osłodę, największą chlubę swego życia. Książę nazywał ją imieniem Egli. W mowie Litwinów Egle znaczy świerk, ale jest rodzaju żeńskiego. Otóż czy dlatego, że Egle była tęskna obliczem, jak świerk litewski, czy dlatego, że jej postać tak śmiało strzelała nad poziom, jak świerk wspaniały, nie wiem, ale księżniczkę nowogrodzką i swoi i nie swoi porównywali do świerku wyniosłego.

Egle nietylko była nad podziw piękną, ale była ona jeszcze tak rozumną, że w całej litewskiej ziemi podobnej do niej dziewicy niktby nie znalazł; była ona nawet tak mężną, że niejeden rycerz w pieszczotach macierzyńskich chowany, nie dotrzymałby jej placu, gdyby przed nim w zbroi męzkiej stanęła. Nieraz nawet z braćmi przy boku ojca chciała iść na wojnę, i tylko prośby poddanych i życzenie ojca zniewalały ją do pozostania w domu.

Czy dlatego, że Erdźwiłł miał tylko jednę córkę, czy że mu ona przypominała jakieś milsze czasy, jakieś chwile życia piękniejsze, ale książę Nowogródka patrzył w Egli oblicze, jak w jutrzenkę poranną, a promień jej oczu był w stanie rozpędzić mu najcięższe zadumy z czoła, największe gorycze z serca; Egle zaś, znając swoją władzę nad rodzicem, umiała z niej korzystać w porę. Więc jej uśmiech i słowo pieszczotne niejednego jeńca od śmierci wybawiły, niejednej matce, łamiącej ręce z rozpaczy, wróciły radość i spokój.

Nieraz kiedy książę, w towarzystwie synów, wychodził na krużganek, dla przypatrzenia się ceremonii spalenia na stosie jeńców wojennych, wychodziła Egle z głębi zamku i padała na kolana przed ojcem, prosząc go rzewnie o darowanie życia nieszczęśliwym; a prosiła dotąd, aż gniewny pan dał się przebłagać i rozkazał rozpuścić więźniów osądzonych na śmierć.

Chociaż za taką powolność dla córki krzywem trochę okiem patrzyli na książęcia synowie i poddani, przecież żaden, nawet wódz najdzielniejszy, nie śmiał sprzeciwić się jego rozkazom, żaden z nich nie śmiał złorzeczyć Egli, i tak sędziowie jako i winowajcy, niewolnicy i lud litewski, młodą księżniczkę nowogrodzką nazywali Aniołem opiekuńczym, zesłanym z nieba na rozweselenie pochmurnej nadniemeńskiej krainy.

* * *

W czasach, kiedy żywiołem mężnego serca była wojna kiedy człowiek znajdował chlubę w sile fizycznej, w takich czasach ani dziedzic Nowogródka, ani jego synowie, nie mogli siedzieć bezczynnie w komnatach zamku swojego. To też Erdźwiłł nie tracił nigdy godzin na hulanki próżne, i jak tylko przyjazna pora zaświtała, zbierał poczet rycerzy i puszczał się po zdobycz do lackiej ziemi, bo w niej, jak sam powiadał, znajdował to wszystko, czego dusza pragnie: i wsie bogate, i jeńców dorodnych. Z niej śliczne branki przywozili młodzi wojownicy do domów.

Czy dlatego, że w Erdźwiłła duszy już zgasły wszystkie ognie młodości, czy, że od jakichś wspomnień tęsknych serce mu węidło dosyć, że nigdy, do żadnej polskiej niewolnicy, choćby była tak piękną, jak konwalia wonna, albo jak róża ponętna, do żadnej się nie przymilił, a zawsze ją dla córki, jako podarek odsyłał.

Ale co dziwniejsza, że nawet synom zakazywał pieszczot z brankami; może nadto je szanował, może która z nich kiedyś bardzo mu drogą była, a może też nie chciał młodych orłów zachęcać do starania się o zdobycz, której oddanie zwyciężonym przynosi więcej bólów, aniżeli śmierć sama.

Egle czule ojcu za każdy jego podarek dziękowała, a nacieszywszy się widokiem pięknego lica Laszki, odsyłała ją do ojczystej ziemi; dlatego też Egle nietylko na Litwie, ale i w ziemi lackiej stała się słynną z dobroci i cudnej piękności swojej.

* * *

Zamek Erdźwiłła stał pusty. Pan z synami wyjechał na wojnę. ale lada chwila miał już powrócić do domu i przywieźć podarki dla córki, a ofiary dla bogów Romnowe.

Egle tęskna błądziła po obszernych komnatach, błądziła samotna i cicha; czasem wzniosła jej postać zajaśniała na krużganku, czasem jej błękitne oko patrzyło na południe, jakby tam i powietrze było dla niej wonniejsze, i niebo jaśniejszą śmiało się pogodą. Ach! bo tam i ojciec, i bracia, cały kwiat rycerstwa walczył dla dobra ojczystej strony.

U stóp zamku leżało obszerne jezioro, czyste i ciche, jak czysta i cicha była dusza Egli, tęskne i piękne, jak tęskne jej serce młodociane. I nieraz Egle nad niem chodziła sama jedna, nieraz rzewna jej piosnka płynęła w dal po falach modnych, płynęła i konała niesłyszana od nikogo, tylko słyszało je jezioro, które córce Erdźwiłł na własność darował i które odtąd zwało się jeziorem Egli, albo świerków jeziorem.

Gwiazda poranna już weszła na horyzont laurowy i złote swoje włosy rozsnuła po przestrzeniach błękitnych.

Poranek był podobny do poranku życia ludzkiego, w którym jeszcze żadna burza losu nie zamąciła spokoju duszy młodocianej.

Egle nie mogła pozostać długo w cieniach zamku ojca, a sen jej nie chciał ukołysać. Sercem Egli miotało jakieś przeczucie nieodgadnione, zdawało się jej, że ojciec już niedaleko, że on zaraz powróci, że go uściśnie za chwil kilka; zdawało się jej, że on dla niej podarek miły przywiezie: tak sen wywróżył, sen którym ją obdarzała łaskawa Praurima (bogini miłości) wtenczas, kiedy bogowie córce Erdźwiłła coś miłego zesłać mieli.

Z pierwszym więc dnia rozświtem zerwała się Egle z posłania, wyszła na krużganek, i oparłszy o jego kraty białe dłonie, zadumała się głęboko. U jej stóp drzemało jeszcze sine jezioro, i tylko para białych łabędzi falowała wody spokojne. Czujnem echem Egle słyszała tylko bicie swego serca i plusk łabędzi sterujących cicho po toniach kryształowych.

* * *

Z dnia rozświtem zajaśniała natura całym blaskiem dzikiej piękności swojej. Oko księżniczki spoczywało jeszcze na widnokręgu. Horyzont zamykał siny pas lasu i pasmo gór dalekich. W tem Egle drgnęła; z daleka doszły ją głosy rogów wojennych, a z boru wysunęła się ciemna wstęga, i łamiąc się na tysiąc zakrętów, pędem potoku biegła w stronę zamku nowogrodzkiego.

— Ach! to ojciec z wojny wraca! — zawołała Egle i lotem śnieżnej gołąbki pobiegła do komnat: ale wprzód nim rygle żelazne, drzwi tarasujące, zdołała poodmykać, już poczet rycerzy przebył okopy zamku i stanął na murawie wyścielającej podwórze.

Egle z krzykiem radości rzuciła się w objęcia drogiego ojca i braci kochanych. Przez chwilę nie było nic słychać, oprócz słów powitalnych, rżenia rumaków i westchnień branek lackich, co ze spuszczoną głową, ze łzawem okiem, siedziały na koniach, wyczekując ze smutną rezygnacyą dalszego swego losu.

— Patrz siostro! rzecze najstarszy syn Erdźwiłła; — patrz jaką cudną kochankę przywiozłem sobie z wojny!.... I to mówiąc, wziął za cugle konia, na którym siedziała smutna Laszka, i przyprowadził ją przed siostrę. Egle spojrzała, branka spojrzała także na księżniczkę.

— Mój drogi bracie! mój Wojsiełku jedyny, daruj ty mi tę brankę na gościniec. Ona taka młoda i piękna... jabym ją sobie przybrała za siostrę, ona by mi chwile samotności słodziła.

Wojsiełk rzucił okiem na Laszkę i nic nie mówił.

Ale księżniczka przypadła ku niemu, objęła ręką szyję braterską, przycisnęła go piersi, prosiła, aby jej brankę darował.

— Och siostro! — przemówił Wojsiełk wreszcie, — jabym ci moje serce wydarł, jabym ci duszę moję oddał, ale branki nigdy! Patrz jaka ona cudna! patrz siostro i powiedz czy widziałaś kwiat milszy w naszej stronie, czy nawet na górze Połągi są mu podobne?

— Pamiętasz Wojsiełku tego sokoła, którego mi ojciec darował?

— Sokół, młody sokół! czemu on nie mój?!... — westchnął młody rycerz.

— Ja ci go oddam w zamian za Laszkę — przemówiła księżna.

— I sokoła nie chcę, i branki nie dam.

— Wojsiełku drogi, czy ty chcesz bym ja umarła z tęsknoty? Ja młoda, ja sama jedna więdnę w tych murach zamkowych, wtenczas kiedy wy jedziecie na wojnę; a ty mój bracie nie chcesz dać mi kaliny, która i mój żal utuli, moje tęsknoty osłodzi w chwilach kiedy was niema.

Wojsiełk podumał, spojrzał na Laszkę, westchnął i podał siostrze cugle jej konia.

A Laszka zsunęła się z konia i skłoniła głowę do nóg księżniczki. I była podobną do białej lilii, zwarzonej wiatru podmuchem, skłaniającej swoją głowę tam, kędy słońce pogodne zabłyśnie.

* * *

Stary Erdźwiłł stał dotąd na boku i patrzył pochmurnem okiem na syna, i znać było z jego rysów, że się gniewa, widząc Wojsiełka tak długo opierającego się czułym prośbom siostry, ale kiedy rycerz dał się wreszcie wzruszyć, kiedy branka leżała u nóg księżniczki, pan Nowogródka przystąpił do córki, ujął ją za rękę i rzekł:

— Zapomniałaś, lube dziecię, o ojcu, chociaż on o Tobie zawsze pamięta, nawet wtenczas, gdy w koło wre bitwa okrutna. Patrz córko, i jam dla ciebie przywiózł podarek, i to mówiąc wskazał na stojącego tuż przy nim jeńca lackiego. Stał on dotąd ze związanemi rękoma i pochmurnem okiem spoglądał na brankę płaczącą; i całe piekło wrzało mu w duszy, gdyż walkę tych uczuć znać było na jego młodocianem, pięknem i szlachetnem obliczu. Będzie ci sokoły nosił, będzie ostrzył strzały i ujeżdżał konie, bo zręczny jest do tego. — Nawet w potrzebie potrafi i od napaści cię obronić, gdyż męztwa swojego dał nam już dowody; żywcembyśmy go nie wzięli, gdyby Wojsiełk nie uchwycił tej dziewczyny, albowiem wtenczas młody Lach przestał walczyć i sam się oddał za jeńca.

Branka powstała z kolan, a Egle zapytała łagodnie jeńca:

— Będzieszże ty mi wiernie służył, młody Lachu?

Młodzian spojrzał na cudne lica księżniczki i rzekł:

— Tylko twoim będę niewolnikiem.

— A cóż ty umiesz mój sługo? — zapytała znów słodko Litwinka.

— Umiem walczyć, cenić honor, umiem kochać, umiem grać na lutni i śpiewać czułe piosenki.

— Och ja lubię dźwięki lutni, — szepnęła Egle, spuszczając ku ziemi powiekę; potem skinęła rączką na jeńców, aby za nią udali się w zamku podwoje.

Wojsiełk poszedł wydawać wojsku rozkazy; Erdźwiłł udał się do swoich komnat, aby zrzuciwszy zbroję, wypocząć trochę na niedźwiedziej skórze i odetchnąć swobodnie po trudach i niewczasach wojennych.

* * *

Księżyc już trzy razy ostrzygł srebrne rogi, odkąd Egle została panią młodego Lacha i pięknej Laszki. Już trzy razy księżyc był w pełni, jak została siostrą niewolnicy, a najmilszym Aniołem niewolnika. Często też, gdy ojciec wyjedzie z braćmi na łowy do puszcz okolicznych Egle zostaje w Nowogródku.

Trochę ją dręczą smutki branki, a jej oczy, często zapłakane, nie dają pokoju księżniczce, ale niebios rozkosze kołyszą jej białem łonem wtenczas, kiedy jeniec weźmie cytrę, usiądzie pod brzozą płaczącą i zacznie nucić piosnki o rodzinnej ziemi, o życiu gołębi na dębie gruchających.

Egle patrzy wtenczas w oblicze śpiewaka, i blednie i czerwieni się naprzemian; a gdy najtęskniejszej on dotknie struny, gdy najrzewniejszą nutę przypomni, o! wtenczas łzy na oczach Egli błyszczą blaskiem rosy porannej w świetle wschodzącego słońca grającej; nieraz nawet tak struna jej uczuć natęża się wysoko, że śpiewak, bojąc się, aby ona nie jęknęła dysharmonią, musi swoich dumek zaprzestać.

Nieraz, kiedy Egle siedziała nad jeziorem oparta na ramieniu Laszki, kiedy w jej ciemnych warkoczach kryła lica, aby zatopiwszy wzrok w cieniu, mogła lepiej przypatrzyć się rysom twarzy śpiewaka przed nią stojącego, nie-



Plac ludowy w Rzymie.

(Objaśnienie na str. 91).

raz przychodził wtenczas stary Erdźwiłł. Ale zastawszy w takiem lubem zadumaniu miłą córkę, nie naganiał jej tego zupełnie, a tylko na Lacha znacząco spozierał; lecz gdy śpiewak nie spuszczał czarnych oczu ku ziemi, to pan Nowogródka uśmiechnął się, machnął ręką i poszedł do syna na radę. Odszedł, nic nie mówiąc córce, bo i nacóżby się zdały napomnienia, kiedy Egle w Nowogródku była panią samowładną.

* * *

— O! lepiejby mi było, gdybym ciebie nie poznała nigdy, młody rycerzu lacki! byłabym może jeszcze spokojna w swojej cichej samotności... Mnie słodko, mnie lubo przy tobie, ale ty się rwiesz, ale ty mnie błagasz, bym ci pozwoliła wrócić do ojczyzny.

O idź i nie wracaj, i zostaw biedną Eglę...

— Pani moja droga! nie smuć się. Ja pojadę do swoich, ja obaczę tylko, czy ojciec i matka żyją i znowu tu wrócę, aby być twoim wiecznym niewolnikiem.

Gdym ja przy tobie, zdaje mi się, jakbym skrzydła posiadał; gdym ja bez ciebie, zdaje mi się, jakby mi całunem oczy zakryło.

Ale Egle, pozwól mi pojechać do ojczyzny, pozwól moję siostrę, młodą Gertrudę, odwieźć narzeczonemu. Ona kocha cię, jej żal rozstać się z tobą; jednakże w ojczyźnie są dla niej jeszcze droższe istoty. Tam ją oczekuje kochana matka, tam drużki plotą dla niej ślubny wieniec i białą suknię do ślubu szyją; tam jej miły ręce łamie z rozpaczy i wyrzeka przeciw Bogu i ludziom, bo nie wie, gdzie się podziała jego narzeczona.

Egle, jedź ty ze mną! Ja mam włości liczne i poddanych wielu, ja mam zamek mocny. Ani ojciec twój, ani bracia nie zdobędą go, jeżeli będę bronił przystępu: nie lękaj się więc ich zemsty.

— Nie Wacławie! nie, jedyny! Ja ojca nie mogę rzucić starego; gdy mnie nie będzie, kto po boju go upieści? kto mu smutki rozerwie? kto jego głowę siwą utuli na kolanach?

— Więc siądę na wronego, odwiozę swoim siostrę i znowu powrócę, a powrócę, jak mi zbawienie miłe, bo zbawenie moje tylko przy tobie księżniczko nowogrodzka

iTak mówił młody jeniec Wacław i pochylił swoje kolano przed córką Erdźwiłła, i całował jej ręce, a ona pieściła go czule i mówiła drżąca od szczęścia:

— O moje ty słońce! mój ty ptaku lekkopióry! Czemże będzie moje życie, gdy odlecisz na zawsze z nad świerków jeziora, gdy nie wrócisz więcej do zamku nowogródzkiego?

— Wonna kalino! jutrzenko poranna! Powrócę niedługo, o powrócę pewno, by pozostać z tobą na wieki!...

I wsadził Wacław na konia drżącą z radości Gertrudę, drżącą i smutną, i pobiegł szybko w południową stronę.

Ale wprzód nim Laszka odjechała na zawsze z Nowogródka, pożegnała czule księżniczkę, która jej ścisnęła rękę i rzekła cicho:

— Do zobaczenia moja siostro.

Poleciał Wacław lotem sokoła, pobiegła z nim jego siostra, przytulona do braterskich piersi. A kiedy mijali wsie i bory litewskie, to każdy poczciwy człowiek, patrząc na tych jeźdźców, dziwił się bardzo, bo nie wiedział, czy ich za duchy, czy za ludzkie dzieci brać wypada. Niejeden rycerz nawet strzałę puścił za niemi, bo brał ich za zbiegów; ale gdy lotny koń wyskoczył z pocisku, pomyślał, że to pewno są bogów posłańcy, z ich rozkazami do Romnowe pędzący.

Egle pozostała w zamku nowogrodzkim samotna, o! samotniejsza jeszcze, jak była dawniej Pozostała z zadumą na licu, z smutkiem na czole i żalem w sercu. Ani ją już bawiły pieszczoty ojca, ani ją cieszyły mężne czyny braci; nawet słońce poranne i gwiazdy iskrzące nie zajmowały jej oczu. Ona podnosiła swe spojrzenia do niebios, oczekując aż na nich zabłyśnie gwiazda świetlana, Ona posyłała swoje myśli na południe, w daleką, obcą stronę; ale ztamtąd nawet wiatru powiew dźwięków lubego głosu jej nie przynosił.

Próżno sędziwy ojciec i mężny Wojsiełk chcieli księżniczkę rozerwać, prowadząc ją z sobą na łowy. Ona daw-

niej lubiła bujać na śmiałym żmudzkim rumaku, po obszernych równinach, ale teraz niechętnie zamek opuszczała, pochylona, smutna, nie tam patrzyła kędy jej dzielny sokół czaplę gonił, ale tam, kędy młody lacki jeniec zniknął niedawno, ale tam, kędy świerków jezioro drzemało spokojnie, kąpiąc sinym nurtem warkocze brzóz płaczących, kędy niedawno tęskne piosenki budziły ze snu białe łabędzie, lubiące wsłuchiwać się w dźwięki pieśni ich rajskie życie opiewającej.

* * *

— Czego, droga córko, stoisz taka blada? Czemu załamałaś ręce i patrzysz w mglistą dal? Zdaje się, jakby tam, za sinem pasmem gór, przebywało twoje szczęście i przedmiot snów różowych

— Ej, droga siostro, rozwesel oko błękitne i spojrz przecie na nas, na świat, jakeś patrzyła, nimeśmy na ostatnią wojnę wyjechali.

Tak przemówili czule Erdźwiłł i Wojsiełk, zastawszy Eglę zadumaną nad jeziorem.

— Moje myśli i moje szczęście daleko odemnie, to i nie dziwcie się, drodzy, że mi smutno w duszy, — odparła dziewczyna.

— Porzuć żale, siostro. Patrz! oto wrony stoi i czeka na ciebie. Dosiądź rwącego konia, weź sokoła i pojedziemy na łowy.

Patrz! nawet i ta Laszka, którejś wolność darowała, powróciła znów do nas.

Zbladła nagle Egle, ujrzawszy samę jednę Gertrudę, która z krzykiem boleści rzuciła się jej w objęcia.

Ale Egle nie pospieszyła swoją lubą siostrę uścisnąć: odskoczyła prędko od niej i ponurym głosem zapytała:

— Wacław, nie powróciłże z tobą? Twój brat zapomniałże o mnie?

— Wacław już nie żyje, jęknęła Laszka. Strzała litewskiego rycerza przeszyła mu serce. On skonał, jam go piaskiem przysypała, a twój koń, księżniczko, przywiózł mnie znów do Nowogródka.

— On nie umarł! on spieszy do mnie przez fale! — zawołała dziko Egle. O pójdź, najdroższy! pójdź! I wy-

ciągnęła ręce ponad wody, i rzuciła się z wysokiego brzegu w ich modrą toń, w głębinę niezmierzoną, kędy jeszcze żaden pływak dna nie dosięgnął.

Łabędzie przestraszone pluskiem i żałośnym krzykiem, odleciały w pobliskie sitowia.

Erdźwiłł i Wojsiełk rzucili się na pomoc; lecz napróżno: żaden z nich nie znalazł księżniczki, żadne oko jej więcej nie widziało.

Nie wystąpiła ona z topieli, ani na prośby ojca, ani na jęki Gertrudy. Nie wróciła Egle, bo ją unieśli do pałacu z kryształów, bogowie w jeziorze świerków mieszkający...

Posiedzenie sądowe
w odwiecznych lasach indyjskich.

Po raz pierwszy w życiu John Davison wybranym został do sprawowania pełnego odpowiedzialności urzędu sędziego.

John był to stary weteran, który od lat wielu wśród olbrzymich drzew bujał, polował, walczył z indyanami i zastawiał na nich sidła. W owych puszczach oskarżony o jakąkolwiek zbrodnię mógł być pewnym szubienicy i to nawet bez wytoczenia śledztwa.

Tym razem chodziło o zdziczałego młokosa, który, żyjąc od dość dawna w tych kniejach, przywłaszczył sobie indyjskiego kucyka z siąsiedniej osady, lecz nie udało mu się umknąć, schwycono go i przyprowadzono celem przesłuchania przed oblicze sędziego.

Wśród skalistego wąwozu w bliskości chaty starca wybrano miejsce do sądzenia sprawy. Cała gromada strzelców, poszukiwaczy złota, osadników, zebrała się i częścią stojąc grupami, częścią leżąc na ziemi, lub siedząc na pniach drzew, oczekiwała przybycia »sędziego«.

Niebawem ukazał się John, usiadł z powagą na pniu, zdjął czapkę i odezwał się w tych słowach:

— Towarzysze, sąd już zebrany, możemy rozpocząć śledztwo... A zatem wedle prawa uspokójcie się, odkryjcie głowy i słuchajcie uważnie.

Na te słowa wszyscy równocześnie zdjęli czapki, a John spojrzawszy w około zapytał:

— Gdzież jest obwiniony?

Trzech drabów, uzbrojonych w strzelby i rewolwery, wysunęło się naprzód; prowadzili oni złodzieja, młodego chłopaka, spoglądającego zuchwale. Od stóp do głów okryty skórą jelenią, z rękoma w tył zawiązanemi stanął przed swym sędzią.

— Jak cię nazywano w domu? — zapytał sędzia.

— Ja nie mam domu, — odpowiedział ponury chłopak.

— Nie masz? — Jakie nosiłeś nazwisko, nim tu przybyłeś?

— Tutaj w górach nazywają mnie chłopcy, Tygrys Jim...

— A zatem Tygrysie, oskarżono cię o kradzież konia, mojem zdaniem musi to być prawdą, gdyż inaczej nie przyprowadzonoby cię pod strażą. Nie spodziewaj się od nas drobiazgowych przesłuchów. — Czy ukradłeś konia?

— Wuju Johnie, na nic mi się to nie zda, choćbym skłamał, i nie chcę kłamać, powiem otwarcie, jak się rzecz miała. Jak wiecie, wczoraj wieczorem była w Mobie Willias Rancho przy wąwozie Muellera wielka uczta, a ja byłem tam także obecnym. Przywieziono z Laramie beczułkę starego whisky i wszyscy byliśmy dobrze podchmieleni. Gdyśmy przestali tańczyć, chciałem wrócić do Bowles Blockhaus, gdzie w ostatnich czasach mieszkałem; kiedy przechodziłem koło pagórka dzikich kotów, wszedł mi w drogę ów kucyk, którego tam na trawę puszczono, nie myśląc wiele, wskoczyłem na grzbiet i na wpół bezprzytomny pędziłem dalej. Wiem, że za to śmierć mnie czeka i nic sobie z tego nie robię. Nie zdam się na nic dobrego na tym świecie, i gdy nie moja stara matka — tutaj oczy jego zalały się łzami, a duże krople spływały po jego miedzianem obliczu, która nie spocznie nigdy, jeżeli wpierw nie pomodli się do Boga, abym do niej powrócił, śmiałbym się z tego i pomógłbym wam zadzierz-

gnąć stryczek na szyję Lecz gdy myślę o tej kochającej mnie istocie, słabość mnie ogarnia. Przyznaję się, że odkąd żyję w tych lasach, zostałem niegodziwcem, i świat nic na tem nie straci chociaż mnie nie stanie.

Tylko moja biedna matka będzie na tem cierpiała; wiem o tem, gdyż ja byłem jedyną jej podporą, posyłałałem jej każdą zaoszczędzoną uncyę złota, z tego się utrzymywała. Była ona dla mnie zawsze dobrą i kochającą mnie, oby jej Bóg za to pobłogosławił, żal mi dziś, że nie żyłem tak, aby się z nią tam w górze połączyć. Chłopcy, czy który z was nie zechce jej napisać. — Tom Kirk wie, gdzie mieszka — że mnie indyanie pochwycili, lub też, że w sposób naturalny zeszedłem z tego świata? Na miłość Boską nie powiedzcie jej, że mnie powieszono, bo toby ją zabiło, — lecz dosyć o tem, gdyż moglibyście mnie posądzić, że jestem tchórzem, a Jim Tygrys nie lęka się nikogo. Wieszajcie mnie, tylko prędko, jestem gotów.

Po tych słowach w niejednem oku łzy dostrzedz było można. Ta dobra »matka« zmiękczyła kamienne serca tych olbrzymów, którzy nie zadrżeli, gdy im niejednokrotnie śmierć w oczy zajrzała, a teraz nie wstydzili się łez, gdy wspomniano święte imię; wszakże ono przypomniało im szczęśliwą chwilę dziecięctwa, te błogie dni rodzicielskiej miłości, kiedy jeszcze pragnienie bezgranicznej wolności nie wypędziło ich w te dzikie lasy; upłynęło kilka minut, a nikt się nie odezwał. Nareszcie ojciec John, przetarłszy ręką oczy, mówił:

— Jimie, wszak nie złamiesz przysięgi, co?

— Nigdy Johnie Davison, ani wobec przyjaciela, ani nieprzyjaciela. Nie masz człowieka w tych lasach, któryby powiedział, Jim nie dotrzyma słowa. Jestem nicponiem, lecz jeżeli dam słowo, mogę ostatnim dolarem zaręczyć, że tak jest...

— A zatem Jimie, chcemy cię powiesić i zasłużyłeś na to, lecz wspomnienie twoje o matce wzruszyło mnie. Widzę tę starą kobietę, która całem sercem pragnie twego powrotu i której oczy spłakane tylko ciebie wyglądają. Mam i ja także starą matkę, pomimo, że jej od lat trzydziestu nie widziałem, jej obraz noszę w mem sercu — i to przemawia za twoją matką, Jimie.

— Prawda, że to fatalna historya. Jack przetnij mu rzemienie, niech ma wolne ręce. A teraz Tygrysie podnieś prawą rękę w górę i złóż uroczystą przysięgę: Czy przysiężesz mi w obliczu Boga i na pamięć swej starej matki, że jeżeli cię dzisiaj uwolnimy, powrócisz w tej chwili do niej, i że aż do dnia ostatniego tchnienia jej życia, starać się będziesz o jej dobro? Czy przysięgasz mi to w obliczu wszechmocnego Boga i obecnego sądu?

— Tak Johnie, przysięgam i przyrzekam uroczyście, że natychmiast wybiorę się w drogę!

— Pod tymi warunkami jesteś wolnym, a towarzysze twoi niech ci pomogą zanieść rzeczy na stacyą, lecz słuchaj Tygrysie, jeżeli kiedykolwiek pokażesz się tutaj, wtedy wprost na gałąź z tobą. A zatem posiedzenie skończone, więzień jest wolnym.

Na to przystąpił stojący w tyle olbrzymi indyanin Bill, trzymając nabity rewolwer w ręku i zawołał.

— Amen, ktoby się sprzeciwiał wyrokowi Johna, ten ze mną się rozprawi i to na tem miejscu.

Kiedy dnia następnego pociąg kolejowy opuszczał stacyą Laramie, widzieć można było cały szereg górników strzelców, jak żegnając jednego z towarzyszy, ściskali mu ręce i życzyli szczęśliwej drogi. Stał on ubrany w skórę jelenią na stopniach ostatniego wagonu. A kiedy pociąg ruszył, towarzysze wznieśli trzykrotny okrzyk na cześć jego matki, żegnając go po raz ostatni. Lotem błyskawicy iposuwał się pociąg całym szeregiem wagonów. A Tygrys Jim, widząc wierzchołki pasma gór, pokryte śnieżną szatą, westchnął ciężko z głębi piersi, mówiąc z cicha:

— Twardy los mnie spotkał, że muszę was opuszczać, lecz tak być musi! I niech mnie Bóg skarze, gdybym nie dotrzymał przyrzeczenia.

Pociąg coraz szybciej się posuwał, niosąc ubogiej matce jej marnotrawnego syna. Tygrys Jim dotrzymał słowa.

Walka z alkoholizmem w Szwecyi.

Walka z alkoholizmem od pewnego czasu weszła na porządek dzienny spraw naszych, to też uważamy za właściwe wykazać, jakie rezultaty dać może racyonalna i systematycznie prowadzona walka ze zgubnym nałogiem.

Według utartego ogólnie mniemania, alkohol posiada własności rozgrzewające, z czego wynikałoby, że w krajach zimnych alkohlizm ma najpodatniejszy grunt do rozwoju. Takiemu zapatrywaniu przeczą najoczywistsze fakty, kraje północne Europy należą do najtrzeźwiejszych.

Ongi Szwecya była co prawda krajem pijackim, ale dziś, dzięki niezmordowanej pracy na sobą, naród szwedzki doszedł pod względem trzeźwości do wspaniałych rezultatów, w ślad za trzeźwością i pracą Szwecya dziś poszczycić się może zazdrości godną kulturą, uspołecznieniem, prawie zupełnym brakiem analfabetyzmu, a liczny zastęp podróżników potwierdza to spostrzeżenie w zupełności.

O stanie walki z alkoholizmem w Szwecyi znajdujemy szczegółową wiadomość w specyalnem piśmie *l'Abstinence*, według sprawozdania p. Björkman'a dyrektora sekretaryatu antyalkoholicznego *) szwedzkiego.

Towarzystwa abstynenckie szwedzkie liczą 500 tysięcy członków — w tej liczbie mieści się około 100 tysięcy dzieci i młodzieży. (Szwecya liczy prawie 5 milionów 400 tysięcy ludzi).

Wymienianie poszczególnych nazw Towarzystw zapewne nie zajmie Szan. Czytelników, wiec musimy poprzestać na podaniu ogólnych cyfr; praca wspólna dokonywana jest niezależnie od ogólnej pracy towarzystw poszczególnych, za pośrednictwem trzech instytucyj: 1) zgromadzenia delegatów towarzystw, 2) związku centralnego dla nauczania antyalkoholicznego i 3) sekretaryatu.

Państwo udziela zasiłku pieniężnego (pewien procent od dochodów osiągniętych z opłat od trunków) przytułkom dla alkoholików, na kursa antyalkoholiczne dla nauczy-

*) Sekretaryat antyalkoholiczny jest to instytucya, która dzierży zwierzchni kierunek w walce z alkoholizmem, która jest łącznikiem pomiędzy towarzystwami abstynenckiemi w kraju i zagranicą stanowi rodzaj biura informacyjnego.

cieli i t. p. W roku 1909 suma tego zasiłku wynosiła 176.750 koron.

Izba deputowanych (kiksdag) licząca w swem gronie 90 abstynentów — na ogół 250 członków uchwaliła jednogłośnie zakaz sprzedaży napojów odurzających. Niestety, izba wyższa, która posiada tylko 2 abstynentów na 150 członków, uchwałę tę odrzuciła.

Na 250 redaktorów dzienników, 100 jest abstynentów, 25 zaś dzienników nie pomieszcza wcale ogłoszeń alkoholicznych. W roku 1909 odbyło się referendum (głosowanie powszechne ludności starszej nad lat 18) w sprawie prohibicyi, czyli zupełnego zakazu trunków Na osób 3,400.000, mających prawo głosu, oświadczyło się za prohibicyą 1,900.000 przeciw 16.613, reszta pozostała obojętną lub nie mogła brać udziału w głosowaniu.

Szynków w Szwecyi jest 8.403; w miastach 6.963, poza miastami 1.440, w tymże czasie w Galicyi naszej było 20 tysięcy karczem i szynków), konsumcya wódki wynosiła (przeciętnie na głowę, rocznie w litrach) 6 do 8, piwa 24 do 27, wina 0,6.

Fabrykacya wódki jest opodatkowana na rzecz skarbu. Czysty zysk, osiągany ze sprzedaży cząstkowej wódki, jak również opłaty od sprzedaży, idą na rzecz administracyi prowincyonalnej, dla gmin i na rzecz Towarzystwa użyteczności publicznej

Ogół wpływów państwa z opodatkowania fabrykacyi wódki, słodu i t. p. wynosi prawie 34 miliony koron.

W roku 1909 towarzystwa użyteczności publicznej otrzymały zasiłku ogółem 1,831.866 koron.

Sprzedaż wódki, z wyjątkiem większej ilości po nad 250 litrów, może być dokonywana wyłącznie za pośrednictwem towarzystw, mających głównie interes moralności na widoku. Towarzystwo takie (Bolog) oddaje swoje zyski na rzecz ogółu. Gminy mają prawo decydować co do dozwolenia sprzedaży wódki na swem terytoryum Władze gminne mają także prawo wydawać pozwolenie czasowe, jak również co do spożycia piwa i wina na miejscu.

W hotelach mogą podawać piwo podróżującym wraz z posiłkiem.

Praca Towarzystw abstynenckich dąży głównie w dwóch kierunkach: wychowawczym i prawodawczym, przyczem nie zaniedbują zaznajamiać ciągle publiczność, a szczególnie młodzież ze znaczeniem społecznem i hygienicznem sprawy alkoholizmu.

Rozmaitości.

Plac ludowy w Rzymie.

(Objaśnienie ryciny na str. 81).

Jednym z najpiękniejszych placów w Rzymie jest „Piazza del popolo“, czyli „Plac ludowy“.

Dawniej, gdy nie było jeszcze kolei, tędy wchodzili pielgrzymi zdążający do Rzymu od stron północnych.

Plac ten ma kształt owalny; jest dużo podobny do wspaniałego placu przed kościołem św. Piotra.

Na środku placu stoi wysoki obelisk, zbudowany przed trzema tysiącami lat w starożytnym Egipcie przez króla Ramzesa III., a przewieziony później do Rzymu i tutaj osadzony przez Papieża Sykstusa V. Takie obeliski zbudowane są z jednej sztuki kamienia, i wyglądają jak olbrzymie igły, a Rzym ma ich kilka.

Kto umiał najwięcej języków w świecie?

We wszystkich wiekach żyli ludzie, którzy z łatwością przyswajali sobie kilkanaście lub więcej języków. Mitrydates, król Pontu, mógł rozmówić się ze swoimi poddanymi w dwudziestu pięciu językach. Kleopatra nigdy nie używała tłumacza w stosunkach z posłami obcych mocarstw, co dowodzi, że była nietylko piękną, ale i wykształconą kobietą.

Pico della Mirandolo, uczony Włoch z XV. wieku, posiadał 22 języki. Chłop niemiecki z XVII. wieku, Mikołaj Schmidt, przetłumaczył modlitwę Pańską na 52 języki. W następnem stuleciu Anglik, sir Wiliam Jones, mógł rozmawiać w 28 językach. Kilka lat te u umarł w Bonn dr. Gottlieb Leitner, największy lingwista XIX.

wieku; posiadał 50 języków i z równą łatwością mówił najzawilszem narzeczem wschodniem, jak po niemiecku.

Nikt jednak nie wyrówna pod tym względem kardynałowi Mezzofantiemu, o którym Byron powiada, że powinien był żyć za czasów wieży Babel. Znał 114 języków i mówił równie biegle po irlandzku, bułgarsku, koptyjsku, chaldejsku, etyopsku, jak po włosku, Trzy tygodnie wystarczały mu do nauczenia się obcej mowy.

Paszport do nieba.

W archiwum kijowskiego prawosławnego arcybiskupstwa odnaleziono niedawno ciekawy dokument, pochodzący z roku 1341. Jest to paszport do nieba, wystawiony przez metropolitę Makaryusza, zmarłemu podówczas księciu Fedorowi Władymirskiemu. Jeden egzemplarz tego paszportu włożono do trumny, drugi zachowano w aktach.

Paszport ten opiewa: „Makaruszka, z Bożej łaski Arcybiskup i metropolita kijowski, do naszego Pana i przyjaciela św. Piotra, klucznika bram niebios. Zaświadczamy, że dnia dzisiejszego zmarł wierny sługa Boży, książę Fedor Władymirski i upraszamy cię, byś natychmiast, bez stawiania mu jakichkolwiek trudności wpuścił go do królestwa niebieskiego. Odpuściliśmy mu wszystkie grzechy i udzieliliśmy mu naszego błogosławieństwa, tak że nic nie stoi na przeszkodzie, bo wszedł do raju. Dla uwierzytelnienia, list ten wystawiony w Kijowie, w dniu 13-go lipca 1341 roku składamy do trumny zmarłemu. Najuniżeńszy Makaryusz, Arcybiskup i metropolita ki-

Młody carewicz.

O przyszłym carze Rosyi, małym Aleksandrze, podają gazety rosyjskie mnóstwo szczegółów, mających stwierdzić niezbicie, iż przyszły władca już teraz posiada głowę nie od parady. Powszechnie jest wiadomem, że carewicz ma niestrudzonego opiekuna w osobie poznanego na jachcie „Standart“ marynarza Stefana, który ustawicznie musi się obok niego znajdować. Zwyczajem dzieci

carewicz codziennie do swej modlitwy załącza modły za swego ulubieńca, ale nawet Stefan nie może oduczyć swego wychowanka od wydawania na zakończenie modlitwy przeraźliwego okrzyku „hurra!“

Młody carewicz słysząc bowiem, jak wojska tym okrzykiem witają jego papę, urządza stale podobne wrzaski na cześć „Bozi“, przy wieczornym pacierzu.

Jeżeli kiedy uda się małemu carewiczowi umknąć na chwilę z pod opieki bon, nianiek, guwernantek i Stefana, wpada do gabinetu ojca. Pewnego razu, właśnie w czasie takiej wycieczki wpadł do ojca, który właśnie odbywał narady z ministrami. Mały Aleksander nie zmieszał się wcale, lecz, naśladując ojca, który zwyczajem rosyjskim nieraz do zaufanych mu w ten sposób przemawia, odezwał się do zebranych: „Dzień dobry Bracia!“ Car uśmiechnął się życzliwie, lecz zaraz dodał, iż tak małemu chłopcu nie przystoi ludzi poważnych tytułować „Bracia“. Wówczas — nie tracący rezonu carewicz miał poprawić się na: „Dzień dobry, Koleżkowie!“

Wykształcenie kobiet w Japonii

postępuje w sposób zadziwiający, choć ruch w tym kierunku obudził się dopiero od roku 1871. Wówczas to udało się kilka młodych Japonek do Ameryki na studya, za ich przykładem poszły następnie i inne odważniejsze kobiety japońskie, a wreszcie otwarto w Japonii szkoły dla kobiet.

Obecnie kraj „wschodzącego słońca“ liczy już 32 tysiące młodych dziewcząt, które ukończyły nauki w tych szkołach, a przytem Japonia jest jedynym krajem azyatyckim, posiadającym Uniwersytet dla kobiet.

Mnóstwo kobiet pracuje w redakcyach dzienników i czasopism i wydawanym jest nawet specyalne pismo, domagające się prawa głosowania dla kobiet. Pismo to wychodzi pod nazwą „Kobieta XX. wieku“, jest całkowicie redagowanem przez kobiety, uchodzi za organ redakcyjnej partyi niewieściej, domagającej się całkowitego równouprawnienia z mężczyznami.

„Chrzest“ cywilny.

Korespondent paryskiego *Tempsa* donosi, że w wielu gminach sławnej okolicy winnej Macon zorganizowano od pewnego czasu „chrzty“ cywilne. Burmistrz gminy Flacé-les-Macon wprowadził przy takim „chrzcie“ cywilnym pewną nowość. Przyjąwszy w urzędzie gminnym rodziców i noworodne dziecko, jak również rodziców chrzestnych, wręczył tym pierwszym pismo, ktorego tekst zaciągnięto do specyalnych rejestrów. Pismo to opiewało:

Chrzest cywilny: Maryo Filiberto Seve, córko Ludwika Seve i Filomeny Cercopet, ogrodników w Flace, bądź pozdrowiona w rodzinie wielkich duchów, wolnych od dogmatów. W obecności Filiberta Seve i Maryi Klaudyny Bascot, twoich chrzestnych rodziców, ja Antoni Coron, urzędnik stanu cywilnego i burmistrz, chrzczę cię w imieniu powszechnych praw wolnomyślności. W imieniu przesławnej rewolucyi roku 1789, tej matki praw ludzkich i obywatelskich, w imieniu francuskiej demokratycznej republiki. Chrzczę cię i daję ci trzy nauki, wzywając przytem uroczyście na świadków twoich chrzestnych rodziców: 1. Ojczyznę swoją, swojego ojca i swoją matkę będziesz mieć w poszanowaniu i będziesz im służyć. 2. Ze wszystkich sił swoich będziesz stawać w obronie prawdy i sprawiedliwości. 3. Najbardziej ze wszystkiego na świecie będziesz się strzedz, żeby krzywdy swoim bliźnim nie wyrządzić. A teraz obywatelko, Maryo Filiberto Seve, wracaj do swego ogniska domowego, bądź radością swoich rodziców i żyj w pokoju.

Flace, d... Burmistrz Caron.

Następują podpisy rodziców i kumów.

Ofiary dżumy w Indyach.

Urząd sanitarny angielski ogłosił urzędowe sprawozdanie z przebiegu dżumy w Indyach w roku 1910. Ogólna liczba ofiar wynosiła 452.984. Najsilniej nawiedzone były prowincya Agra, Audh i Pundschab, w których ofiarą epidemii padło 290 tysięcy osób.

Drugie miejsce zajmują centralne prowincye Badżputana i regencye Bombay i Bengalia z liczbą ofiar po 30

do 40 tysięcy. Najłagodniejszym był przebieg epidemii w prowincyi Birma (7.600 osób). W pierwszem półroczu 1910 roku zmarło 361 tysięcy osób, w drugiem 92 tysiące. Z tego wypływa wniosek, że zaraza poczęła się zmniejszać, łączą się zaś z nim pomyślne nadzieje na rok przyszły.

Przedśmiertny humor.

Niezwykłego figla wypłatał swoim spadkobiercom pewien sędziwy obywatel Berlina, zmarły tego roku. Prócz znacznego majątku, pozostawił on także ulubionego konia, siwka, który woził go za życia na wycieczki. Majątek zapisał najbliższym krewnym, co się zaś tyczy osieroconego siwka, to tego polecił oddać na wychowanie swemu staremu, dobremu przyjacielowi. Postawił jednak warunek, iż dopóki tylko jego ulubiony koń będzie żyć, krewni mają wypłacać ze spadku 10 tysięcy marek rocznie na koszta żywienia i pielęgnowania konia jego nowemu opiekunowi.

W tym celu większą część spadku zmarły polecił ulokować w banku. Ponieważ koń nie jest jeszcze stary i cieszy się najlepszem zdrowiem, spadkobiercy nabrali rozpaczliwego przekonania, że większą część, a może i cały spadek pochłonie kosztowna opieka nad koniem. Wtajemniczeni w tę sprawę testamentu opowiadają, że zmarłemu nie chodziło tyle o konia, ile o wypłatanie figla swym miłym krewniakom, a zrobienie honorowego prezentu staremu przyjacielowi.

Hiszpanie wobec upałów.

W Hiszpanii, jako w kraju na południu położonym, panują w lecie ogromne upały, mimo to krajowcy znoszą je doskonale. Niema tam wypadków porażenia słonecznego, tak jak w Nowym Jorku, w Chicago i w Londynie, a to dlatego, że Hiszpania ma powietrze przeważnie górskie, przy którem wysokie temperatury nie działają tak osłabiająco.

Lecz nawet mieszkańcy dużych miast: Sevilli, Malagi, Kartageny, Alicante, Walencyi, San Sebastian, to jest miast leżących zaledwie o kilka metrów ponad po-

wierznią morza, nie odczuwają tak dotkliwie upałów, dzięki temu, że powietrze jest czystsze, mniej zakopcone dymem fabryk, niż w Ameryce północnej i w Anglii.

Przytem Hiszpanie wcale nie pijają wódki i innych napojów wyskokowych, ochładzając się przeważnie wodą zaprawną sokami. Dalej nie spieszą się tak, jak Anglicy, nie pędzą do zajęć, chodzą powoli i zachowują wszelkie środki ochronne przeciw upałom, zresztą są do nich bardziej przyzwyczajeni, więc tem samem — odporniejsi.

Nawet żołnierze odbywają długie marsze przy wielkim upale bez szkody dla zdrowia. Żniwiarze andaluzyjscy pracują po 12 do 14 godzin dziennie pod promieniami palącego słońca i nie padają od tego żaru. Niektóre zajęcia odbywają się znów na olbrzymich krytych podwórzach od słońca zabezpieczonych — słowem w Hiszpanii nikt nie narzeka na upały.

Wskrzeszenie arabskiego uniwersytetu.

Ludy arabskie słynęły niegdyś z wielkiego zamiłowania do wiedzy, a ich uiwersytety zwłaszcza w maurytańskiem państwie, jak n. p. w mieście Cordova w Hiszpanii, były siedliskiem w całym świecie uczonych.

Wysoka cywilizacya arabska upadła jednak na Wschodzie z chwilą upadku kalifatu w Bagdarze, zniszczona przez dzikie ludy tureckie i mongolskie, a wypędzenie Maurów z Hiszpanii położyło jej kres ostateczny także i na Zachodzie.

Dopiero teraz, po sześciowiekowym letargu, zaczyna się dla kultury arabskiej odrodzenie, bo oto jak donoszą z Konstantynopola, urząd turecki postanowił założyć w Bagdadzie arabski uniwersytet.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Rocznik III. Kraków 1-go października 1911. (Półrocze II-gie) Nr. 4.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok:** **3** korony — na **pół roku:** **1** kor. **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** kor. — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie ul. Powiśle 12.

Od wydawnictwa.

Od drugiego półroczą bież. roku podwyższyliśmy nieco prenumeratę *Światła* — bo chcieliśmy powiększyć objętość pisma. Wielu atoli Czytelnikow oświadczyło nam listownie i ustnie, że woleliby, aby pismo miało dotychczasową objętość — a było jak dawniej tańsze, bo dziś, w czasie ogólnej drożyzny, trudno wydawać więcej na pisma.

Wobec tego wracamy do dawniejszej prenumeraty, która odtąd wynosi napowrót: na rok: **3** korony — na pół roku: **1** kor. **50** hal.

Za to prosimy Szan. Czytelników o zjednywanie dla *Światła* jak najwięcej nowych prenumeratorów!

Wezwanie do pracy i walki.

Drugi kongres Maryański, który się odbył w ostatnich dniach sierpnia bież. roku w Przemyślu przy udziale przeszło 3 tysięcy osób ze wszystkich sfer społeczeństwa naszego kraju, był nietylko hołdem złożonym Matce Bożej dla okazania, że jesteśmy Jej wierną czeladką, ale był także jakby wiecem socyalnym, na którym radzono też, jak walczyć z wrogami Kościoła i społeczeństwa i jak tamo-

wać złe prądy, które masoni, socyaliści, żydzi, i wolnomyślni, szerzą wśród młodzieży, wśród ludu i robotników.

Kongres spełniając to zadanie, powziął szereg uchwał, mianowicie jakie stawiać zapory owym złym prądom, jak rozpocząć jednolitą i zwartą akcyę katolicką. Najpierw Najprzewielebniejszy X. Biskup Dr. Pelczar z Przemyśla gorąco zachęcał na wstępnem zebraniu, aby duchowni i świeccy, wszyscy razem utworzyli silny hufiec pod sztandarem Krzyża — i szli do boju z masoneryą, socyalizmem i żydostwem. Potem przemawiał hr. St. Tarnowski w te słowa:

Nie płakać nam nad złem, nie ubolewać nad prześladowaniem religii, bo to nie wiele, a raczej nic nie pomoże, ale trzeba nam zdobyć się na siłę, i otwarcie wystąpić do walki z wrogiem.

Dziś na świecie stają przeciwko sobie dwa obozy, chrześcijański i ten, który chce wyrzucić Chrystusa z całego życia człowieka. Wiek ubiegły był jakby wzmaganiem się tych dwóch obozów. Zepsucie szerzy się, i to jest faktem niezaprzeczonym. Rozpustę uznano jako prawo człowieka, a władzę wszelką ogłoszono, jako ujmę godności osobistej. Literatura nasza przez całe wieki czysta, wydaje dziś książki i pisma tak sromotne, że trudno spotkać coś podobnego gdzieindziej, a publiczność nasza czyta to wszystko z głupią wprost lekkomyślnością.

Bronić się więc przeciw temu złemu musimy — tak mówił prezes kongresu — hr. Stanisław Tarnowski — a bronić koniecznie i to jest naszym obowiązkiem.

Środków zaradczych — mówił dalej hr. Stanisław Tarnowski — mamy wiele, bez sił też nie jesteśmy. Od lat 40 tu wzmogło się u nas życie katolickie. Zasługa w tem wielka duchowieństwa naszego. Trzeba tylko ciągle pracować i stosować się do okoliczności, co w danej chwili robić należy. Środki zaradcze nie wystarczą, trzeba działać na opinię publiczną, a do tego jedyną drogą jest prasa. Każde pismo, bez względu na przekonania polityczne, powinno informować publiczność o złej książce, o zgubnej lekturze, o pisarzu zdeprawowanym, winno też przestrzegać przed prądami destrukcyjnymi.

Nie mniej gorąco nawoływał do pracy i organizacyi katolickiej Dr. Czerkawski, profesor uniwersytetu

Jagiellońskiego i wykazywał, że z akcyi katolickiej należy wykluczyć wszelką politykę, jeżeli chcemy, aby ta akcya pomyślne wydała wyniki.

Należy też wlać życie w dzisiejsze organizacye katolickie, wybierając w poszczególnych miejscowościach dla organizacyi cel taki, który tam jest potrzebny i da się przeprowadzić. Nie trzeba też odwracać się i odsuwać od Towarzystw wprawdzie niekatolickich, ale nie wrogich katolicyzmowi, to bowiem jest rzeczą szkodliwą. Trzeba im pokazać, że dążność ich stowarzyszeń będzie prędzej spełnioną, gdy oprze się na zasadach chrześcijańskich. Taki udział w stowarzyszeniach niekatolickich, ale też nie wrogich, jest zdobyciem i pozyskaniem dla katolickiej sprawy tych, którzyby mogli być najpożyteczniejszymi.

W dyskusyach nad sprawą społeczną zabierało głos kilku uczestników kongresu duchownych i świeckich; ks. Dr. Szmyd mówił o kwestyi robotniczej i zaznaczył, że wśród warstw pracujących panuje nędza i niezadowolenie, a stosunki osobiste między pracodawcami a robotnikami pogarszają się z dniem każdym.

Jedynym środkiem, któryby poprawił stosunki robotnicze, jest zespolona praca robotników samych, Kościoła, państwa i gminy, oraz współdziałanie innych warstw społecznych.

Robotnicy muszą się organizować w stowarzyszenia i związki — celem poprawienia swego bytu

Kościół stara się o podniesienie moralne i uszlachetnienie robotników i pracodawców, tworząc w ten sposób podstawę do porozumienia się.

Państwo ma pracować na polu ustawodawstwa socyalnego we wszystkich dziedzinach stosunku robotnika do kapitału i jego właścicieli, a współdziałać przytem ma gmina.

W końcu inne warstwy, wyżej socyalnie postawione, mogą i powinny wpływać na ustrój społeczny w tym kierunku, aby warstwom ludowym wymierzoną była sprawiedliwość.

Do nawiązania łączności z austryacką »Unią katolicką« wzywał Paweł książę Sapieha. W dyskusyi nad tą sprawą przemawiał kanonik krakowski ks. Dr. Wądolny

i zwrócił uwagę, że obóz antykatolicki wzrasta coraz więcej w siłę. U nas socyalna demokracya poszła już na wieś, i co smutniejsze, znalazła tam, jeśli nie zwolenników, to przychylność. W parze z socyalną demokracyą idzie żydostwo, które — nie łudźmy się — **nigdy nie było i nie będzie polskie**. Żydzi zawsze nam byli wrodzy. A myśmy tacy naiwni, że rozpływamy się nad Berkami Joselowiczami, o ile jakiś pojawi wśród żydostwa, a nie widzimy tych, którzy nas wyniszczają.

Socyalna demokracya demoralizuje lud nasz. Pamiętamy, co przed pół rokiem działo się na krakowskim uniwersytecie, pamiętamy, jak jeden z socyalistycznych akademików pod pomnikiem Mickiewicza w Krakowie wezwał do walki, by z wież kościoła Maryackiego znikły krzyże. Czytaliśmy niedawno słowa pomieszczone w wiedeńskiej socyalno-demokratycznej gazecie »Niszczcie kościoły, burzcie siedlisko kłamstwa! Rujnujcie ambony obietnic! Palcie kuchnie czarownic! Burzcie pyszne wieże! Niszczcie w kawałki zdobne jedwabiami ołtarze«.

Czyż wobec tak jawnych celów socyalnej demokracyi mamy dalej być bezczynni? I cóż nam czynić należy? To co czynią katolicy zagranicą, zwłaszcza w Niemczech. Musimy się zrzeszać i skupiać.

Tu w Przemyślu podobnie jak w Krakowie państwo zbudowało silne twierdze przeciw nieprzyjacielowi. I katolicy budować muszą takie bastyony i mury obronne. Jednym z takic bastyonów to prasa katolicka. **Przykazaniem naszem ma być popieranie tej prasy,** bo wskutek braku poparcia nie może się rozwinąć, nie może rozwinąć skrzydeł do śmiałego lotu, do energicznej obrony naszych katolicko-polskich ideałów. Odtąd ma być inaczej. Postanówmy sobie wytężyć wszystkie siły, by istniejące twierdze katolicyzmu ugruntować, wzmocnić a nowe budować«.

W sekcyi »Stowarzyszeń opieki nad służącemi i młodemi kobietami» omawiano dotychczasową działalność tych stowarzyszeń, zwłaszcza we Lwowie i w Krakowie i uchwalono rezolucyę, która domaga się, by Dyrekcye kolejowe, na wzór lwowskiej Dyrekcyi, dały rozporządzenie dla służby pociągowej, aby ta opiekowała się ciągle samotnie podróżującemi kobietami, aby zwiększono liczbę wagonów

dla kobiet, wreszcie, aby zakładano po miastach prowin cyonalnych filie stowarzyszenia »Opieki nad podróżującemi kobietami«.

Jako ostatni mowca zabrał X. Biskup Wałęga z Tarnowa i w świetnej mowie wykazywał, jak dziś wykluczono u nas z polityki zasady katolickie, a Kościoła używa się tylko do parady i w święta narodowe.

Że nasza polityka jest wprost pogańską, niekatolicką, dowodem tego ostatnie wybory, w czasie których zawierano kompromisy z ludźmi, co są wrogami Kościoła i demoralizowano lud. Tyle było brudu, tyle nieuczciwości w tych wyborach, iż się zdawało, że nie ludzie, ale chyba sam Pan Bóg zawiesił na czas wyborów kontrybucyę i pozwolił na swawolę.

Bronił dalej dostojny mowca duchowieństwa i wykazywał, że straszenie dziś klerykalizmem jest niedorzecznością, bo czasy panowania duchowieństwa w rzeczach świeckich już minęły i nigdy nie wrócą, i duchowieństwo do tej władzy się nie rwie, ale jak świeccy mają prawo domagać się od kapłanów doskonałości i świętości, tak też muszą ich uznać za swych kierowników duchowych.

W końcu przemawiał raz jeszcze prezez zjazdu hr. Stanisław Tarnowski, poczem udano się do katedry, gdzie po odśpiewaniu *Te Deum* wszyscy XX. Biskupi udzielili zebranym swego arcypasterskiego błogosławieństwa.

*
* *

Jak było do przewidzenia, prasa żydowska, wolnomyślna i socyalistyczna (zwłaszcza *Naprzód* i *Kuryer lwowski*) rzuciła się w niewłaściwy sposób na ten zjazd katolicki, zarzuciła mu wstecznictwo, grożąc, że tak długo będą katolicy wywoływać wilka z lasu, aż go wreszcie wywołają i spowodują ruch antykatolicki prędzej niż się spodziewają.

Jesteśmy pewni, że gdyby rabini i żydzi zwołali kongres — przypuśćmy nawet do Brodów lub Tarnopola — gdyby tam obradowali nad potrzebą walki z zepsuciem, prasa socyalistyczna i radykalna, z uznaniem te obrady by podniosła!

U katolików to co innego!

Im nie wolno już zaznaczyć, że istnieją, im nie wolno wzywać do żadnej walki, bo to żydzi całego świata nazywają »reakcyą«, bo tak ją nazywa cała galicyjska prasa, pozostająca na usługach żydów.

I KOCHAJ!

Słońce kończyło już swą dzienną wędrówkę, gdy na drodze, wiodącej do miasteczka Kafarnaum, zjawiła się garstka pielgrzymów. Szaty na nich nie bogate, w rękach kije wysokie, na nogach sandały sprószone szarym pyłem.

Był to Chrystus z garstką swoich uczniów.

Szedł do Kafarnaum, by tam nauczać i czynić cuda, by szukać owiec, które były zginęły...

Wierni uczniowie nie chcieli opuścić swojego Mistrza: Piotr, Jakób, Jan i Andrzej, jako rybitwi, mieli i w Kafarnaum żyć z rybołóstwa, Tomasz z robienia obuwia, a Judasz, noszący zawsze woreczek ze wspólną kasą, miał pisać u celnika. Wszyscy zaś chcieli zamieszkać w domu matki Jakóba i Jana — Salome.

Podróżni skręcili w gaj oliwny, na którego drzewach słońce kładło swoje ostatnie purpurowe blaski. Gaj cały wyglądał na cichą świątynię, gdzie drzewa woniami swojemi biły w niebo, niby modlitwą błagalną.

Przecudowną ciszę wieczoru przerwał głos Judasza:

— Przyłączyłem się do was, choć wasze rybołóstwo nie wiele przyniesie nam zarobku. Ale gdybyście się związali z innymi rybakami i sami dyktowali ceny chciwym handlarzom, byłoby o wiele lepiej. Ja lubię wszędzie sprawiedliwość... a nasz woreczek pusty już zupełnie.

Na to odezwał się słodkim głosem Jan, apostoł miłości:

— Mówisz, jakoby nasze życie tutaj wiecznie trwać miało, a my przecież do innej zdążamy ojczyzny.

Skrzywił się na te słowa Judasz, albowiem najwyżej cenił zawsze dobra brzęczące.

Wieczór już zapadł zupełny, a na niebo wypłynął wspaniały księżyc, przesiewając srebrzystą poświatę poprzez liście drzew.

Droga wiodła między dwoma szeregami skalistych pagórków, pokrytych tu i ówdzie gęstymi krzakami.

Nagle otoczyła podróżnych gromada ludzi uzbrojonych w noże i sztylety. Błysnęły w świetle księżyca żelazne ostrza i drogie kamienie na turbanie przywódcy bandy.

Piotr zerwał się do obrony, ale Chrystus wyciągnąwszy rękę, rzekł:

— Nie opierajcie się.

Rabusie rzucili się najpierw do przeszukiwania Jezusa, potem Piotra, Jakóba, Jana, Andrzeja i Tomasza, gdy tymczasem Judasz próbował uciec z woreczkiem, w którym było ostatnich sześć denarów. Lecz przywódca bandy chwycił go w tej chwili, odebrał mieszek i nie bardzo zadowolony z tak małego łupu, zakrzyknął:

Idźcie, nic wam złego nie zrobimy.

Poszli tedy pielgrzymi w dalszą drogę, a Jezus zaczął mówić, głosem łagodnym, który w nocnej ciszy brzmiał jak cudowny szept mistyczny:

— Nie skarbcie sobie skarbów na ziemi, gdzie rdza i mól psuje i gdzie złodzieje wykopują i kradną, ale skarbcie sobie skarby w niebie, albowiem gdzie jest skarb twój, tam jest i serce twoje. Nie możecie Bogu służyć i mamonie, dlatego wam powiadam, nie troszczcie się, cobyście jedli, ani o ciało wasze, czembyście się odziewali. Azaż dusza nie jest ważniejsza, niż pokarm i odzienie? Wejrzyjcie na ptaki niebieskie, iż nie sieją ani żną, ani zbierają do gumien, a Ojciec wasz niebieski żywi je... Przypatrzcie się liliom polnym jako rosną; nie pracują ani przędą, a powiadam wam, że ani Salomon we wszystkiej chwale swojej nie był odziany, jako jedna z tych...

Nie uspokoiły jednak te niebiańskie słowa chciwej duszy Judasza, który dalej marzył o jednakiem podziale majątków pomiędzy ludźmi, a nadewszystko o pełnym mieszku własnym.

Doszli wreszcie podróżni do cichego ustronia między skałami i tam postanowili odpocząć.

Jan, najukochańszy uczeń Mistrza, ułożył się do snu blisko Niego — spokojny jak lilia polna, o której co dopiero słyszał w przypowieści Jezusa.

. . . .

Świt już nastał szary, kiedy oczy otwarto.

Nieopodal stała jakaś nieznana młoda kobieta. Twarz miała pomalowaną różową barwiczką, na rękach i nogach złociły się bransolety: suknia na niej bogata niegdyś, dziś wybladła i zniszczona.

Podeszła nieśmiało do Jezusa i podając Mu woreczek rzekła:

— Przynoszę Ci Panie, co wam wczoraj zabrano.

Jezus oddał woreczek Judaszowi, który natychmiast zajrzał do wnętrza i jął liczyć.

— Dlaczego jest tam teraz dziewięć denarów, gdy wczoraj było tylko sześć? — zapytał tymczasem Chrystus łagodnie.

Twarz kobiety pokryła się rumieńcem.

— Żyję z nimi wszystkimi — odrzekła nieśmiało — gotuję im i naprawiam szaty... ale należę tylko do Dyzmasa, przywódcy bandy. Widziałam wczoraj, jak was złupili, a nawet sama ich na was naprowadziłam; ale później poznałam, żeście ludzie ubodzy i dobrzy. Więc gdy Dyzmas zasnął, wzięłam woreczek, włożyła jeszcze trzy denary i pobiegłam w stronę, którąście odeszli. Tu was ujrzałam śpiących, więc czekałam, aż się obudzicie.

— Jakże możesz żyć z tymi, co rabują i mordują, ty, która dla nas okazałaś się tak dobrą — zawołał Piotr — czy nie uczono cię Zakonu?

Ale kobieta odrzekła żywo:

— Mordują bardzo rzadko i tylko we własnej obronie, a Zakon — ja nie wiem, co to Zakon; nikt mnie o tem nie uczył. Urodziłam się stąd daleko, aż w Aleksandryi, gdzie matka moja była heterą. Ja, póki byłam małą, tańczyłam i śpiewałam po zajazdach, później żyłam tak, jak matka. Dostałam się wreszcie do Cezarei, gdzie stał wielki oddział rzymskiego wojska. Tam poznałam się z Dyzmasem, pokochałam go i pozostałam przy nim.

— I tak żyjesz z nim ciągle w grzechu! — zawołali zgorszeni uczniowie.

— Zostań już teraz z nami. Mistrz nasz nauczy cię prawdy wiecznej — mówił Tomasz. — Gdy wrócisz do towarzysza swego, bić cię nieraz w gniewie będzie, a my żyć z tobą będziemy, jak z siostrą. Pójdź z nami!

Niepewność i wahanie odbiło się w oczach kobiety, które utkwiła nieruchomo w święte oblicze Mistrza.

— Nie wiem, co nazywacie grzechem — odparła cichym głosem — ale ja kocham Dyzmasa i on mnie także kocha, chociaż nieraz uderzy. Byłby biednym i może jeszcze gorszym, gdyby mnie miał przy sobie. Kochałam go jednego, bo on jeden był dla mnie dobry, jak wy dobrzy jesteście. Zresztą powiem mu wszystko, com tej nocy słyszała z ust waszego Pana, może on to zrozumie lepiej odemnie.

Poczem padłszy przed Chrystusem, spytała kornym, ledwie dosłyszanym szeptem:

— Co mi rozkażesz. Panie? Wszystko uczynię.

A Zbawiciel, kreśląc nad pochyloną głową znak przyszłej swej męki, odrzekł głosem pełnym miłości i słodyczy:

Wróć do męża swego — i kochaj!

Uczniowie szeptać między sobą poczęli, jako, że dziwne im się wydały słowa Pana. Ale Jan rzekł:

— Nie dziwujcie się, bracia, albowiem niewiasta ona miłością swoją czuwa nad nieszczęśnikiem; a wszakże jemu jednemu ona miłości dochowuje wiernie, zaczem miejsce jej przy mężu jest, by się gorszym nie stał.

I umilkli uczniowie, uwierzywszy w oną cudowną moc miłości, zbawiającej grzeszne dusze ludzkie.

Nadszedł dzień, w którym miało wypełnić się wszystko, co przepowiedzieli prorocy...

Na wzgórzu Trupiej Głowy, na przesmutnej Golgocie, zawisnął między niebem a ziemią, Mistrz-Zbawiciel.

Ramiona rozpiął szeroko, jakby ogarnąć chciał niemi świat cały, a usta Jego zbielałe szepcą miłości pełne słowa:

— Ojcze, odpuść im, albowiem nie wiedzą, co czynią...

Na twardem drzewie Krzyża, w nędznej opasce na biodrach, wisi Pan i Stwórca wszechświata, mając po stronach towarzyszy-zbrodniarzy.

Wiszący po lewicy naigrawa się i bluźni, wraz z tłumem stojącym na dole, gdy myśli drugiego, niby zbłąkane, strwożone ptaki, biją w zamknięte niebiosa niemem błaganiem o zmiłowanie.

Życie mu było jednem pasmem występków i zbrodni i oto teraz nadeszła godzina zapłaty, godzina kary.

Nie męki jednak, jakie ciało jego przenikają, dręczą mu ducha; on czuje, że na męki stokroć sroższe zasłużył. Ale za co i czemu cierpi Ten obok niego na najwyższem drzewie krzyżowem rozpięty, Ten, który nikomu nic złego nie wyrządził, który — jak słyszał — nie przydeptał pełzającego robaka, nie dołamał nigdy nadłamanej trzciny, Ten Mistrz, co jeno kochać i przebaczyć nauczał?

W duszy mu jasno staje chwila dawna, kiedy to umiłowana i wybrana przez niego niewiasta przybiegła zdyszana do ich schronienia, wołając:

— Panam widziała, Mistrza naszego, łaskę mi wielką uczynił! Porzuć rzemiosło twoje, a pójdźmy z Nim.

Ale jemu żal było porzucić życie, do którego przywykł, wyrzec się łupów nieraz bogatych i zdobyczy. Pozostał przy dawnem zajęciu, a i niewiasta nie porzuciła go dla miłości jego.

Pobladłe męką ciała oczy wzniósł ku Chrystusowi, a na usta jego spieczone wybiegła cicha, nieśmiała prośba:

— Panie, pomnij na mnie, gdy wnijdziesz do Królestwa Twego!

A w tej chwili krwią ociekła, cierniową koroną opleciona, głowa Zbawiciela, zwróciła się w stronę Dyzmasa i słyszał słowa:

— Zaprawdę mówię tobie, dziś jeszcze będziesz ze mną w raju...

I uspokoiła się trwogą zdjęta dusza Dyzmasa, czekając spokojnie chwili, kiedy opuści ziemskie ciało, by się połączyć ze swym Zbawicielem.

PALENIE CIAŁ.

Obie pruskie izby parlamentarne, to jest izba deputowanychi izba panów przyjęły w tym roku projekt prawa o dobrowolnem paleniu zwłok. Tylko posłowie z centrum stanowczo sprzeciwili się temu prawu i odrzucili wszelkie proponowane im ustępstwa. Opór jednak centrowców nic tu nie pomógł i ustawę uchwalono.

W ten sposób liberały i masoni zaczynają wprowadzać w czyn jeden z głównych punktów programu Ligi masońskiej, który ma na celu skasowanie powoli wszelkich ceremonij religijnych i zastąpienie ich ceremoniami świeckiemi.

Zwolennicy palenia ciał, czyli kremacyi pragną udowodnić, że najkulturalniejsze narody starożytności poczytywały za najwyższy stopień uczczenia zmarłych spalenie ich zwłok, które znakomitym mężom i bohaterom z prawa miało przysługiwać, że zatem zwyczaj ten był niejako znakiem kulturalnego rozwoju narodów. Chrystyanizm cofnął, zdaniem ich, kulturę pod tym względem o całe dwadzieścia wieków, zadaniem przeto jest nowoczesnych bojowników wolnej myśli, by skierować ludzkość znowu na drogę wytkniętą przez najkulturalniejsze społeczeństwa starożytne, a porzuconą pod wpływem wstecznictwa chrześcijańskiego.

Czy historya przemawia rzeczywiście na rzecz palenia ciał?

Przyznajemy, że palenie ciał znano i praktykowano już w starożytności, lecz zwyczaj ten u żadnego narodu nie jest ani pierwotnym, ani powszechnym. Do najwięcej ukształconych narodów starożytności, których rozwój kulturalny już przed wiekami w podziw nas wprawia, należą Egipcyanie, Babilończycy i Asyryjczycy, Persowie, Chińczycy, Grecy i Rzymianie.

O Egipcyanach wiadomo nam, że ciała bogatszych nieboszczyków balsamowali i mumie składali w piramidach, zwanych »domami wieczności«; ciała ubogich posypywano solą i grzebano w ziemi zazwyczaj na miejscach wyniosłych, by je zabezpieczyć od wód Nilu i szybkiego rozkładu. Najnowsze wykopaliska potwierdzają także zwyczaj

grzebania zwłok u Asyryjczyków, Babilończyków i Niniwitów.

Persom prawodawstwo wprost nakazywało grzebanie. U pierwotnych mieszkańców Ameryki napotykamy podobnie, jak u Egipcyan zwyczaj bąlsamowania zwłok. Grzebali dalej ciała zmarłych Chińczycy i wogóle z wyjątkiem Indów prawie wszystkie ludy azyatyckie, zwłaszcza Mahometanie, oraz liczne szczepy afrykańskie.

Co do Greków starożytnych stwierdzają najnowsze wykopaliska w Mykene, że na 25 przypadków grzebania zwłok zdarzał się u nich jeden przypadek spalenia, że zatem palenie zwłok nie było u nich ani pierwotniejszym, ani częstszym zwyczajem aniżeli grzebanie.

Piękne opisy spalenia na stosie zwłok Patrokla i Achillesa w pismach Homera, w Iliadzie i Odysei, nasuwały coprawda myśl, że kremacya była regułą u tego wysoko pod względem kulturalnym rozwiniętego narodu, tymczasem badania i wykopaliska nowoczesne wykazują, że było przeciwnie, że zwyczajem przyjętym było grzebanie ciał i że palono głównie poległych wojowników dla zabezpieczenia ich od zniewagi na obcej ziemi. Dopiero od czwartego wieku przed Chrystusem poczęła się przyjmować powszechniej u zamożniejszych praktyka palenia zwłok z powodu przekonania, że zmarły potrzebuje oczyszczenia przez ogień, by dostąpić nieśmiertelności.

Dawne ludy latyńskie: Umbrowie, Celtowie, Etruskowie, Samnici znały tylko zwyczaj grzebania zmarłych. To samo stwierdza Pliniusz starszy (Hist. Nat. VII., 54) o dawnych Rzymianach. Pierwszym, który zażądał stosu, był Korneliusz Sulla i to wskutek obawy zbezczeszczenia zwłok przez wrogów. Cyceron, który nam opowiada o wielkiej czci, jaką Rzymianie otaczali groby zmarłych, okazuje się zwolennikiem staropatrycyuszowskiego zwyczaju grzebania zwłok, które kładziono często do naczyń kamiennych, posiadających tę właściwość, że w naturalny sposób w ciągu kilkudziesięciu dni przemieniały w proch całe ciało, dlaczego naczynia te zwano »sarkofagami«, pożeraczami ciał.

Dopiero w ostatnich czasach cesarstwa rzymskiego weszła praktykowana kremacya przedtem wyjątkowo tylko, w powszechny zwyczaj, ale bynajmniej nie ze względów hygienicznych, lecz religijnych, a mianowicie w celu usunięcia tym sposobem rozmaitych przeszkód, które podług ówczesnych pojęć religijnych, stawały duszom zmarłych na drodze do osiągnięcia szczęścia pozagrobowego.

O ludach germańskich powiada Tacyt, że tylko bohaterów i znakomitych wodzów paliły na stosach, wszystkich innych zaś grzebały. I u szczepów słowiańskich był zwyczaj grzebania powszechniejszy, jak o tem świadczą liczne mogiły i kurhany. Wykopaliska przedhistoryczne przekonują nas, że w starszej epoce kamiennej znano prawie tylko grzebanie zwłok, podczas gdy w epoce bronzu przeważa ich palenie. Popioły chowano w urnach do mogił, zwanych także »żalami«, Ponieważ życie zagrobowe wyobrażano sobie w sposób zmysłowy, dla tego palono zazwyczaj na stosie męża jego żonę, najdroższe mu w życiu przedmioty, a na mogiłach zastawiano pokarmy i napoje...

Dzieje ludzkości uczą nas więc, że pierwotniejszym i powszechniejszym jest zwyczaj grzebania zwłok w łonie ziemi i że zwyczaj ten napotykamy nietylko u ludów pierwotnych, ale i u narodów pod względem kulturalnym najwyżej rozwiniętych.

* * *

Izraelici, naród wybrany, który za szczególną pomocą Bożą, jedyny zachował nieskażoną wiarę w jednego Boga, pielęgnowali pierwotny zwyczaj chowania umarłych w ziemi tak za czasów patryarchów, jak w czasie Mojżesza, za dni sędziów, królów i proroków w pobliżu Jerozolimy, w jaskiniach dokładnie w ostatnich czasach przez archeologów zbadanych, w których niema żadnych framug do urn, lecz tylko jamy grobowe, wykute nawzdłuż wgłąb skał, widocznie dla chowania ciał zmarłych.

Kilka przykładów z Pisma św. Starego Zakonu, w którym około 300 mamy świadectw o grzebaniu zmarłych, niechaj wystarczą. Abraham pochował Sarę żonę swoją w jaskini pola dwoistej, która leżała przeciwko Mamre (Gen.

23, 19). Po wyjściu z Egiptu, gdy wielka rzesza ludu ginie nagłą śmiercią z wyroku Bożego, żydzi nie palą tych ciał, ale je w ziemi grzebią (Num. 11, 34); Aaron po śmierci swej zostaje pogrzebany (Num. 20, 1); Mojżesz, zmarły na górze Nebo, z wyraźnej woli Bożej pochowany w dolinie (Deut. 10, 6); Jozuego chowają żydzi z płaczem i żałością w granicach posiadłości jego (Jos. 24, 30).

O sędziach mówi Biblia z kolei: »Zmarł i pogrzebany jest«. Spalenie zwłok uchodzi za wielką karę i hańbę, dla tego zdarza się tylko jako obostrzenie kary śmierci (Lev. 21, 9), albo w czasie niebezpiecznej zarazy (Amos 6, 10) lub wojny, ale i wtenczas w wyjątkowych tylko wypadkach. Także o królach czytamy zawsze: »Umarł i pogrzebany jest«, albo »pogrzebali go«, o paleniu ciał niema najmniejszego śladu, najdrobniejszej wzmianki, chyba tylko o spaleniu nad ciałem kosztownych olejków i wonności, co praktykowano przy pogrzebach ludzi możnych.

Józef Flawiusz, historyk narodu żydowskiego, doskonale znający obyczaje swego ludu, pisząc o wielkiej czci i wspaniałości, z jaką odbywały się pogrzeby królewskie, nigdzie nie wspomina o paleniu ich ciał. Jedynie ciała Saula i synów jego, poległych w walce z Filistynami, ponieważ się już znajdowały w rozkładzie, zabrali miekańcy Jabes Galaad do miasta swego i »spalili je tam«, a następnie »kości ich pogrzebali«.

Z czasów niewoli babilońskiej mamy przykład w Tobiaszu, którego Bóg za grzebanie zmarłych wynagrodził, po niewoli zaś świadczą o tym zwyczaju księgi machabejskie (II. Mach. 12, 39), za czasów Chrystusa Pana Ewangelie (Mat 27, 59 — 60; Jana 11, 38 — 44).

Od żydów przejęli ten zwyczaj chrześcijanie, zwłaszcza za przykładem Mistrza swego, który nie kazał się spalić, lecz złożony został w grobie, z którego cudownie zmartwychwstał. Widzimy więc od czasów Abrahama aż do czasów Zbawiciela u narodu wybranego stały obyczaj grzebania ciał zmarłych. Że zaś Abraham kilku tylko pokoleniami dzieli się od rodu Noego, możemy twierdzić, że zwyczaj grzebania pochodzi od pierwszego po potopie ojca rodu ludzkiego, że więc jest to zwyczaj najstarszy i pier-

wotny nie tylko u narodu wybranego, ale i u wszystkich innych ludów całej kuli ziemskiej.

*
* *

Kościół, idąc za przykładem Pana i Mistrza swego, od samych początków swoich stale i bez wyjątku przestrzega odwiecznej tradycyi grzebania zmarłych i zwyczaj ten zaprowadza u wszystkich ludów, które wiarę Chrystusową przyjmują.

Znana jest troskliwość o zmarłych i ich groby w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, w których najznakomitsi mężowie, nawet Papieże, nieśli na własnych barkach do grobu umęczonych za wiarę współwyznawców, chowając ich w czasie prześladowań w podziemnych krużgankach, w tak zwanych katakombach.

Grzebaniu też ciał odpowiada cała liturgia żałobna, odnosząca się do poświęcenia cmentarzy i modłów za zmarłych. Liturgia ta jest wcieleniem obrazowem dogmatów: nieśmiertelności duszy i zmartwychwstania ciał; kremacya zaś jest ich symbolicznem zaprzeczeniem. Dla nas chrześcijan jest śmierć jakoby snem tylko. Umarli są śpiącymi, gdyż zmartwychwstaną kiedyś (I. Kor. 15, 18). Cmentarz jest miejscem spoczynku, miejscem pokoju. Pojęcie śmierci jako snu uzmysłowić nam może jedynie grzebanie ciał, a nie ich niszczenie gwałtowne przez ogień, sprzeciwiające się nie tylko naszemu uczuciu chrześcijańskiemu, ale i ludzkiemu. Ciało chrześcijanina jest nasieniem, które zasiane w ziemię wnijść ma urodzajem i żniwem nowego żywota (I. Kor. 12, 42), jest Kościołem świętym, świątynią Ducha św. (I. Kor. 3, 17—9), zasilaną wielokrotnie Sakramentami świętymi. Przez złożenie ciała do ziemi najlepiej też się spełnia wyrok Boży: »Aż się wrócisz do ziemi, z której wzięty jesteś«.

Z powyższych przyczyn Kościół katolicki, jakkolwiek palenie ciał nie sprzeciwia się dogmatowi, potępia stanowczo kremacyę, jako zwyczaj pogański, a czyni to i czynić musi w nowszych czasach tem więcej, że wrogowie jego dla tego głównie walczą przeciwko grzebaniu zwłok, ponieważ ich korci widok cmentarzy chrześcijańskich z godłami zbawienia, ponieważ wiedzą, że obrzędy

nasze pogrzebowe to symbol, to obraz naszej wiary w życie wieczne. Znosząc zatem obrzęd religijny i niszcząc ogniem ciało chrześcijanina, pragną masoni publicznie pokazać, że człowiek ginie całkowicie po ukończeniu wędrówki ziemskiej, że z chwilą śmierci rozpoczyna się dla niego nicość.

Wedle dekretów Kongregacyi św. Oficyum z 19 go maja i 15 go grudnia 1887 i 27-go lipca 1892 roku nie wolno katolikowi zapisywać się do stowarzyszeń kremacyjnych i to pod karami wymierzonemi przeciwko sektom wolnomularskim, jeżeli te stowarzyszenia są filiami masońskiemi. Dalej nie wolno katolikowi dawać polecenia, by jego ciało po śmierci lub ciało innej osoby spalono; gdyby zaś w tym zamiarze pomimo lepszej wiedzy i znajomości zakazu kościelnego wyraźnie trwał aż do śmierci, należy mu odmówić pogrzebu chrześcijańskiego Jeżeli ciało zmarłego ma być spalone nie z jego winy, ale skutkiem polecenia jego rodziny lub innych osób, natenczas wolno kościelny obrzęd pogrzebowy spełnić w domu zmarłego lub kościele, ale nigdy na miejscu kremacyi.

EPIGRAMATY.

Z pism Fr. Dra Morawskiego i Glogera.

Epigramaty czyli napisy, zwłaszcza rymowane, mają tę zaletę, że są ujęte treściwie, zwięźle. Napisy takie spotykamy często na nagrobkach, pomnikach, domach i t. d.

Jedne opiewają chwałę cudzą, drugie własną; inne znowu w formie żartobliwej, ale dosadnej wytykają błędy.

Wiemy z historyi, że ostatni król polski, Stanisław August, nie był rycerzem, i dlatego nie umiał się oprzeć najazdowi sąsiadów. W Łazienkach pod Warszawą wystawił Stanisław August pomnik, przedstawiający Jana Sobieskiego na koniu, bohatera z pod Wiednia, który obronił chrześcijaństwo od nawały tureckiej. Nazajutrz po wystawieniu tego pomnika znaleziono napis, skreślony nieznaną ręką.

Bohaterowi Wiednia, że chrześcijan zbawił,
Piękny posąg z kamienia Stanisław wystawił.
Sto tysięcy kosztuje! — jabym dwakroć łożył,
By Stanisław skamieniał, a Jan trzeci ożył.

Dokoła każdego króla, możnego pana kręci się pochlebnisiów mnóstwo. Ten chwali czyny, ten wymowę, rozum, ów gotów skoczyć dla niego w ogień lub w wodę. Taką fagaseryą odznaczał się pewien pochlebniś króla Stanisława Augusta i gdy sam wybudował dom na tamie w Wiśle ubitej, taki napis chwalący rządy Stanisława na domu umieścił:

Oto skutki widoczne Stanisława rządu,
Że tam domy stoją, gdzie nie było lądu.

Przebywał wówczas w Warszawie poeta Franciszek Zabłocki, który przeczytawszy ten napis, umieścił pod nim drugi:

Prawdą jest, że te skutki widocznie jaśnieją,
Bo i tam się kpy rodzą, gdzie ich nie posieją.

Pewien wojewoda słynął z manii wierszowania; nad drzwiczkami, wiodącemi do jego ogródka, taki napis umieścił:

Tu przy tej furtce
Siada wojewoda w kurtce.

Miał on żonę Kordulę, którą okrutnie kochał. Urządził dla niej zabawę w dzień imienin. Po obiedzie zaprosił gości na balik do folwarku o ćwierć mili oddalonego. Jadą więc wszyscy o zmroku; jadą długą lipową ulicą i z wielkim zadziwieniem na każdem drzewie widzą transparent: Ona to, ona! Napis ten ciągle się powtarzał przez całe ćwierć mili: Ona to, ona! A dopiero na folwarku w świetniejszym tranparencie błyszczało dokończenie: Moja najukochańsza żona!

Liczne oklaski, wiwaty, huk moździeży, ogromny na powitanie kielich, a zwłaszcza rozrzewnienie się aż do łez ubóstwianej Korduli, do najwyższego stopnia wzniosły tryumf senatora poety.

Był jeszcze i inny senator i równie wojewoda, najśmieszniejszy pyszałek, jakiego może kiedykolwiek Polska wydała, ciągle dygnitarstwem swojem napuszony i ciągle klecący wierszydła. Gdziekolwiek się zjawił, wszędzie nieza-

tarte śmieszności swojej zostawiał ślady. I tak we wsi Krasininie w Lubelskiem, znajdziesz przez niego za dworcem założony lasek Orderowy, ulica zaś przez wieś idąca Senatorskiej imię nosiła. W tamtejszym kościele, z jednej strony ołtarza wojewoda zawiesiwszy portret miejscowego proboszcza, od serca przyjaciela i równie poety, złotemi literami wyrył pod nią rymy swoje ku wielkiej cześci plebana. Wywdzięczający się pleban, z drugiej strony ołtarza zawiesił portret kolatora z wielbiącemi go wierszami. Rozczulony wojewoda tą złotą rymowaną i publiczną pochwałą, dodał nowe wiersze do dawnych. Pleban to samo, nowe pod portretem wojewody umieścił, co dopóty trwało, dopóki tylko ściany kościelnej na te bazgraniny starczyło.

Tenże sam wojewoda, miał w innych dobrach swój teatr prywatny, gdzie zawsze na dzień swoich urodzin, imienin, w rocznicę otrzymania każdego orderu i senatorskiej godności, kazał odgrywać sobie sztuki, do których pochwalne dla siebie i stósowne do uroczystości dorabiał kuplety i wymyślał transparenta, którym na znak przez niego dany, rodzina i dwór cały przyklaskiwać musiały. Szczególny on miał zwyczaj. Nigdy tego wyrazu »Ja« nie używając, zawsze o sobie, jakby i o kim trzecim mówił: »Senator pojedzie, Senator to lubi, Senator pójdzie spać, Senatora głowa boli«. W najkrytyczniejszych położeniach, w największem nawet niebezpieczeństwie życia, ani na chwilę nie zapominał części winnej swej godności. I tak, gdy jednego razu, przeprawiając się przez Tanwię wpadł w wodę i o mało co nie utonął, zaledwie stanął na lądzie, zmokły i jeszcze drżący od zimna, natychmiast rozkazał klęknąć wszystkim przewoźnikom i rybakom i podziękować Bogu, że im dozwolił szczęścia wyratowania senatora; do wszystkich nawet plebanów włości swoich rozesłał kuryerów z prośbą o solenne *Te Deum* za wyratowanie dygnitarza. Kościół wreszcie wystawił na tę pamiątkę, dla którego taki napis przeznaczył:

Ceniący godność, Wszechmocny Pan wi
Czemu Senator nie utonął w Tanwi
A że Pan Panu życie uratował,
A więc Pan Panu kościół wybudował.

Napis ten podobno z powodu śmierci wojewody, która w czasie budowy kościoła nastąpiła, szczęśliwie zaniedbany został.

Z zmianą czasów, wszystkie te śmieszności zdają nam się prawie niepodobnemi. Był przecież i trzeci pyszałek podobny poprzedniemu.

W celu religijnego zbudowania licznych swoich włości, kazał on na obrazie służącym do zasuwania wielkiego obrazu odmalować się naprzeciw Chrystusa w kontuszu, sutym pasie, z karabelą, z podniesionemi wylotami, lecz w postawie klęczącego i z głową schyloną. Z ust zaś na wstędze takie wypływały mu słowa:

Zniżam się kornie przed Najwyższym Panem,
Choć Sochaczewskim jestem Kasztelanem.

W Glogerze znajdujemy rozmaite następujące epigramaty rozmaitych autorów:

Dysharmonia.

Nie dziw, że i najmilsza muzyka cię głuszy;
Bo masz głowę za małą, a za wielkie uszy.

Kazimierz Brodziński.

O rachunku sumienia.

Pewny ilekroć chciał się swych grzechów spowiadać,
Miał zwyczaj żonę pięściami okładać.
Spytany o przyczynę od przyjaciół swoich:
«Mam, rzecze, słabą pamięć i przypomnieć moich
Grzechów sobie nie mogę; ta zaś gdy pięść czuje,
Jak z rejestru me wszystkie występki rachuje».

Nikodem Czeczel.

O mieszkańcach miasta.

Bywa, jak zwyczajnie w mieście,
Za dwóch dobrych, łotrów dwieście.

Ignacy Krasicki.

Na astronoma.

Piotr, który niegdyś gwiazdy liczył na miliony.
Dziś trzech zliczyć nie umie wobec własnej żony.

Julian Horain.

Wojaże.

Żeś deptał błoto w Rzymie, w Paryżu, w Londynie,
Żeś widział nagie w włoskiej posągi krainie,

Żeś pił wino węgierskie tam, kędy się rodzi:
Mniemasz, że ci łeb zadrzeć, choć pusty, się godzi,
Pomnij jednak, że równą szczyci się zaletą
Lokaj, co za twą zwiedził Europę karetą.

Nikodem Muśnicki.

Zegarek.

Jesz i śpisz, gdy się zechce, cały dzień próżnujesz,
Na co, mój przyjacielu, zegarek kupujesz?

Nikodem Muśnicki.

Nieprzyjaciel Żydów.

Pan Lichwiarski jest Żydów przeciwnik zawzięty,
Pobożny gniew w nim tleje na ten lud przeklęty,
Lecz ilekroć Żyd przed nim pieniądze położy,
Pobożnie przypomina, że to lud był Boży.

Nikodem Muśnicki.

Na trzpiota pijanego.

Skądże te, powiedz, bracie niepojęte zmiany?
Zawsze młyn wietrzny pusty, twój widzę zalany.

Jan Omoszko.

O Janie Małżonku.

Jan, nim doszedł do kobierca,
Cierpiał mocne bicie serca.
A dziś gdy ma serce zdrowe,
Cierpi mocne bicie w głowę.

Grott Aleksander Spasowski.

Na urzędnika pochlebcę.

Michał dostawszy urząd, tak głosił przed światem:
«Niech mnie Bóg skarze, jeślim chodził za tem!!»
Twój postępek, Jan rzecze, tej prawdy dowodzi:
Bo kto się czołga, ten wcale nie chodzi.

Ignacy Piotr Legatowicz.

Nagrobek skąpcowi.

Przechodniu! co idziesz tędy,
Przeczytaj! Józef leży pod tym głazem,
Który z uchodzącym rokiem ze świata zszedł razem,
Żeby na nowy nie dać kolędy.

Ignacy Piotr Legatowicz.

Napis na kieliszku bez nogi.

Odjęli mi ludzie nogę, chcąc dogodzić sobie;
Ja im lepiej dogodzę, odbierając obie.

Gdy mężowi żonę całują.

Pismo Święte powiedziało:
Mąż i żona jedno ciało.
Jednak mąż tego nie czuje,
Gdy mu kto żonę całuje.

O szpetnej.

Ten, kto szpetną całuje, podwójnie on grzeszy:
Bo i Boga obraża i ludzi też śmieszy.

J. K. W. B.

O tejże.

Ten, kto szpetną całuje, duszę swoją zbawi:
Albowiem w samym grzechu pokutę odprawi.

A. N. B.

Wybieraj cnotliwą.

Kto piękną bez cnót wziął oblubienicę.
Dla cudzych wróbli ten nasiał pszenicę. *N.*

Sztuka długiego życia.

Każdy człowiek, choć nieraz narzeka na zmartwienia, na los ciężki, na choroby i złość ludzką, mimo to lubi życie.

Pierwsza zasada przedłużenia życia jest czysto-duchowa i przy pewnem wyćwiczeniu łatwa do wykonania: nie dawać się starości, nie myśleć o niej, starać się o to, by umysł i ciało czuły się rzeźkimi. Powtóre należy dbać o dobre trawienie, gdyż tworzy ono podstawę należytego obiegu krwi. Po trzecie, trzeba długo spać i w porę spać i wcześnie wstawać.

Zresztą doświadczenie uczy, że długowieczność jest w wielu rodzinach dziedziczną. Oto kilka bardzo zajmujących przykładów.

W Anglii stanął przed sądem niejaki Jenkins, liczący 160 lat. Miał zeznawać przed sądem o sprawie, która zaszła przed 120 laty. Towarzyszyło mu dwoje jego »dzieci«; z tych jedno miało 104 lat. W roku 1724 w pobliżu Temeszwaru na Węgrzech zmarł niejaki Piotr Czarten. Miał lat 185 i zostawił syna, liczącego 95 lat. Tomasz Parr

w Anglii, umierając w 1635 roku, miał 153 lat. Jedna z jego córek żyła 103 lat. Józef Surrington, który zmarł 1797 roku, liczył 160 lat. Miał syna, który wówczas liczył 103 lat, żonę młodą i z nią dziewięcioletniego syna.

Zmarła w Finlandyi w roku 1692 wieśniaczka Marya Millamow pożyła 114 lat, 9 miesięcy; jej brał 108 lat! rodzeństwo po 90 do 100 lat. Żołnierz francuski Jan Thouret — mimo ran, odniesionych w bitwach — żył 104 lat; jego matka 118 lat; jeden z jego wujów 130 lat. W pewnej rodzinie żył pradziadek, liczący 96 lat i miał siedmiu synów żyjących, którzy razem mieli 600 lat.

Lecz należyta hygiena może i dzieciom rodzin króciej żyjących zabezpieczyć długą starość. Należy tylko żyć umiarkowanie prawidłowo, unikać nocnych niewywczasów i przejadania się mięsem.

Miasto pływające.

W warsztatach Hamburg-Amerika-Linie w Szczecinie buduje się obecnie olbrzym morski, który będzie nosił nazwę »Europa«. Będzie to największy okręt pasażerski i już dzisiaj nazywają go królem morza. »Europa« przebywać będzie drogę do Ameryki w ciągu 122 godzin, a pod względem rozmiarów, bezpieczeństwa, wygód i wytwornych urządzeń pobije na głowę wszystkie istniejące parowce. Długość tego okrętu wynosić będzie 268 metrów, szerokość 30 metrów, pojemność 50 tysięcy ton, czyli 140.500 metrów sześciennych.

Kolos taki, wysokości 31 metrów, wymaga oczywiście potężnej siły poruszającej, to też łatwo się będzie domyśleć, w jakie będzie zaopatrzony machiny. Złoży się na nie kombinacya turbin i kotłów; te ostatnie umieszczone zostaną w czterech izbach, długości 23 metrów, turbiny zaś w dwóch olbrzymich izbach, długości 29 metrów, a tak szerokich, jak sam okręt. Siła tego «motoru centralnego» równa się sile 70 tysięcy koni, to też na jeden przejazd parowiec zużyje przeszło 600 wagonów węgla, co równa się 5 tysięcy ton.

To »miasto pływające« na falach Oceanu, pomimo ciężaru swego ładunku, wynurzać się będzie tak wysoko, że obserwator, umieszczony na wybrzeżu lub w łodzi, zaledwie rozróżni rysy pasażerów pierwszego pokładu, gdyż pokład ten, umieszczony ponad dziewięciu innymi, odpowiadać będzie prawie szóstemu piętru naszych kamienic. Co zaś do pokładu komendy, ten wznosić się będzie na 23 metrów ponad poziom morza. »Europę« zatem nazwać śmiało można »morskim drapaczem nieba o 11 piętrach«.

Nowy parowiec pomieści 4.250 pasażerów, a wraz z personalem blisko 5 tysięcy osób. Jest to zatem ludność małego miasta. »Europa« nadto dostarczy swoim pasażerom wszelkich wygód: będą mogli używać spacerów po kunsztownie urządzonych skwerach i ulicach, będą mieli bary, palarnie, czytelnie, teatr, sale koncertowe, sale do zabaw wspólnych, wspaniałe jadalnie, w których będzie mogło obiadować jednocześnie po 800 osób; będą mieli nadto zaciszne sypialnie, sale gimnastyczne, sale do masażu, pływalnie i kąpiele z wody słodkiej; wreszcie będą rozporządzali stacyą telegrafu bez drutu, która ich w każdej chwili połączy z żądaną miejscowością stałego lądu.

To nie wszystko. Specyalne urządzenie usunie z »Europy» chorobę morską. Urządzenie to zmniejszy prawie zupełnie kołysanie się statku. Przewidują, że pasażerowie będą mieli dobry apetyt »Europa« na 5 dni przejazdu z Europy do Ameryki zaopatrzywszy się w zapasy, które wyżywienie całego pułku armii w ciągu jednego miesiącą. Świeżego mięsa dostarczy 40 wołów, 30 cieląt, 87 baranów, 78 jagniąt, 36 wieprzy; dodajmy do tego 4 tysiące kilogramów drobiu, tyleż ryb świeżych, 42 beczek ostryg, 48 tysięcy jaj, 5 tysięcy kilogramów kartofli, 12.500 rozmaitych jarzyn, 2 tysiące cebuli, 6 tysięcy kilogramów owoców. Gdyby 7.500 kilogramów pieczywa nie wystarczyło, upieczonoby więcej z 350 beczek mąki 500 klg. drożdży. Nie zabraknie również konserw i marynat, bo parowiec zabiera 12 tysięcy kilogramów mięsa solonego, 4 tysiące szynek, 25 beczek śledzi (w każdej 650 sztuk), 6 tysięcy śledzi marynowanych, 400 wędzonych, 900 puszek sardynek, 5 tysięcy funtów kapusty, tyleż zielonej fa-

soli solonej, 800 puszek grzybów, 10 tysięcy kilogramów ryżu i jarzyn suchych, 2.500 kilogramów ciast.

Co do napojów, to mleka sterylizowanego parowiec zabierze 6.500 litrów, a zgęszczonego 5.200 pudełek; dalej 250 flaszek soków owocowych i 500 flaszek limoniady; 31 tysięcy butelek piwa i 15 tysięcy wód mineralnych. Nadto zabierze z sobą »Europa« 3 tysiące litrów wina zwyczajnego, 700 wina lepszego, 9.500 butelek win delikatnych, 5.100 butelek szampana i 2.200 butelek koniaku i likierów. Jeżeli dodamy do tego 175 kilogramów herbaty i 2.500 kilogramów kawy, to wyczerpiemy listę zapasów.

Za każdy przyjazd »Europa« będzie miała 2 miliony franków dochodów (licząc przejazd z bagażem) więc za 52 podróże roczne przeszło 100 milionów. Odtrąciwszy 20 milionów franków za węgiel, 25 milionów za żywność, 40 milionów na opłacenie personalu, na amortyzacyę kapitału, ubezpieczenia i t. p., przekonamy się, że Towarzystwo hamburskie szybko pokryje koszta budowy olbrzyma, które wynoszą 50 milionów.

Upały dziś a przed laty.

Żalili się tego roku wszyscy na upały, zapominając, że w zeszłym roku żaliły się również boleśnie na zimno; co jest nowym dowodem, że ludność zawsze sarka i zawsze pozostanie niezadowoloną.

To też pragnąc uspokoić narzekania i pomódz do cierpliwego znoszenia tortur, podajemy krótki opis upalnych lat, które dały się we znaki Europie, o wiele srożej aniżeli obecnie. Zacznijmy od najdalszej przeszłości:

W roku 627 wszystkie źródła wyschły, ludzie umierali z pragnienia.

W roku 879 zapanował straszliwy głód z powodu suszy i upałów, gdyż wszystkie zboża zostały wypalone na polu.

W roku 993 nastąpiły prawie w całej Europie takie upały, że rośliny wszystkie wysychały i za lada iskrą paliły się.

W roku 1000 bardzo wiele rzek wyschło.

W roku 1022 zarówno ludzie jak i zwierzęta padali masami od porażeń słonecznych.

W roku 1139 całe Włochy zostały pozbawione roślinności, która wyschła z upałów i suszy.

W roku 1260, podczas bitwy pod Bela, więcej padło ofiar od upału, aniżeli od oręża.

W roku 1303 rzeki Ren i Sekwana wyschły doszczętnie.

W roku 1705 powietrze dosięgło wysokości temperatury hut szklanych. Mięso pieczono na słońcu!

W roku 1753 przez wiele tygodni prawie w całej Europie termometr wskazywał 38 stopni.

W roku 1793, wszystkie warzywa zostały zniszczone przez suszę i upał, drzewa pękały.

W roku 1811 wiele dużych rzek wyschło.

W roku 1832 zapanowały straszliwe upały, a jednocześnie pojawiła się cholera. W samym Paryżu w przeciągu paru miesięcy umarło 20 tysięcy osób.

W roku 1846 przez cały sierpień było 46 stopni gorąca.

W porównaniu więc ze statystyką upałów, które już nawiedziły Europę, nasze 35 lub 36 stopni są jeszcze niczem.

Zżydzenie szkolnictwa średniego w Galicyi.

Kilka miesięcy temu mieliśmy we Lwowie osławioną w całej Polsce »ankietę o nędzy żydowskiej w Galicyi«. Były to obrady upokarzające dla społeczeństwa polskiego, a zwłaszcza dla ludu naszego, który, aby głodową śmiercią nie ginąć, musi setkami tysięcy co roku z kraju emigrować i szukać chleba w sąsiednich państwach europejskich lub za morzem.

Zamiast atoli radzić nad nędzą ludu polskiego, zwołano ankietę dla szukania środków zapobieżenia rzekomej nędzy wrogów naszej Ojczyzny.

Do ankiety owej, która pozostawiła po sobie niestartą plamę na jedynym Sejmie polskim, użyto także dzieła umyślnie opracowanego dla ankiety na żądanie Wydziału krajowego. Dzieło to nosi nazwę: »Materyały do kwestyi żydowskiej w Galicyi«, zebrane przez Dra Stanisława Gnińskiego.

Dowiadujemy się z powyższego dzieła, że procent żydów w szkołach średnich stale i szybko się zwiększa, zwiastując nam z tej strony nowy zalew. Wyjaśnia to następujaca tabela statystyczna:

	uczęszczało do szkół średnich:	
	chrześcijan	żydów
w roku 1886/7 . . .	9.520	2.185
» 1891/2 . . .	10.276	2.515
» 1896/7 . . .	12 560	2.882
» 1901/2 . . .	17 563	4.512
» 1905/6 . . .	23.224	6.250

Następstwem tego zalewu szkół średnich przez żydów, będzie coraz większe zażydzenie urzędów państwowych, krajowych, gminnych, z równoczesnem usuwaniem z nich pracowników chrześcijańskich.

Smutne to widoki na przyszłość, zwłaszcza jeżeli weźmiemy na uwagę, że ze wzmaganiem się liczby uczniów żydowskich, obniża się rónocześnie moralność wśród młodzieży chrześcijańskiej. Znaną bowiem jest rzeczą, że żydostwo wnosi wszędzie zarazki rozkładowe, czyli zepsucie.

Jak szkodliwy wpływ wywiera młodzież żydowska na młodzież chrześcijańską, świadczą o tem coraz częstsze wybryki w szkołach średnich naszego kraju, znieważenie katechety we Lwowie, strajki przeciw profesorom, oraz rozpustne życie pewnej części młodzieży poza zakładami naukowemi, o czem dużo mówią i publicznie piszą.

To też społeczeństwo polsko-chrześcijańskie powinno podwoić czujność nad swą młodzieżą uczęszczającą do naszych zżydzonych szkół średnich, aby ją uchronić od skutków żydowskiego zepsucia.

TO I OWO.

Mucha swatem.

Młody malarz kochał się w córce Rubensa sławnego holenderskiego malarza; zapewniony o wzajemności, rosił o jej rękę. Ale Rubens wręcz odpowiedział, że nie odda swego dziecięcia, za człowieka, którego całem bogactwem jest wprawdzie talent, ale jeszcze wątpliwy.

Ta odmowa nie zraziła młodzieńca. Znika na lat parę, udaje się do najpierwszych ówczesnych malarzy, pracuje pod ich okiem i powraca znakomitym artystą. Spieszy do domu Rubensa, gdzie utęsknione oczy i wierne serce spotkały go u proga.

Rubens tylko co wyszedł, ale na stalugach stał obraz świeżo rozpoczęty. Młody malarz chwyta pędzel i maluje z bijącem sercem, śród błagań przerażonej kochanki — letnią, złoto zielonawą muchę — poczem oddala się z pośpiechem.

Wkrótce powraca Rubens i zabiera się do przerwanej pracy. Widzi muchę, w tem właśnie miejscu, gdzie farby najmniej jeszcze zaschły; spędza ją raz i drugi, niecierpliwi się, wpatruje, wreszcie poznaje swoją omyłkę.

— Kto tu był w mojej nieobecności?... — woła, biegając po całym domu.

Córka wymienia z bojaźnią nazwisko gościa, lecz miasto gniewu, spostrzega wypogodzone oblicze ojca i w tejże chwili otrzymuje błogosławieństwo.

Ile miodu wytwarza jedna pszczoła?

Dość dokładne obliczenia wykazały, że w Niemczech pracuje rocznie około 65 miliardów pszczół. Obliczono to w ten sposób, iż przyjęto, że z 2 miliardów i 600 milionów ulów, które utrzymują w Niemczech bartnicy, każdy mieści w sobie około 25 tysięcy pszczół. Powyższe 65 miliardów pszczół przynosi rocznie hodowcom około 250 tysięcy cetnarów metrycznych miodu.

Jeżeli się tę liczbę podzieli przez ilość pszczół, to dojdziemy do rezultatu, że k a ż d a p s z c z o ł a d a j e ro-

cznie nie więcej jak ćwierć grama miodu. Ta nizka cyfra niejednego może rozczaruje, ale mimo to nie wolno nam lekceważyć pracy pszczół, jeżeli zważymy, że wszystkie pszczoły całego świata wytwarzają rocznie zdumiewającą ilość 300 milionów kilogramów miodu, a temsamem dostarczają ludzkości zarobku około 600 milionów koron.

Przytem nie liczy się już wartości wytworzonego przez pszczoły wosku, która to wartość jest wprawdzie niższą od wartości miodu, ale w każdym razie dość poważna. Z ilości wytworzonego przez pszczoły na całym świecie miodu można też obliczyć liczbę żyjących na całym świecie pszczół: wynosi ona 1 bilion i dwakroć 100 tysięcy milionów.

Śluby cywilne we Francyi.

We Francyi, jak wiadomo, według przepisów rządowych wszyscy nowożeńcy obowiązani są naprzód zawrzeć wobec mera (burmistrza) ślub cywilny, a potem dopiero, jeśli sobie tego życzą — ślub kościelny.

Francuzi jednak niewielką wagę przywiązują do owych ślubów świeckich. Nad tem lekceważeniem ślubów cywilnych biadają bezwyznaniowcy. „Nowożeńcy, pisze wysoki urzędnik paryski, dr. Marchal w „La Journal“ — idą do ratusza z musu i tylko z samymi świadkami. Zachowują się tam bez najmniejszego uszanowania, jak w jakiej kawiarni, a uciekają stamtąd, jak tylko mogą najprędzej. Przeciwnie w kościele, w czasie ceremonii religijnej zachowują się z największym szacunkiem i powagą, pokazując w ten sposób, że ślub cywilny nic ich nie obchodzi“.

Objaw ten jest dla każdego katolika bardzo pocieszający, gdyż dowodzi, że propaganda bezbożna nie ze wszystkiem jeszcze zatruła serce narodu francuskiego.

Handel niewolnikami.

Dziennik *Capital*, wychodzący w Lizbonie donosi, że w afrykańskich koloniach Portugalii kwitnie w naj-

lepsze handel niewolnikami. W miejscowości Massamedes istnieje Towarzystwo specyalnie tylko tym hadlem się zajmujące i sprzedaje niewolników na setki. Wprost prowadzi ona sklep z murzynami „jak z towarem“ i wynajmuje niewolników po cenie 40 do 80 marek miesięcznie. Handel ten jest niezmiernie popłatny, gdyż murzyni nie dostają poza nędznem mieszkaniem i jeszcze nędzniejszą żywnością, nic.

Ze względu zatem na nadzwyczajną popłatność tego handlu, mnoży się coraz liczba handlarzy i operacye ich przybierają rozmiary potworne. Niejeden z tych nieludzkich przedsiębiorców rozporządza takiem bogactwem „towaru“, że może każdej chwili dostarczyć od 400 do 1000 niewolników.

Capital, przytoczywszy te straszne fakty i daty, wzywa rząd nowej republiki, by jak najenergiczniej wkroczył i położył kres haniebnemu i nieludzkiemu handlowi niewolnikami. Apel ten jednak pozostanie, zdaje się, bez skutku.

Żołądek Londynu.

Prawie wszystko, co spożywają mieszkańcy Londynu, a żyje ich tam 8 milionów, przybywa do nich z zewnątrz. Mleko pochodzi od krów, które się pasą na łąkach hrabstwa Sommerset, zboże nadsyła Ameryka Północna, słoninę Holandya, masło Normandya, jaja Dania i Niemcy, jarzyny z bliższej i dalszej okolicy.

O ilości produktów, potrzebnej dla wyżywienia stolicy Anglii, dają miarę następujące cyfry: do Londynu w roku ubiegłym przybyło z zewnątrz 419 tysięcy ton mięsa, pozatem w mieście bito 58 tysięcy sztuk wołów i 376 tysięcy baranów. Przez rogatki przeszło 174 tysiące ryb. Londyn wypija rocznie 80 milionów hektarów mleka, konsumcya dziennie wynosi 1 i pół miliona litrów. W czasie normalnym co wieczór mleko bywa dowożone pociągami specyalnymi. Z dworców kolejowych zabierają je wprost detaliczni przekupnie. Ogółem 150 tysięcy krów dostarcza mleka, 40 tysięcy ludzi rozwozi je po mieście.

Londyn spożywa dziennie 3 miliony bochenków chleba, wagi ogólnej 6 milionów funtów kartofli, 750 tysięcy główek kapusy i 96 tysięcy litrów grochu i bobu i 900 milionów litrów wody, w tem 1 i ćwierć miliona litrów wody do picia, do gotowania kawy, herbaty, kakao. Londyn konsumuje dziennie 100 tysięcy funtów herbaty (jako kwiatu, bez wody do zalewania go), proszku, kawy i kakao — dziesięć razy mniej. Stolica Anglii wypija dziennie napojów alkoholicznych za 50 tysięcy funtów szterlingów (220 tysięcy koron).

Rozmaitości.

Do Kijowa na wychowanie wysyłają galicyjscy wiesniacy swoje dzieci. Oto niedawno z Wybranówki wyśkspedyowano pierwszy transport chłopaków włościańekich z Brynic powiatu bóbreckiego, do Kijowa, gdzie zostaną oddani do zakładów wychowawczych, i wychowani na prawosławnych Moskali, kosztem rządu rosyjskiego.

Na stacyi kolejowej działy się wzruszające sceny, zapłakani chłopcy uciekali, lecz ojcowie ich łapali i przemocą do wagonu pakowali.

Wysyłkę zorganizował i osobiście nią opiekował się ruski paroch z Borusowa ks. Jaworski.

Z przemyskiej dyecezyi, wywieziono blisko setkę dzieci chłopskich do Chełmu, Paczajowa, Kijowa, Moskwy i Petersburga, dla edukacyi. Z Brodzkiej ziemi również masa dzieci kształci się w Rosyi. Charakterystycznem jest to, że dzieci jako wychowankowie szkół rosyjskich wracają do kraju jako „prawosławni“.

Rocznica 250-letnia założenia Stanisławowa przypada na rok 1912. Wedle kronik ówczesnych, Stanisławów założył Stanisław Rewera Potocki, otrzymał on przydomek „Rewera“ od słów, które ciągle powtarzał „re vera“. Ztąd też i dziś przy okolicznościowych przemowach, nazywają Stanisławów „grodem Rewery“.

Będzie bardzo ostra zima, tak przynajmniej zapowiada stacya meteorologiczna. Spostrzeżenia wykazały, że obecne prądy morskie są niezwykle zimne, co jest znakiem nieomylnym wielkich mrozów.

Strejk dzieci szkolnych w Londynie. W kilku dzielnicach Londynu zastrejkowali uczniowie szkół elementarnych, żądając zniesienia kary cielesnej, usunięcia przedewszystkiem trzcinki, a wprowadzenia natomiast pół dnia wakacyi w tygodniu. Strejkująca młodzież urządziła pochód manifestacyjny, wtargnęła do szkoły i do ogrodów public nych, rozpędzając „łamistrejków“, którzy z obawy przed „batami“ do strejku się nieprzyłączyli. Opornych gwałtem wyrzucono na ulicę

Celem silniejszego zadokumentowania swojej „woli“ dziatwa zaczęła hałasować i urządziła bombardowanie kamieniami. W końcu kilku policyantów rozpędziło hałasującą w towarzystwie czułych matek dziatwę. Podobne „rozruchy“ wynikły także w Manchesterze. Dzieci, prócz wyżej wymienionych żądań, domagały się tam jeszcze 20 halerzy na tydzień dla swojego „dziekana“.

Ślub magnata z córką stróżki. Donoszą z Szegedynu na Węgrzech, iż hr. Zichy Stefan ożenił się z Iloną Takasz, córką stróża swej kamienicy. Hrabina obecna ma być bardzo pię ną, dobrą i wykształconą, a hrabia szalenie w niej zakochany.

Skarb żebraczki. W miejscowości Pongau koło Salzburga zmarła 78-letnia żebraczka Marya Ecker. Po jej śmierci syn jej podarował sąsiadowi siennik zmarłej. Przy przetrząsaniu siennika obdarowany znalazł w nim zniszczony pugilares, który zawierał 2.200 koron w banknotach 10 i 20 koronowych. Uczciwy znalazca oddał natychmiast ów „skarb“ synowi zmarłej, jako prawnemu posiadaczowi.

Zemsta żydowska. Pismo żydowskie *Hazman* omawiając niedawne rewolucyjne niepokoje w Hiszpanii zaznacza, że żydzi doczekali się zemsty, i że nienawiść do Hiszpanii tkwi bardzo w sercach żydów za to, że przed kilku wiekami Hiszpania uciskała żydów, a wreszcie ich wypędziła.

„Jeżeli Francya katolicka, która tak bardzo dokuczała żydom, upadła a na jej miejsce jest teraz „wolna“ Francya, to taka zemsta jest nam żydom bardzo przyjemna“.

Cieszą się więc żydzi, że Francya katolicka upadła, że spadła na szary koniec odkąd ster rządów tego kraju objęli masoni i socyały. Ten upadek Francyi, to także żydowska zemsta.

Co się płaci za zwierzęta. Nieraz donosiły pisma o tem, że istnieją cenne okazy kwiatów, za które płacą znawcy olbrzymie sumy. Są jednak i zwierzęta, które nieraz przedstawiają wartość majątku. Przed kilku laty pewien niemiecki podróżnik w Nowej Gwinei złapał kilka okazów wspaniałego motyla. W walce z Papuasami zginął jednak, a tylko część jego rzeczy została uratowana. Wśród ocalałych zbiorów były i owe motyle. Dostały się one następnie w ręce specyalisty znawcy Dra Staudingera w Dreznie, który sprzedał je po 600 koron za sztukę.

Przed kilku laty zakupiła żona Paderewskiego w Ameryce stadko kur, koguta i cztery kury, za które zapłaciła okrągło 35 tysięcy koron.

Na wystawie kotów w Dreznie ogólną uwagę zwracał kot z gatunku Angora „Dodo“, którego wartość oceniano 50 tysięcy koron.

W roku 1908 kupiła żona pewnego architekty w Filadelfii psa ważącego 750 gramów, za którego zapłaciła tylko... 50 tysięcy koron. Gram tego psa kosztował więc 60 koron.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyiewskiego.

Rocznik III. Kraków 1-go listopada 1911. (Półrocze II-gie) Nr. 5.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA" wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** kor. **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** kor. — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA" w Krakowie ul. Powiśle 12.

SMUTNA PRZYSZŁOŚĆ.

Nie tak dawno temu, bo w lecie bież. roku, ogłosiło dwóch żydów, jeden z Warszawy, drugi z Łodzi, w pewnej gazecie niemieckiej wychodzącej w Czechach (w *Maryenbader Zeitung)*, że oszustwem jest dziś twierdzenie, jakoby istniała Polska z jednym tylko narodem polskim. Żydzi bowiem, od wieków w Polsce osiedli, stanowią także naród i mają wszelkie prawa do tej ziemi, zroszonej — jak piszą — potem i trudem ich dziadów i pradziadów.

Polska, to już dziś kraj nie wyłącznie polski, czy to w zaborze rosyjskim, pruskim, czy w austryackim, ale polsko-żydowski — i takim być musi, czy Polacy chcą czy nie chcą.

A więc żydzi już całkiem otwarcie głoszą, że postanowili ujarzmić nasz naród, i dążą do tego przy pomocy wszelkich środków. Przedewszystkiem zaś, korzystając z naszej słabości i rozdwojenia, chwytają zarządy miast i miasteczek naszych w swe ręce, wywłaszczają mieszczan wykupując coraz więcej domów i zagarniając handel i nowo powstający przemysł w swe ręce.

Równocześnie łączy się żydostwo przeciw nam z wrogami naszymi, to jest z Pruskami i Moskalami i bezwzglę-

dnie nas zwalcza, aby przy ich pomocy na gruzach Polski zbudować swoje państwo przyszłości.

Chcąc nas zniszczyć, usiłują żydzi zdemoralizować nasz naród przez wydawanie i szerzenie pism liberalnych i socyalistycznych, które pod pozorem postępu zatruwają dusze wszystkich sfer społeczeństwa, a zwłaszcza ludu i młodzieży.

Głównem dziś marzeniem żydów jest utworzenie na gruzach Polski swego *żydowskiego państwa* przyszłości. Do urzeczywistnienia tych marzeń idą żydzi coraz widoczniej, coraz bezwzględniej, nie oglądając się na nic i niwecząc wszelkie po drodze zapory.

Podkopują wiarę chrześcijan, szerzą zepsucie moralne, wywłaszczają mieszczan i rolników, wyrzucając ich procesami lub kupnem z domu i roli, słowem stają się już panami kraju.

W tej dla nas tak smutnej, a dla nich uplanowanej i djabelskiej robocie pomaga im wiele, bardzo wiele *nasza ospałość*, nasze lenistwo, nasza ślepota, która nie widzi groźnego niebezpieczeństwa.

A choć czasem widzimy, co nam grozi, — to jednak dalej śpimy, nie dbając wcale o przyszłość narodu i Ojczyzny. Szczególnie *miasta* nasze, wielkie i małe, całkiem prawie oddały się żydom i nawet przeszły pod ich rządy, bo burmistrzami tychże i radnymi są w przeważnej części żydzi.

Tylko lud nasz zaczyna się wyzwalać powoli z pod jarzma żydowskiego. Kasy powstające we wszystkich parafiach pokonują lichwę żydowską, spółkowe mleczarnie, Kółka rolnicze i sklepy chrześcijańskie usuwają żydom grunt z pod nóg. Dlatego to znika ze wsi pachciarz, karczmarz i kupiec żydowski. Żydostwo usuwa się do miast, gdzie łatwiej o zarobek i gdzie cały prawie handel staje się jego własnością.

Chcąc zupełnie złamać wpływ żydowski i przeciwdziałać ich zaborczości, musimy trzymać się energicznie hasła: »*swój do swego*« i *kupować tylko u chrześcijan*, a przez to złamiemy butę żydostwa, które dzięki naszej ślamazarności i nieporadności zamyśla przeprowa-

dzić nowy rozbiór Polski i nas wywłaszczyć, a siebie zrobić panem naszej Ojczyzny.

I do tego przyjdzie kiedyś — jeżeli dalej spać i oczy zamykać będziemy na niebezpieczeństwo, jakie nam grozi ze strony żydostwa. Ocknijmy się już raz.

Święto umarłych.

(Legenda).

Cisza powoli zalega cmentarze... Gwar umilkł, ulatując poza bramy przybytku śmierci; zabrali go z sobą ci, co jeno raz w rok pamiętają o popiołach...

Odeszli żywi, zostali umarli. Jednych kryją darnie mogilne, a wszyscy śpią snem wiecznym pod strażą krzyżów.

Pomiędzy onymi krzyżami przesuwają się teraz trzy postacie — cicho, bez szelestu, tak — jako chodzą cienie umarłych. Co ujdą kroków kilka, to stają i za chwilę posuwają się dalej.

Większa od łuny nad cmentarzem jasność bije od nich wokoło. Lubo nie widzą jej ludzkie oczy, budzi on jednak nieboszczyków, którzy żegnając się krzyżem w trumnach, niby żywi, z radosną wdzięcznością wzrok ku niej podnoszą — oni, na wieki uśpieni, którym powiek nie otwarła taka mnogość świateł na grobach od wczesnego wieczora.

I poprzez wieka swego ostatniego posłania, poprzez zimne gruzy ziem, poprzez grube i ciężkie kamienie — widzą oni z pod mogiłek ten mały orszak świetlany, co się wciąż nuża w krzyżów powodzi.

Ot, tam, po omszałym głazie wilgotnym bosą nóżką stąpa cicho małe chłopię złotowłose; oczęta ma z rąbków błękitu, usteczka z purpury gasnącego słońca, a koszulinę białą, niby z obłoczków uszytą.

Za rączkę wiedzie z sobą niebiańskiej piękności niewiastę, ze słodyczą dobroci na ustach, a z boleścią wieczną w oczach, z długiem włosem czarnym, jak welon żałoby.

Trzecia zaś postać, co za nimi dąży krok za krokiem, ma u ramion skrzydła duże bieluchne: ni to puchy łabędzie, ni to nitki jesiennej nad polami przędzy — że zda

się, dotknąć nie ma czego; tak wszędzie wysoko sięgają, one dwa skrzydła, jako najwyższe na mogiłach krzyże... To młodzian urodziwy o niewieściem licu, z zadumą na czole, z którego spływa przez głowę do ramion strumień srebrzystych promieni.

Siłacz musi snadź być z niego, skoro krom skrzydeł tam ogromnych dźwiga jeszcze worek duży.

Co się w worze mieści, któż odgadnie? Ciężar zapewne wielki, bo się po ziemi aż wlecze; a jednak wór tak wygląda, jak gdyby go aniołki utkały z najcieńszych włókien wysnutych z blasków zorzy...

Właśnie młodzian skrzydlaty sięga ręką do worka.

Gwiazdkę wyjął z niego i chłopięciu ją podaje w chwili, gdy chłopię mówi do niewiasty:

— Matko! i tutaj pusto i ciemno na tej mogile sierotki... Ot, tamten gróbek także zapomniany, opuszczony... Sierotka już nikogo nie ma na ziemi...

— Widzę, synu — odrzecze matka — i tu i tam pozaświecaj tedy jeszcze po jednej gwiazdeczce.

— Dobrze, mamo. A ty, Rafale, będziesz miał dość gwiazdek na dalszą drogę?

— Starczy, mój Jezu — odpowie Archanioł — połowy nie ubyło jeszcze z worka.

Tymczasem Marya, zatrzymując się nad każdą zapomnianą mogiłą, obrywa drobne płatki swej szaty niebieskiej i sypie je na nią garściami. Na groby spadają z rąk jej niezapominajki.

Gdzie zaś, idąc tak ciągle we troje, natrafią na grób nie sieroty, lecz nieboszczyka, którego rodzina żyje, a zapomniała o jego kurhanie w Zaduszki, tam Jezus, nie doszukawszy się w trawie niedopałka świeczki, kładzie lampkę ze wspaniałego pomnika, gdzie było świateł za wiele... Marya zaś, zdjąwszy stamtąd jeden z wianków, na krzyżu pustym zawiesza go mocno, by nazajutrz niczyja ręka zerwać nie mogła tego kwiecia...

Tak chodzą do świtu, od grobu do grobu, powoli, troskliwie — chociaż spieszno im bardzo, bo za jedną noc muszą się uporać ze wszystkiemi cmentarzami na ziemi.

. . . .

Kędy najciemniejsze leżą rzędem groby, gdzie ani śladu nie było światełek, ani kwiatów, a gdzie krzyżyk do krzyża chyli się skromniutki jeden za drugim — wiedzie Anioł stróż za rękę dziewczynkę małą.

W tem spotykają Jezusa z Matką, więc pokłonili im się nisko.

A Syn Maryi pyta Aniołka:

— Dokąd to wiedziesz tę duszyczkę dziecięcą?

— To sierotka Jezu!...

— A dawno umarło to dziecię?

— Na wiosnę jeszcze.

— A matka?

— Na rok przed córeczką jedyną poszła do nieba...

— Więc czegóż szukacie tutaj?

— Mój Jezu, tu pod mogiłkami leży matka tej maleńkiej dzieweczki..,

— W którym grobie?

— Właśnie nie wiadomo.

— A uboga była twoja matka, dziecino? — zagadnie Jezus duszyczkę.

— O, bardzo była biedna! Zimno bywało u nas w izbie i jeść nie było co w domu... Bardzo biedna była mama...

— Toż po śmierci — dodał Aniołek — pochowali kobietę pospołu z innymi biednymi we wspólnym grobie. Szukamy właśnie jej ciała... Tej nocy najjaśniej na cmentarzu, dziś tedy prowadzę sierotkę między groby, które odszukamy...

— Znajdziesz swoją matką, dziecino, nie płacz, duszyczko moja — pocieszała Marya dzieweczkę, a w tem Jezus grób wskazał jeden, w którym wszyscy zaczęli grzebać mozolnie, aż natrafili na ciało matki płaczącej sierotki.

Wtedy wynieśli je ze wspólnego dołu i cichutko przenieśli do mogiłki dziecięcia, które odtąd spało już w ziemi razem ze swą matką.

Powrócił Jezus mateczkę biednej sierotce. A potem z Maryą z Archaniołem poszli dalej, jak Pielgrzymi, między groby, między krzyże...

Ostatnia pieśń.

Kres mój życia niedaleki:
cichy czeka grób,
Nikt nie zamknie mi powieki,
nie utuli w sen na wieki
nie obejmie stóp.

Ktoś wykopie dół z litości,
taki zwykły dół
i ludziska przyjdą prości
i ułożą w trumnę kości
i uchylą czół.

I gdzieś może tam oracze
przystaną wśród pól,
bo wiatr, co zna łzy tułacze
jękiem dzwonów w głos zapłacze,
głosząc wieczny ból.

W rok na grobie z pierwszą wiosną
zejdzie polny kwiat
potem trawy grób zarosną
i za drugą, trzecią wiosną
już zaginie ślad. — — —

— — — Tak, jak cicho zmierzch zapada,
jako milknie pieśń,
jako więdnie lilia blada
niech i człowiek się układa
— cicho w grobu pleśń.

PORTRET.

I.

Byłem podówczas trzechletniem dzieckiem, kiedy ojcu memu wypadło się przenieść z pod Radomia w góry

Świętokrzyskie, gdzie zadzierżawił piękną majętność. Część naszych ruchomości, przytem bydło i trzody wyprawiono już na nowe gospodarstwo; dla uporządkowania zaś domu ojciec mój, który nigdy nie lubił rozstawać się z żoną, tym razem widział się zmuszonym wysłać ją naprzód, wraz ze mną, a sam kończył jeszcze różne interesy.

Przy pożegnaniu, które było bardzo czułe, bo prawie pierwsze od pobrania się, mówił ojciec mej matce:

— Dziś zajedziesz do państwa Różyców, tam zanocujesz, jutro przed południem staniesz na nowem gospodarstwie, a na wieczór spodziewaj się mnie niechybnie.

Jak mój ojciec ułożył, tak się też stało. Po gościnnem przyjęciu u państwa Różyców, wyjechaliśmy nazajutrz ze świtem, a na dziesiątą przybyliśmy na miejsce.

Matka moja, nie chcąc ludzi od innych zatrudnień odrywać, wzięła tylko ze sobą pannę służącą i starego furmana; część zaś domowników, którzy rzeczy wieźli, wróciła z podwodami dla zabrania reszty, mając je w nocy lub nazajutrz dostawić. Byliśmy więc niejako samotni w ogromnym staroświeckim dworze, którego komnaty wysokie, obicia ciemne, ruszające się za każdym drzwi otworzeniem, portrety przodków pana dziedzica i ciasne korytarze dziwną sprzeczność tworzyły z dawniejszą siedzibą, szczupłą — o wybielonych ścianach, nizkich okienkach — ale wesołą i schludną.

Że dzień był słoneczny, a bardziej jeszcze, że trzeba się było zająć się ustawieniem zwiezionych mebli, matka moja — w ustawicznym ruchu — nie doznała żadnego przykrego wrażenia, owszem, cieszyła się mieszkaniem obszernem i tak rozłożonem, że mogła na wszystkie części gospodarstwa kobiecego pilne mieć oko.

Jakoż na ciągłem znoszeniu, ustawianiu, przybijaniu zeszedł dzień Boży. Wieczorem matka, zmęczona, rzuciła się na kanapę w sypialnym pokoju, a ja, szczebiocąc, zasnąłem powoli na jej kolanach.

Służąca postawiła świecę, podała wieczerzę i zaczęła rozpowiadać różne banialuki o strachach murowanego dworu, o którym jej stary miejscowy nabajał ogrodnik.

Matka śmiała się i żartowała z jej łatwowierności, gdy tymczasem mocny wicher zaszamotał oknami, zaczęło grzmieć, błyskać się, i deszcz lunął jak z cebra.

— Ach, dobry Boże! co się tam z moim mężem dzieje? Pewnie go w drodze burza napadła — rzekła moja matka, składając ręce.

— Toby gorsze było niż wszystko — wtrąciła bojaźliwie służąca. — Na całe obejście żywego ducha niema, prócz głuchej klucznicy i krowiarki, a bór świętokrzyski dokoła. Najlepiej niechby pani kazała przyjść furmanowi wartować przez noc.

A któż zostanie przy koniach? — odpowie matka. — Prędzej je co złego, niż nas, spotkać może a — wreszcie jestem pewna, że mąż nadjedzie.

Jeszcze jakiś czas rozmawiały; burza wciąż szumiała. Mnie położono w kolebce, służąca robiła pończochę i zaczęła drzemać.

— Tobie się spać chce, Małgorzatko — rzeknie moja matka. — Idź, wyśpij się do jutrzejszej pracy, a ja będę czekała na męża, aż nadejdzie.

Małgorzata wymawiała się tem, że nie rada opuszczać pani, lecz na zaręczenie matki, iż się niczego nie boi, poszła do swego pokoju, zawezwawszy na straż bezpieczeństwa głuchą klucznicę.

II.

Zamknąwszy dobrze sień i drzwi od sypialni, matka moja nakręciła zegar, który właśnie wpół do jedynastej uderzył i postanowiła nie kłaść się, choć walczyła ze snem, przywierającym jej powieki.

Przechadzała się wzdłuż i wszerz po komnacie, która teraz dopiero wydała się jej okropnie posępna: sufit bowiem, malowany olejno, obwisł i w starości swojej ledwo dozwalał odgadnąć herb i jakieś symboliczne figury; złocone ramy czas poczernił; ściany, powleczone chińskiem obiciem, za którem harcowały szwadrony myszy, a nad łożem wisiał duży portret z wyobrażeniem króla Jana, pod nim mały wizerunek na blasze Najświętszej Panny Częstochowskiej.

Około północy, kiedy słuch matki zmordował się łowieniem odgłosu mającej zajechać bryczki, kiedy mimowolna trwoga zaczęła ściskać jej serce, przystąpiła do mojej kolebki, pocałowała śpiącego i ukląkłszy przed cudownym obrazem, modliła się gorąco o szczęśliwy powrót męża.

Modlitwa ta odbywała się w wewnętrznem rozmyślaniu, a czasem głośnem westchnieniu, w miarę, jak obawa nią miotała, wzrok zaś często zwracał się ku obrazowi, niby odgadując odpowiedź w nieruchomych rysach Bogarodzicy.

W jednem z takich uniesień oko jej podniosło się wyżej i zawisło na wspaniałej twarzy króla. Zdawało się jej, że wzrok portretu był na nią zwrócony i że przenikał ją do głębi.

Ale o cudo! król Jan mrugnął...

Nie wierzy sobie, przeciera oczy, żegna się i patrzy.

Świeca stojąca za nią na stole, odbija się jak w dwóch gwiazdach, na ciemnem tle płótna.

Patrzy znowu... powtórnie mruknął. Mruga i jeszcze mruga.

To nie sen! Ona przy zmysłach, czuje i widzi. Słucha...

Jakiś szmer za portretem; jeszcze raz odważa się spojrzeć, ale oczu już nie ma. W ich miejsce dwa wielkie, ciemne doły...

Co się z nieszczęśliwą matką działo, nie umiem opisać, bo i ona opowiadając to, zawsze w tem miejscu umilkła, jakby mierząc grom przestrachu, który znieść musiała. Jednakże w ważnej tej chwili pokazała się bohaterką niepospolitą; rozwaga wzięła górę nad uczuciem i naprowadziła ją na myśl, że w domu tym pełnym kryjówek, mógł się schować złodziej, czatujący zapewne na pełną szkatułę jej męża.

Cóż pozostało? Stłumić wszelki przestrach, a nawet ukryć najdrobniejszy pozór podejrzenia.

Mimo tego pomysłu, co ducha jej pokrzepił, nie miała jednak dość siły, ażeby podnieść się z ziemi. Szczęściem zacząłem kwilić w kolebce, to zwróciło jej myśl na drugą jeszcze istotę, tak blisko jej będącą.

Zerwała się, uchwyciła mnie konwulsyjnie na ręce i, tuląc do piersi, usiadła w kącie kanapy.

— Niczego się teraz nie boję — szepnęła — twoja niewinność oboje nas ocali.

III.

Uspokojenie nie przychodziło tak prędko. Deszcz zdawał się zwiększać.

— Jeżeli mąż nie nadjedzie, będę musiała całą noc przepędzać pod okiem zbójcy, a kto wie, jakie on knuje zamiary — myślała sobie.

Chciała już wraz ze mną rzucić się ku drzwiom i uciekać... ale dokąd? gdzie szukać pomocy? Choćby wypadła na wieś, kto jej [zaręczy, że dokoła domu nie czatują wspólnicy?

Czuwać do dnia białego? To to samo, co wzbudzić podejrzenie w szpiegujących oczach, co wywołać złoczyńcę, aby miasto kradzieży popełnił zbrodnię...

Kiedy tak rozmyślała, zegar pierwszą uderzył.

— Już się go nie doczekam — zawołała dość głośno. — Położę się bom znużona.

I ułożywszy mnie na swojem łóżku, zaczęła się powoli rozbierać, to rozczesując włosy i chowając je pod nocny czepek, to rozwiązując całe pół godziny wstążkę u trzewika, to drugie pół odpinając haftkę u sukni... A słuch jej ciągle wytężony: na dworze deszcz zdawał się ustawać, tylko wiatr szumiał... już nie wie, jak dokończyć tej okropnej roli...

Zegar drugą uderzył...

— Trudno odwlekać, niech się co chce, stanie — westchnęła gorąco i biegnie położyć się...

W tem czy nie złuda? słucha... coś pod oknem zaturkotało... trzask z bicza i głos jej dobrze znany.

— To mąż, to Franuś! — krzyknęła, biegnąc drzwi otworzyć.

I niebawem wszedł mój ojciec dobrze przemokły, za nim służący, który zaczął znosić tłomoki.

— Ty nie śpisz jeszcze, Maryniu? — mówił do zawisłej u jego szyi. — Co ci to? drżysz cała. Uspokój się!

Ale ona, prawie omdlewając, padła mu na ramiona, że musiał ją złożyć na sofie.

— Nie gniewaj się na mnie, Bóg świadkiem, nie mogłem pierwej przyjechać, bo ten przeklęty deszcz tak nas złapał, że musieliśmy stąd o ćwierć mili w karczmie przeczekać.

— Ach nie, mój drogi! Jam tak szczęśliwa z twego przybycia!

— Alboż co złego stało ci się bezemnie?

— Nic, nic — i ścisnęła go mocno za rękę.

— Nie rozumiem cię, cóż to jest?

Ona położyła palec na ustach i rzekła donośnie:

A interes, czy dobrze ci poszedł?

— Wybornie! Oto pięćset sztuk złota gotówką! — I brzęknął workiem.

— Trzeba je schować do biurka, które postawiłam obok naszego pokoju. U ciebie jest kluczyk.

— Będzie dosyć czasu jutro.

— Lepiej teraz. Zobaczysz, jak w dobrem miejscu stoi — mówiła pieszczotliwie matka, ciągnąc ojca za sobą.

IV.

Po krótkiej rozmowie w drugiej izbie, wyszedł mój ojciec trochę zmieszany, spojrzał ukosem na portret i rzekł do lokaja:

— Zostań tu, Macieju, a ja tymczasem rozporządzę ludźmi; którzy resztę naszych rzeczy przywieźli.

Nie minęło kilka pacierzy, a drzwi od sypialni się otworzyły i wszedł mój ojciec w towarzystwie ekonoma i kilkunastu chłopów z ogromnymi drągami.

— Macieju, pistolety moje!

Obejrzał podsypkę, a odwiódłszy kurek, posunął się ku obrazowi.

— Wychodź, złoczyńco! — krzyknął piorunującym głosem.

Podstarości i czeladź otworzyli ździwione oczy na tę osobliwszą przemowę do portretu.

— Kapitulujemy — ozwał się głos za obrazem.

— Z mistrzem na szubienicę! — odrzekł mój ojciec.

— Kiedy tak, to jeszcze mam nadzieję wygranej...

I za pociągnięciem sprężyny, portret się otworzył, a w dość szczupłej framudze ukazała się postać rabusia, który, robiąc bardzo grzeczny ukłon, powitał całą kompanię i wypalił duser mej matce.

— To Bogusławski! — krzyknął podstarości, świecę do jego twarzy zbliżywszy — wpadłeś ptaszku, do klatki. Tym razem pewnie podyndasz!

— Hej, chłopcy! Wiązać go! Rząd wyznaczył sowitą nagrodę za jego głowę!

— Prędzej ucho swoje zobaczysz, niż owe tysiąc talarów za moją głowę — odrzekł rozbójnik obojętnie, gdy go krępowano powrozami.

I dotrzymał słowa.

Bo kiedy go dostawiono do Kielc, nie zamknięto go dla spóźnionej pory do kryminału, lecz do ratusza, obstawiwszy gmach gęsto wartami. Na drugi dzień, gdy przyszli po niego, żywego ducha nie znaleźli, choć ani mur nie był przebity, ani kraty wyłamane, ani w komin się nie schował, bo nawet pieca nie było w tej izbie.

Pogłupieli wszyscy i byli pewni, że łotr ma spółkę z dyabłem! A on śmiał się z nich w duchu pod podłogą. Albowiem znalazłszy źle przybite deski, podniósł je, ubił ziemię i sam się położył pod niemi. Upatrzywszy chwilę, gdy izba nie była zamknięta, wyszedł i okradł jeszcze burmistrza.

Oto koniec tej okropnej sceny; wszyscy z niej wyszli dość obronną ręką, prócz mojej matki, która bohaterstwo swoje odchorowała śmiertelnie i ogrodnika, który — jak się okazało — był z Bogusławskim w porozumieniu, za co go sąd skazał na lat kilka więzienia.

NOWOCZESNA WOJNA.

Jeszcze przed kilku laty sądzono, że walka na blizkość, potykanie się żołnierza z żołnierzem, już należy do niepowrotnej przeszłości. Po zaprowadzeniu zwłaszcza karabinów repetyerowych dowodzono powszechnie, że nad-

zwyczajna donioslość strzałów tej najnowszej broni palnej zniesie na zawsze walkę na blizkość, a prowadzenie wojny oprze na zręcznych obrotach. Powiadano: »Zwycięży armia posiadająca lepsze buty«.

Wojna rosyjsko-japońska zadała kłam tym poglądom. Pod Portem Artura, pod Mukdenem i w licznych innych bitwach Rosyanie i Japończycy walczyli piersią w pierś, a bagnet, na który spoglądano z lekceważeniem, odzyskał swoje prawa. W wojnie tej używali Japończycy także granatów ręcznych, które już od stu przeszło lat poszły w zapomnienie. Wobec tego, po wojnie rosyjsko-japońskiej wszystkie prawie mocarstwa zaczęły zajmować się bronią do walki na blizkość, czyniąc na tem polu rozległe próby, co znów dało pochop do nowych wynalazków.

W ostatnich czasach ulepszono bomby ręczne, które mogą stać się rzeczywiście bronią bardzo skuteczną. Bomby te mają oddawać małym oddziałom takie usługi, jak działa. Bomba taka ma kształt kuli średniej wielkości, a na dnie ma wpuszczony cienki pręt. Napełniona jest nową, nieznaną dotychczas materyą wybuchową i zaopatrzona jest w zapalnik perkusyjny. Za pomocą wielce misternego przyrządu, żołnierz przytwierdza taką bombę do lufy karabinu przy jej otworze, poczem wkłada do karabinu specyalny do tego celu nabój. Żołnierz mierzy, pociąga za kurek, a skutkiem strzału bomba leci na odległość około 60 metrów i uderzając o ziemię, wybucha, niszcząc wszystko w promieniu 10 metrów. Sfery wojskowe przywiązują do tej nowej broni dosyć wielkie nadzieje, zwłaszcza przy szturmie na miejsca obronne.

Nowym środkiem wojennym innego rodzaju są pociski balonowe. Balon na uwięzi jest niejako okiem armii nowożytnej. Unosi się na wysokości kilkuset metrów, a w łodzi jego znajduje się kilku oficerów sztabu jeneralnego, którzy mają na swe usługi telefon. Z tej wysokości oficerowie donoszą jenerałom o ruchach wojska nieprzyjacielskiego. Oczywiście obie strony walczące usiłują nawzajem zniszczyć te balony celnemi strzałami. Dotychczas używano do tego celu dział o lufach dających strzały w górę, ale nie zawsze jest możliwe działa takie umieścić na odpowiednich pozycyach. Prócz tego mierzenie do balonu nie

jest rzeczą łatwą. Wobec tego powstała myśl zaopatrzenia tak piechoty, jako też konnicy w pociski balonowe, wyrzucane za pomocą karabinów Mannlichera.

Pocisk ten ma budowę zajmującą. Tylna jego część jest wydrążona i zawiera materyę palną, przeznaczoną do wywołania wybuchu gazu, wypełniającego balon. Ażeby zaś pocisk, posiadający szybkość wielką, przebiwszy powłokę, nie poleciał dalej bez wywołania pożądanego skutku, na końcu jego umieszczone są cztery sprężyny, przylegające ściśle do podłużnych ścian pocisku. One otwierają się i wirują razem z kulą naokoło jej osi podłużnej. Kula taka rozdziera powłokę balonu mniej więcej na przestrzeni metra kwadratowego, a jednocześnie materya palna, w tyle pocisku umieszczona, wywołuje wybuch gazu w balonie i zupełne jego zniszczenie. Załoga znajduje śmierć, spadłszy na ziemię.

Noc, jak powiada poeta, jest wrogiem człowieka, podczas wojny każda armia obawia się ciemności nocnych. Pod osłoną nocy nieprzyjaciel zazwyczaj przygotowywa ataki niespodziewane i wtedy górą jest ta strona, która zna lepiej ten teren. Podczas wojny w Afryce południowej, Anglicy w taki sposób ponosili straty najcięższe.

Wobec tego zarząd armii austryackiej zwrócił uwagę na pociski świetlne, zaopatrzone w materyę świecącą i przyrząd spadochronny, skutkiem czego dosyć długo unoszą się w powietrzu i rzucają światło na znaczną odległość.

W najnowszych czasach wynaleziono pociski świetlne dla karabinów. Wypełnia je masa, złożona głównie z magnezyi, która, paląc się, daje światło silne. W ten sposób także małe oddziały mogą w nocy oświetlać teren. Na ostatek wspomnieć należy o nowych granatach, przeznaczonych dla dział, strzelających w górę. Granaty te napełnione są również nową materyą wybuchową. Dotychczas używane granaty rozpryskują się w kierunku strzału, to znaczy na przód. Skutkiem tego pociski podobne nie mogą wyrządzić wielkich strat oddziałowi, ukrytemu za szańcem dostatecznie wysokim.

Nowy granat zapobiega temu, gdyż odrzuca odłamki w kierunku odwrotnym, to jest w tył. W ten sposób oddział, ukryty za wysokim szańcem, wcale już nie będzie

ochroniony przed działaniem podobnych granatów. Ochronę przed niemi będą mogły dać tylko dachy betonowe.

Jak widać z powyższego, ludzkość wysila się bez przerwy nad sporządzaniem nowych środków śmierci i zniszczenia. Trzeba jednak przyznać, że jednocześnie wzrasta też liczba pomysłów, dążących do ochrony życia ludzkiego, tak, że wojny nowoczesne, jak to wykazała wojna rosyjsko-japońska, nie są krwawsze od wojen dawniejszych.

TRYPOLIS.

Przed dwoma przeszło tysiącami lat, rzucał w senacie rzymskim Marcus Porcius Cato raz po raz swoje groźne słowa: »zresztą sądzę, że Kartaginę zburzyć należy«. Czynił to zaś w obronie swej ojczyzny rzymskiej, której Kartagina swym pomyślnym rozwojem bardzo zagrażała.

I zburzyli Rzymianie Kartaginę, a dziś ich potomkowie płyną znowu w owe strony na olbrzymich i pancernych okrętach, uzbrojonych w dalekonośne działa, by zająć ten kraj afrykański napowrót, względnie, by go przemocą odebrać Turcyi.

Nie zastaną tam dzielnych Kartagińczyków, a garść zbiedzonych Arabów i Turków nie zagraża bezpieczeństwu ani dobrobytowi królestwa włoskiego. Włosi zdobywają Trypolis, bo im się tak podoba, zdobywają, bo Anglia zabrała Turkom Egipt, Francya Tunis, Austrya Bośnię i Hercogowinę, bo biorą inni, więc i Włosi chcą mieć Trypolis.

Znawcy atoli twierdzą, że ofiary będą większe, jak się Włochy spodziewają, a zysk bez porównania mniejszy. Dawna Kartagina była zbiornikiem bogactwa, dzisiejszy zaś Trypolis jest zbiornikiem nędzy.

Kto dziś nogą stąpi na to wybrzeże, trudno tylko wyobrazić sobie może, że istniały tu ongi kwitnące rzymskie i greckie kolonie, że kraj ten wydał sławnych filozofów i uczonych, że stąd bogate karawany rozwoziły skarby daleko od Sudanu, a później Kościół katolicki po-

siadał dobrze urządzone dyecezye i bogato uposażone kościoły.

Nieliczni podróżni, którzy po długim pobycie w mieście Trypolis, wyuczywszy się dokładnie krajowego narzecza i zyskawszy przyjaciół pomiędzy Arabami, dotarli do wnętrza, dają obraz kraju tak nędzny, że pożądliwość włoska dozna z pewnością ciężkiego zawodu

Ludność kraju podają źródła tureckie na 1 milion, z czego 302 tysiące w sandżaku Benghazi, reszta we właściwym Trypolisie.

Właściwych miast jest w kraju tylko cztery: Trypolis, Hams, Rhat i Rhadames. Główne miasto Trypolis liczy około 40 tysięcy mieszkańców, tu też najliczniej osiedli Europejczycy i miejscowi żydzi. Mieszanina ras, barw i strojów nawet na Wschodzie niezwykła. Najliczniej spotyka się ludność z wybrzeża, w długich białych płaszczach, przerzuconych przez ramiona i ułożonych we fałdy nakształt rzymskiej togi. Na resztę odzienia składa się długa, płócienna koszula, spadająca na pantalony, i barwna, bez rękawów kamizelka.

Bardziej barwną i malowniczą jest odzież ludności z Rhadamas. W największy upał mężczyźni noszą dwa, nawet trzy różnobarwne burnusy, tak ułożone, że widać wszystkie barwy, czerwone pantalony i wyszywane haftem obuwie.

Groźno wyglądają z okolic Sahary przybywający karawanowi Arabi z rodzajem czarnej, sukiennej maski, zakrywającej nos i usta, ustrojeni w zwierzęce skóry. Oparci o wysokie lance, tworzą na wybrzeżu malownicze grupy.

Bezdomny murzyn tak zwany »hammal« wynajmujący się jako tragarz ubiera się w rodzaj worka z otworami na głowę i ręce; murzyni osiadli ubierają się bardziej po europejsku i noszą na głowie fezy. Pomiędzy temi grupami snują się miejscowi żydzi w długich kaftanach i Maltańczycy w wielobarwnych, sukiennych koszulach. Wszyscy oni czują się tu w domu, nikt nie uważa drugiego za przybysza, wszyscy porozumiewają się pomiędzy sobą doskonale i mają prawie te same zwyczaje. Obcym zupełnie w tej masie jest Turek. Turecki urzędnik czy żołnierz czuje

się tu w cudzym kraju, trzyma się na uboczu i niema z resztą ludności żadnych stosunków.

Miasto Trypolis przedstawia się już z daleka jako długi rząd białych, połyskujących dachów, wśród których sterczy siedm strzelistych minaretów i parę kopuł miejscowych łaźni. Cała architektura jest tu zupełnie turecka, pozbawiona artystycznego rozmachu arabskich miast.

Wzdłuż wybrzeża ciągną się wspaniałe palmowe gaje, podszyte gęsto wiecznie zielonymi krzewami, wśród których widnieją małe jasne domki i kopuły świętych grobów. Za wachlarzami palm, jak błyszcząca kresa na horyzoncie, przebija żółta pustynia, martwa i groźna, jak wcielenie śmierci.

Samo miasto, jakby skamieniało, podróżnicy z przed stu laty zostawili opisy, które w niczem nie różnią się od opisów z dnia wczorajszego. Ciasne uliczki, z których najwspanialsza ma pięć metrów szerokości, przeważnie jednopiętrowe domy, bez żadnych ozdób, drewniane bazary, kioski z kawiarniami albo sklepowe hale, gdzie goście siedzą na brudnych rogożach, palą nardzile i popijają kawę — oto cały obraz miasta.

O dawnej rzymskiej kulturze świadczą jeszcze tylko tu i ówdzie wmurowane w domy starożytne kolumny. Pałac miejski, a raczej twierdza, wygląda dość imponująco, ale bardzo ponuro. Jest to olbrzymia, daleko w morze sięgająca budowla, otoczona grubym obronnym murem z licznymi tarasami na dachach, krętymi schodami, balkonami i krużgankami Tu mieszka i rezyduje wali i tu znajdują się wszystkie urzędowe biura.

Właściwych Europejczyków jest w mieście niewiele, bo to, co zowie się kolonią europejską, po większej części niema z cywilizacyą europejską nic wspólnego. Są to włoskie rodziny z Genuy, Livorno lub Wenecyi, od lat może stu tu osiadle, zupełnie zarabizowane, lub młodzi tutejsi żydzi, którzy po jednorocznej praktyce handlowej w Londynie lub Marsylii, ubierają się w strój europejski. Właściwych Europejczyków niema ani pół tysiąca, na co składają się urzędnicy żeglugi lub konsulatów i poczty, garstka zakonników i kilkadziesiąt nauczycielek i nauczycieli, przeważnie włoskich. Rząd włoski bowiem, który nie od dziś

zabór Trypolisu przygotowuje, utrzymuje tam szereg szkół, do których uczęszcza do tysiąca dzieci, w czem 80 procent żydowskich.

Oryginalnem jest, że żydzi i Arabowie przyjęli nawzajem swoje zwyczaje, tak, że ich prawie odróżnić nie można. Tak n. p. żydówki po śmierci członka rodziny zawodzą w zupełnie ten sam sposób po arabsku, jak Arabki, kiedy Arabowie w takim wypadku odbywają żydowskim obyczajem pokutę. U jednych i drugich kobiety są dla gościa niewidzialnemi, a nawet w codziennem życiu męscy członkowie rodziny osobno zasiadają do jadalnego stołu.

Cały ten mieszany i hałaśliwy tłum żyje z handlu, ale z handlu najnędzniejszego, a żyje tylko dzięki praktykom, które w Europie śmiało nazwanoby oszustwem. Drobna zarobkowość jest prawie wyłącznie w ręku Maltańczyków; żony i córki tych kramarzy i rzemieślników zajmują miejsce kucharek, praczek i t. p. Jedynie krawiectwo znajduje się w rękach żydów.

Żydzi trypolitańscy od dawna tu osiedli; poza miastami, szczególnie w górach, przyjęli zupełnie zwyczaj arabskie i żyją jak biedni Arabowie w chatach podziemnych, wykutych w wapieniu. W mieście odznaczają się pewnym wyższym stopniem cywilizacyi i łagodnością, natomiast tak są niechlujni, że podróżnik Maltzan złośliwie nazywa ich »polskimi żydami Afryki«. Inny podróżnik (Grothe) nie może nadziwić się ich tchórzliwości. Widziałem — opowiada — jak wygłodzony żołnierz turecki ukradł ze synagogi lampę. Dobra setka żydów otoczyła go, prosząc błagalnie o zwrot świętej rzeczy, a wreszcie targ w targ odkupili za medzidje (4 koron) od złodzieja rzecz, którą śmiało mogli mu siłą odebrać. Pobożni są tutejsi żydzi tak, że jeśli zaproszą innowiercę na obiad, to całe naczynie, z którego jadł, rzucają potem na śmietnik.

Murzyni miejscowi zarabiają na życie, jako tragarze, poganiacze i t. d. Zresztą cała ludność wogóle tak ma skromne wymagania, że dorosły mężczyzna ma się za wielkiego pana, jeśli przez dzień zjadł melon i za 5 centymów ryżu. Nieżonaci mężczyźni sypiają z reguły pod arkadami meczetów albo pod lada murem. Murzyni — ale

tylko żonaci — budują sobie szałasy z gałęzi palmowych i trzciny.

Rolnictwo opiera się tu na dożywotniej dzierżawie, przyczem rolnik za swoją ciężką pracę dostaje tylko jednę piątą część plonu, cztery piąte zaś właściciel gruntu; tylko przy plantacyach oliwy rolnik i właściciel dzielą się plonem po równej części. Plagą rolnictwa jest lichwa; nawet na zastaw płaci się za pieniądz około 60 procent.

Sądownicwo tureckie — już w Turcyi dość znane — w Trypolitanii urzęduje zupełnie salomonowym kształtem. Jeden z podróżników był świadkiem następującej rzeczy: do sali, w której urzęduje Kaimakan, z wielkim krzykiem wpada młoda dziewczyna i wśród namiętnej gestykulacyi oskarża młodego Araba, że spotkawszy ją w polu przemocą zniewolił do miłości. Dwaj »sapti« (policyanci) sprowadzają zbrodniarza. Kaimakan wsparł głowę na dłoniach i duma. Po dłuższym czasie ogłasza wyrok: albo do trzech dni udasz się do domu jej rodziców z podarunkami ślubnymi i prowadzisz ją jako żonę do haremliku, albo pójdziesz do »habs« (więzienia) i dostawać będziesz dziennie po 25 kijów, dopokąd się nie namyślisz. Skazany na żonę lub kije wybrał żonę, a swoją drogą kije zachował zapewne dla niej.

Warunki zdrowotne w Trypolisie są pomyślniejsze, niż w krajach sąsiednich, malarya występuje tam stosunkowo dość rzadko, cholera, dżuma nie srożą się nigdy w tym stopniu, co w sąsiednim Egipcie.

Klimat charakteryzuje wybitny podział roku na dwie pory: zimową deszczową i letnią suszę Temperatura w lecie dochodzi znacznej wysokości, jest jednak znośną. W ogóle klimat Trypolisu podobny jest do klimatu nadbrzeżnych prowincyj Sycylii i w razie kolonizacyi, zwłaszcza dla południowych Włochów, nie nastręczałby żadnych trudności

W starożytności, szczególnie za rzymskiego panowania w pierwszych wiekach po Chrystusie, Trypolitania uchodziła za jędnę z najbogatszych prowincyi Rzymu i dostarczała dużo zboża i oliwek. Gdy jednak Arabowie zdobyli ten kraj, ustał zupełnie rozwój kraju. Nie podniósł się on też wiele pod panowaniem tureckiem, i obecnie tylko

nieznaczna część ziemi trypolitańskiej podlega uprawie, podczas, gdy za czasów rzymskich kolonie sięgały w głąb pustyni, jak o tem świadczą pozostałe ślady.

Wszyscy znający atoli stosunki ekonomiczne Trypolisu przepowiadają mu możliwość rozwoju w przyszłości. Przyszła kolonizacya Trypolisu, dla której Włosi prowadzą dziś wojnę z Turcyą, natrafi jednak na niemałe trudności. Przedewszystkiem dotkliwym jest brak wody. Cała przestrzeń kraju od tunetańskiej granicy do prowincyi Barka posiada tylko jednę małą rzekę, w której woda w letnich miesiącach wysycha. Okres deszczowy obejmuje miesiące od października do marca, w drugiej jednak połowie padają deszcze rzadko. Można też być pewnym, że ludność mahometańska zachowywać się będzie w obec najezdzców włoskich wrogo i odpornie.

W każdym jednak razie Trypolis, mimo wszystkich trudności, przedstawia dla kolonizacyi europejskiej teren podatny i wartościowy. Czy jednak Włochy znajdą dość wojskowej siły by kraj ten zdobyć, czy następnie będą mogli rozporządzać wystarczającymi środkami finansowymi, by go dla kolonizacyi uczynić podatnym, rzeczą jest dziś jeszcze wątpliwą.

Łowiectwo w dawnej Polsce.

Odmienne ono było oczywiście od dzisiejszego, jak odmiennymi są ludzie, zwyczaje, stosunki i urządzenia społeczne. Teraźniejsze polowanie to śmieszna zabawka wobec dawnych łowów, których uczestnicy obok zręczności, przebiegłości i siły musieli okazywać odwagę w potykaniu się z rozjuszonym dzikiem, wilkiem, czy niedźwiedziem.

O niebezpieczeństwie łowów na dziki i niedźwiedzie świadczy stare przysłowie myśliwskie:

»Gdy idziesz na niedźwiedzia szykuj łoże, a gdy na dzika — mary«.

Lecz nie opisywanie przygód łowieckich jest przedmiotem naszej gawędy. Pragniemy w krótkim, szkicowym zarysie uprzytomnić dawne polskie prawa łowieckie i za-

razem określić urząd łowczych z czasem tylko tytularnych dworskich urzędników, przedtem jednak czynnie i z niemałą odpowiedzialnością spełniających swe faktyczne obowiązki.

Ongi polowanie, zwłaszcza na grubego zwierza, należało do praw książęcych i królewskich, jako *jus regale*. Prawo polskie jeszcze w dobie piastowskiej nakładało surowe kary na polujących na cudzem terytoryum. Tak zwane dziś kłusownictwo narażało winowajców na więzienie i chłostę. Wydawano też przepisy ochronne, zabraniające polowań w pewnych, określonych terminach. Król Władysław Jagiełło w 1420 roku postanawia, żeby nie ważono się polować od św. Wojciecha (23 kwietnia) aż do zupełnego sprzętu zbóż.

Uchwały sejmowe zabraniały wybierać młode lisy, również przejmować ściganego przez innych myśliwych zwierza, lub chwytać psy gończe. W roku 1775 sejm uchwalił, że wolno jest polować jedynie w czasie od września (w tydzień po św. Bartłomieju) do dnia 1-go marca.

Statut litewski nie dozwalał łowów na cudzym gruncie i określał surowe kary na tych, którzyby za ranionym zwierzem wchodzili na obce terytoryum. Wyjątek czyniono jedynie co do lisów i wilków, których tępienie było nakazanem, a nawet nagradzanem. Pod koniec XVIII. wieku żył w powiecie oszmiańskim szlachcic zagonowy, Tomasz Łuba, który za specyalność obrał sobie tępienie wilków i lisów. Liczba pierwszych dosięgła tysiąca, za co otrzymał znaczną nagrodę, pozwalającą mu zakupić spory szmat ziemi.

Musiało być w wieku XVI. wiele niewiast polskich zamiłowanych w myśliwstwie, skoro tak o nich pisze Łukasz Górnicki: »Niewiast, bawiących się niekiedy łowiectwem nie wspominam, bo tych w Polsce pełno. Tradycya przechowała nazwisko panny Karoliny Zborowskiej, zapewne krewnej słynnego Samuela, która miała pasyę polować z oszczepem na dziki. Wiele dzików owa *hic mulier*, a raczej *virago*, położyła trupem, lecz w końcu padła ofiarą niebezpiecznej rozrywki i to w przeddzień ślubu ze starostą Kmitą. Zaciekły odyniec pozbawił życia 18 letnią narzeczoną, zanim ktobądź zdołał nadbiedz z pomocą.«

W jednej z kronik z 1287 roku są wymienione różne sposoby łowieckie, a między temi: stępice i jamy. Pierwsze były to zatrzaski drewniane, używane jeszcze przed kilkunastu laty na wilki, drugie stanowiły doły jako samołówki, nazywane także wilczodołami lub wilkowniami.

Za czasów piastowskich, gdy kraj nasz był lesisty, a bory i knieje przepełnione wszelkim zwierzem, stanowiły rodzaj spiżarni dla książąt i narodu, łowiectwo stanowiło korzystny przemysł, a urząd łowczego bardzo ważny przedstawiał obowiązek. Kroniki mówią o łowczych Bolesława Chrobrego w dokumentach zaś z lat 1208, 1228 i 1248 wspomniany jest już wszędzie łowczy pod łacińską nazwą: *venator*. W dokumencie kujawskim z 1250 roku czytano wyraźnie, że łowczych urządzających polowanie książęce zwano psiarzami, mieli bowiem pieczę nad sworami ogarów.

Do składu urzędników Rzeczypospolitej należeli: łowczy koronny, łowczy litewski, łowczy nadworny i łowczowie po ziemiach, którzy nosili tytuły bez żadnych obowiązków, jedynie dla zwyczaju i uświetnienia majestatu króla jegomości.

Skrzetuski w »Prawie polskiem« powiada: »Łowczowie nazywani od dozoru nad polowaniami królewskiemi«. Podług Lelewela byli i podłowczanie, ale urząd ten nie uzyskał stałego bytu.

Panowie polscy, których podstawą kuchni żywiącej luźne rzesze sług, dworzan i gości bywała zawsze zwierzyna, mieli luźną służbę łowiecką Oto nazwy tych specyalistów od różnego rodzaju polowań: łowczowie, podłowczowie, nadłownicy, strzelcy, polownicy, dojeżdżacze, ptasznicy, sokolnicy, bażantniki, zwierniki (dozorcy zwierzyńców), stanownicy, kotłowi, objezdnicy, osacznicy, sielnicy, szczuwacze i psiarczyki.

Radziwiłł »Panie kochanku« miał tego rodzaju stały orszak myśliwski, złożony z 300 ludzi, pobierających stałą pensyę. Łowczymi, podłowczymi i nadłowczymi była u niego sama szlachta, a niejeden za urządzenie udatnego polowania pod humor księcia otrzymywał w nagrodę wioskę pod dożywocie.

Sokolnikiem księcia »Panie kochanku« był również szlachcic, a nazywał się Raczyński. Posiadał on rzadko już wówczas spotykaną sztukę tresowania sokołów do łowów. Do Raczyńskiego po sokoły przysyłano z dworów monarszych. Fryderyk, król pruski, wielki amator polowania z sokołami zapłacił za dwa tresowane sokoły 200 talarów. Radziwiłł, uznawszy, że to za skąpe, jak na króla, wynagrodzenie trudu Raczyńskiego, z połowy drogi zawrócił posłańców i sokoły odebrał.

— Macie tu, panie kochanku swoich 200 talarów, a powiedzcie królowi waszemu, że Radziwiłł dopłacił Raczyńskiemu jeszcze drugich 200, a jak mu się podoba, to zrobi prezent królowi jegomości.

Już to wogóle łowiectwo w dawnej Polsce było fachem, wymagającym wielu praktycznych wiadomości, a dobrych łowczych ogólnie poszukiwano. Ludzie ubodzy znajdowali na tej drodze u możnych niezły kawałek chleba. Zasłużony strzelec wychodził zwykle z biegiem lat na łowczego.

Zawsze jednak trzeba odróżnić łowczych oficyalistów od łowczych urzędników. Ci ostatni mieli takie same znaczenie, jak leśnicy, podczaszowie, stolnicy, podstolowie i t. p. Żona łowczego nazywała się »pani łowczyna«, córki »łowczankami», a syn »łowczycem«.

Wędrówka narodów.

W przeciągu ostatnich 39 lat wyemigrowało z Europy do Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki około 19 milionów 657 tysięcy ludzi, to jest tyle, ile wynosi całkowita ludność Hiszpanii.

Ilość emigrujących w ostatniem dziewięcioleciu (1902 do 1909) wynosiła 8 milionów, podczas gdy w jednem z poprzednich dziesięcioleci (1871 do 1886) wynosiła niecałe 3 miliony.

Z ogólnej liczby 20 milionów, przeszło 15 przypada na Anglię, Niemcy, Austryę, Włochy i Rosyę; z nich najwięcej na Wielką Brytanię (4 miliony), najmniej na Rosyę

(2 i pół miliona). Jeżeli jednak będziemy te liczby szczegółowo rozpatrywać, to zauważymy, że w owem 40-leciu potężnie wzmogła się emigracya z Rosyi, Austro-Węgier i Włoch, natomiast z Anglii, a zwłaszcza z Niemiec — znacznie spadła.

Nowoczesna wędrówka narodów przedstawia się w takiej postaci: ludność Stanów Zjednoczonych wzrasta wskutek napływu emigrantów Słowian z Austro-Węgier i z Rosyi, Włochów oraz Celtów z Irlandyi; Anglia i Szkocya wysyłają nadmiar ludności do własnych kolonii.

Natomiast znacznie zmniejszyła się emigracya z Niemiec do Ameryki, — za to zaczęła napływać ludność niemiecka do ziem słowiańskich. Emigracya ta jest zupełnie celowa, dobrze zorganizowana i ma na celu powolne kolonizowanie i niemczenie ziem przeważnie słowiańskich.

Są jednak społeczeństwa słowiańskie, które temu najściu Niemców stawiają czoło z powodzeniem, są to te narody mianowicie, które będąc w odwiecznej z Niemcami styczności, nauczyły się od nich samodzielności i energii w walce o byt

Tak n. p., Czesi ani Słoweńcy zupełnie nie są narażeni na napływ kolonistów niemieckich. Chorwacya i Bośnia mają pewien procent Niemców dzięki polityce Austryi. Najłatwiejszy zaś teren kolonizacyi dla Niemców stanowi Rosya. Znamiennem jest, że narody słowiańskie pozbawione swej samodzielności, stanowią opór kolonizacyi niemieckiej, samodzielne zaś państwo, jak Rosyę kolonizują Niemcy coraz więcej.

Plany międzynarodowego socyalizmu.

Komisya generalna socyalistycznych związków zawodowych w Niemczech zaprosiła niedawno temu do Berlina francuskie związki zawodowe. Takie zaproszenia i wizyty zdarzają się w ostatnich czasach dość często. W Berlinie była niedawno deputacya robotników angielskich, potem zastępcy związków belgijskich; był nawet jako za-

stępca związków amerykańskich towarzysz Gomnerts. Tym razem przybyli francuscy związkowcy.

W dniu 24 lipca zgotowano im w wielkiej sali domu rękodzielniczego wielkie przyjęcie, które miało mieć charakter — manifestacyi pokojowej. Oczywiście spodziewają się, że przez te odwiedziny nastaną przyjaźniejsze stosunki pomiędzy robotnikami obydwu krajów i że zaprowadzona zostanie jakaś jednolitość w działalności.

Przewodniczący komisyi generalnej socyalistycznych związków, poseł do parlamentu Legien, wykazał w wielkiej mowie różnicę, jaka zachodzi pomiędzy zapatrywaniem niemieckich i francuskich socyalistów; francuscy socyaliści przejęci są więcj duchem rewolucyjnym, niemieccy zaś towarzysze nie wierzą w to, aby przez zaburzenia lub okolicznościowe domonstracye dało się coś osiągnąć, lecz, że trzeba się przygotować przez rozszerzenie i wzmocnienie organizacyi na przyszłą rewolucyę. Zgodni są jednak socyaliści obydwu krajów w dążeniu do usunięcia wyzysku kapitalistycznego. Wroga nie trzeba szukać poza granicami kraju! wróg nasz jest we własnym kraju, a tym wrogiem to kapitalizm i jego zastępcy, to są rządy i zastępcy państwa.

Jak po takich mowach zachowa się gorącokrwisty Francuz, to można łatwo sobie wystawić. Yvetot, syndyk francuskich związków zawodowych, chwalił urządzenia związków niemieckich, ich siłę i pełne kasy. Tego brakuje związkom francuskim, za to posiadają one więcej zapału i poświęcenia dla swej sprawy. Środki są rozmaite, ale cel jest ten sam. Wróg jest i we Francyi ten sam co i w Niemczech. Yvetot podziwiał szczególnie wysiłki socyalistów w celu pozyskania i wychowania młodzieży i miał tak powiedzieć wedle sprawozdania specyalnego *Berliner Tagebl.*

»I my będziemy musieli w przyszłości więcej na to wydawać. Młodzież musi wzrastać w poczuciu solidarności ludów, bo szaleństwem jest to, że jeden naród chce drugiemu odbierać kraje. Gdyby rządy usiłowały podburzać ludy przeciwko sobie i pędzić jeden naród do walki z drugim, to pokażemy im, że ludy mają inne piękniejsze zadania do spełnienia. Spróbujcie tylko, wy głupcy, podburzyć jeden naród na drugi, uzbroić jeden naród przeciw drugiemu,

a zobaczycie, że ludy zrobią zupełnie inny użytek z broni, którą im daliście do rąk. Zobaczycie, że narody nie będą zwalczały wroga, jak wy myślicie. My wszyscy powrócimy do domu przejęci uczuciem solidarności ludów, dla których istnieje tylko jedna walka, walka z ciemiężycielami, z wyzyskiem i systemem zarobkowym. (Burzliwe długotwałe oklaski)«.

Trzeba przyznać socyalistom, że mają odwagę wypowiadania coraz otwarciej swych dążeń. Podobnie postępować winni także katolicy i również śmiało stawać w obronie społeczeństwa i chrześcijaństwa.

Nasze szkolnictwo.

Według ostatniego sprawozdania Rady szkolnej krajowej z roku 1908/9 mamy w kraju szkół ludowych 5.164 z 13 tysiącami klas i okrągłym milionem uczniów i uczennic uczęszczających na naukę codzienną, obowiązkową, i około 200 tysięcy uczniów i uczennic uczęszczających na naukę dopełniającą.

Zastęp nauczycieli i nauczycielek pracujących w tych szkołach wynosił 13 tysięcy 419 osób. Co roku zwiększa się ilość szkół ludowych mniej więcej o 150 nowych zakładów; zwiększa się też ilość uczniów i uczennic w tych szkołach o 30 tysięcy, a na kursach uzupełniających o 10 tysięcy. Wydatki kraju na szkoły wzrastają z roku na rok przeszło o pół miliona koron.

Gimnazyów i szkół realnych mamy 65, a uczęszcza do nich około 40 tysięcy uczniów i uczennic.

W tych szkołach pracuje około 1.800 nauczycieli.

Ze wszystkich krajów koronnych Austryi, wykazuje Galicya największą ilość gimnazyalistów; podczas gdy na przykład na Śląsku na 10 tysięcy ludności przypada 23, w Czechach i na Morawach 27 uczniów gimnazyalnych, to w Galicyi jest ich 40. Natomiast gdy w Czechach i na Morawie przypada na 10 tysięcy ludności 27 realistów, to w Galicyi tylko 5. Znamiennem jest i to, że gdy w innych krajach zmniejsza się liczba uczniów uczęszczających do gimna-

zyów, a zwiększa się liczba uczniów szkół realnych, to u nas dzieje się przeciwnie.

Zauważyć dalej trzeba, że w Czechach i na Morawach coraz więcej młodzieży uczęszcza do szkół zawodowych, których nasz kraj nie ma w dostatecznej i odpowiedniej ilości.

Mało mamy szkół rolniczych i przemysłowych i fachowych, zwłaszcza tych ostatnich, to też powstające cegielnie, fabryki dachówek i drenów muszą dla braku wykształconych w kraju werkmistrzów sprowadzać tychże z Niemiec lub Czech, bo nasz rząd krajowy poczytuje utworzenie w kraju zakładu dla kształcenia werkmistrzów za sprawę mniej pilną.

W szkolnictwie handlowem, tym najmłodszym dziale szkolnictwa fachowego w naszym kraju, widać ruch nieco większy, a że ludność odczuwa potrzebę i pożytek skierowania młodzieży na ten dział zawodowego wykształcenia, to świadczy o tem coraz większa liczba uczniów szkół handlowych!

Rozmaitości.

Liczebność masoneryi.

Istniejące w Neuchatel „Biuro międzynarodowe stosunków masońskich“ wydało w tym roku rocznik międzynarodowej masoneryi, z którego dowiadujemy się następujących danych statystycznych.

Na całym świecie jest 26.855 lóż masońskich, liczących 1 milion 744 tysięcy 878 członków. Pism masońskich wychodzi 113; z tych przypada na Niemcy 21. Lóż tak zwanych wielkich istnieje 107: 3 w Anglii, 13 w Niemczech, 10 w krajach romańskich, 59 w Ameryce północnej, 6 w Ameryce środkowej, 9 w Ameryce południowej, 7 w Australii. Najwięcej lóż ma Ameryka, najmniej znajduje się w księstwie Luksemburg.

W Anglii, Irlandyi i Szkocyi jest lóż		3972,	członków	220.000
w Niemczech	„ „	4890,	„	54.000

we Francyi jest lóż	543,	członków	36.000
w Belgii „ „	21,	„	700
we Włoszech „ „	327,	„	15.000
w Hiszpanii „ „	79,	„	3.169
w Portugalii „ „	148,	„	2.887

Kiedy jest choroba (przedewszystkiem zapalenie płuc) najniebezpieczniejsza.

Jeden z lekarzy z nad Renu wyraża się o swej praktyce w następujący sposób: „Ludzie młodzi, na zewnątrz dobrze wyglądający, ieraz umierali z powodu zapalenia płuc. Na ogół ludzie z sercem zdrowem chorobę tę przezwyciężają. Jednakże ludzie nad Renem, którzy do ciągłego picia piwa są przyzwyczajeni, swoim czerstwym i dobrym wyglądem nieraz bardzo omylić się mogą. Tem ciągłem używaniem alkoholu serce i krwionośne naczynia uszkodzone, nie zdołają się oprzeć chorobie i jej przetrwać nie mogą. Bo — jak wiadomo — serce wtenczas i owe naczynia intenzywniej pracować muszą".

Klinika uniwersytecka w Kolonii statystycznie wykazała, że liczba zmarłych na zapalenie płuc u pijaków w 41 do 50 roku życia jeszcze raz jest taka duża, jak u niepijących; od 51 do 60 roku życia — trzy razy; od 31 do 40: 4 razy, a od 20 do 30 roku życia nawet 10 razy.

Czy wobec tych liczb jeszcze kto powie, że alkohol nie działa szkodliwie na serce i naczynia krwionośne?

Ile lat człowiek prześpi?

Jeśliby komuś powiedzieć, że przespał lat 20, toby ruszył ramionami, jak przed waryatem. A jednak... Pewien Anglik obliczył (bo czego oni nie obliczają), że człowiek, licząc około 60 lat życia, przesypia lat 20. Liczy on dzień w ten sposób: 8 godzin snu, 7 godzin roboty, 1½ godziny na obiedzie, trzy godziny rozrywki, 2½ ruchu, 1 godzinę na toaletę i 1 na próżnowanie.

Dalej 3 całe lata przeznacza człowiek normalny na jedzenie, 9 miesięcy na czekanie na usługę; do roboty właściwej pozostaje 17½ roku, 7½ roku na zabawę, 6½

na przechadzki. Dwa lata i 6 miesięcy przepróżnował w swoim życiu, z czego 2 miesiące na czyszczenie nosa. Robienie toalety kosztowało owego Anglika 2 lata i 6 miesięcy.

Dla modnisi byłoby to zupełnie niewystarczającem. Znany statystyk obliczył, że mężczyzna w ciągu roku oddaje przeciętnie do 1.206 uścisków dłoni, jeśli się przy tej czynności zużytą energię obliczy, to otrzyma się ją w latach 60 tyle, ile potrzeba do podniesiena 2.500 ton ciężaru.

Ponieważ dalej człowiek w jednym roku wypowiada 11,800.000 słów, w tym samym czasie otwiera i zamyka oczy swe 95,000.000 razy, przeto siła wytworzona przez to przez lat 60 podniosłaby do wysokości 10 stóp wóz tramwajowy zapełniony publicznością.

Co to jest miliard.

Większość ludzi nie ma wyobrażenia o tem, co to miliard. Pewien niemiecki uczony takie daje o miliardzie wyjaśnienie: Miliard marek niemieckich w złocie waży 333.580 kilogramów, a możnaby nim zapełnić kostkę, której każda z sześciu płaszczyzn mierzy 17 metrów kwadratowych. Gdyby tej masy wyciągnięto drut, możnaby nim opasać całą ziemię. Miliard w srebrze już waży pięć milionów kilogramów, kostka musiałaby w tym wypadku posiadać płaszczyzny o wielkości 477 metrów kwadratowych.

Aby przetransportować miliard w złocie, potrzeba 64 wagony, które musiałyby zająć tor kolejowy na przestrzeni 400 metrów. Miliard w srebrze wymaga już 1000 wagonów po 5 tonn, zajęłyby one 6 kilometrów toru.

Gdyby miliard w złocie znajdował się w jednej bryle, to do podniesienia jej potrzebaby było 6.000 ludzi, a 32 tysiące osób musiałoby miliard w złocie dźwigać, gdyby każda z nich zabrała tylko 10 kilogramów. Do miliarda w srebrze potrzebaby już 500 tysięcy ludzi. Gdy się miliard złotemi monetami ułoży, jedną obok drugiej otrzyma się długość 1050 kilometrów, a gdy się monety ułoży

jedna na drugiej, otrzymamy kolumnę wysokości 33 tysiący metrów.

Chirurgia w starym Babilonie.

Jedno z pism francuskich (Actualité) podało tymi czasy ciekawe szczegóły o stanie chirurgii w Babilonie przed 3ma i 4ma tysiącami lat. Z tych czasów pochodzą mianowicie napisy tak zwane klinowe, odkryte niedawno przez francuskich uczonych. Są to, jak się zdaje, ustawy państwowe. Wynika z tych napisów, że wynagrodzenia chirurgów były w Babilonie stałe i ściśle określone.

Tak więc za operacyę „przy pomocy noża“ płacono 12 szekeli (moneta znana z biblii), czyli 15 koron. Na ówczesne stosunki suma to bynajmniej nie wygórowana. Nie lepiej się opłacały inne praktyki chirurgiczne. Za zestawienie złamanej nogi otrzymał chirurg babiloński tylko 8 i pół korony, ale za wyrwanie zęba dostawał aż 5 koron (4 szekele).

Gorzej rzecz się miała ze stanowiskiem społecznem i prawnem chirurga w ogóle. Na końcu tej taksy chirurgicznej dodano zastrzeżenie królewskie, na mocy której chirurg może żądać zapłaty tylko za udaną operacyę. W razie przeciwnym podlegał chirurg surowej karze. Jeśli pacyent umarł wskutek nieudanej operacyi, karano chirurga ucięciem obydwu rąk, by już nie mógł więcej szkodzić ludziom... Dodać należy, że wspomniane napisy zawierają jeszcze mnóstwo innych interesujących szczegółów i przyczynków do historyi medycyny przed kilkudziesięciu wiekami.

Przestrzeganie tajemnic w fabrykach Kruppa.

Pierwszym i najgłówniejszym warunkiem, na jaki zgodzić się musi każdy nowy pracownik w fabryce armat i innych wyrobów żelaznych Kruppa w Essen (w Niemczech), jest zobowiązanie się do zachowania tajemnicy we wszystkiem, co w zakładach widzi lub słyszy. Mimo tego zobowiązania się wszystkich do ścisłego zachowania tajemnicy,

stara się dyrekcya jak najściślej o to, aby każdy dowiedział się tylko tyle, ile potrzebuje koniecznie do spełnienia swej pracy.

W biurach podaje się korespondencyę z rąk do rąk tylko w zamkniętych skrzynkach, a pod wieko szkłem pokryte wsuwają tylko nazwisko tego, który jest uprawniony do otwarcia skrzynki. Tylko gdy skrzynkę otworzyć można specyalnym kluczykiem, nie piszą adresu. Jest więc niemożliwem, aby ważne papiery dostały się w niewłaściwe ręce.

W sali rysunkowej przechowują każdy papierek przez noc w szafach stalowych ogniotrwałych i opancerzonych, że złodziej się do nich dostać nie może. Urzędnicy muszą zmieniać ubranie zanim rozpoczną pracę dzienną i gdy opuszczają pracę. Posiłek spożywają wszyscy w osobnych salach jadalnych.

Na takich stanowiskach, gdzie nie można zapobiedz, aby urzędnicy nie wiedzieli o tajemnicy, płaci im Krupp tak wysokie pensye, że ludzie ci nigdyby się nie dopuścili przekupstwa, szczególnie dotyczy to kierowników przy wyrobie płyt pancernych i w werkach stalowych.

Oporny milioner.

U wybrzeży hrabstwa (powiatu) Essex (w Anglii), mieszka od lat 20 na własnym statku milioner amerykański Brown. Nie wychyla on się czasem poza obręb tego pływającego mieszkania całymi tygodniami, to znów urządza wycieczki po wsiach nadbrzeżnych, jakby tylko po to, aby sypać wśród ubogich rybaków złoto pełnemi garściami.

Władze hrabstwa dawno już zwróciły uwagę na oryginała i starają się ściągnąć z niego podatek dochodowy, jak od każdego z mieszkańców Anglii. Brown wszelako opiera się temu, broniąc się twierdzeniem, że nie mieszka na ziemi angielskiej, lecz na jachcie pod flagą amerykańską.

Dotychczas wymówka ta uchodziła jakoś Brownowi, obecnie sąd hrabstwa wydał wyrok, skazujący Browna na zapłacenie podatku za całe lat 20, motywując orze-

czenie swoje tem, że każdy z bogaczów mógłby w ten sposób, jak Brown, unikać płacenia podatków przez zamieszkanie na statku.

W tem tylko rzecz, jak podatek od Browna wyegzekwować, władze bowiem angielskie nie mają prawa zająć ruchomości na jachcie pod obcą flagą. Brown zaś kazał rozpalić ognie pod kotłami i szykuje się do odjazdu. Ludność Essexu z zaciekawieniem śledzi, jak się skończy ten zatarg władz z opornym milionerem.

Drzewo deszczowe.

W południowej Ameryce, w kraju peruwiańskim, odznaczającem się niezwykłem bogactwem roślinności, rośnie gatunek drzewa, które Indyanie nazywają *Tamais kapi*, co znaczy „drzewo deszczowe". Duże to drzewo o gęstych liściach posiada własność zgęszczania pary, znajdującej się w powietrzu. Na liściach drzewa osadzają się krople wody; które następnie w postaci gęstego deszczu spadają na ziemię.

W czasie suszy, gdy rzeki wysychają, a rozpalone powietrze posiada dużo pary, wtedy jej zgęszczenie odbywa się bardzo energicznie; wtedy też duże krople nietylko spadają obficie z liści i gałęzi drzewa, lecz woda sączy się i po jego pniu, odwilżając duże przestrzenie ziemi i dokoła drzewa deszczowego.

Ponieważ drzewo deszczowe można hodować bez wielkiego trudu, a gatunek ziemi jest mu prawie obojętny, rolnicy peruwiańscy zamierzają skorzystać z własności tego drzewa i rozsadzać je na polach, aby zapobiedz w ten sposób stałym w tym kraju posuchom.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Rocznik III. Kraków 1-go grudnia 1911. (Półrocze II-gie) Nr. 6.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** kor. **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** korony — półrocznie **2** korony. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie ul. Powiśle 12.

Powiększenie pisma.

Począwszy od drugiego półrocza bież. roku powiększyliśmy *Światło* o tyle, że daliśmy mu osobną okładkę, przez co przybyło cztery stronic druku.

Od stycznia roku przyszłego 1912 powiększymy jeszcze więcej nasze pismo, bo dodamy do każdego numeru ośm stronic druku, czyli, że każdy numer *Światła* mieć będzie odtąd **czterdzieści** stronic druku.

Takie powiększenie pisma — jak łatwo się dorozumieć — zwiększy też znacznie koszta wydawnictwa, wskutek tego i prenumerata *Światła* musi być wyższą, i będzie wyższą, ale nie o wiele, bo tylko o 1 koronę na rok.

W roku przyszłym, czyli od stycznią 1912 wynosić będzie **prenumerata** *Światła*

na rok: 4 korony, na pół roku: 2 korony.

Prosimy o rychłe nadsyłanie tej nowej prenumeraty na rok przyszły — i o zjednywanie nowych prenumeratorów — jak najwięcej.

Wszystkim Szan. Czytelnikom życzymy: **„Wesołych Świąt!“**

Przygotowanie do obchodu trzechsetnej rocznicy śmierci ks. Piotra Skargi.

Dnia 27 września 1912 roku przypadnie trzechsetna rocznica śmierci największego polskiego kaznodziei, prawdziwego proroka narodowego i znakomitego pisarza ks. Piotra Skargi.

Postać tego wielkiego kapłana — patryoty przypomni się znowu naszemu narodowi swemi dziełami miłosierdzia, kazaniami i przestrogami.

Aby godnie uczcić tę rocznicę, mamy złożyć nie tylko hołd księdzu Skardze, ale postanowić także poprawę w myśl rad i nauk ks. Skargi — i tem właśnie ma się różnić obchód Skargowski od innych zwykłych jubileuszów.

Dzisiaj, gdy prorocze kazania ks. Skargi o upadku Polski tak smutno się spełniły, powinny te kazania być księgą świętą, a słuchanie i czytanie ich naszym narodowym i religijnym niemal obowiązkiem.

W tym celu Komitet krakowski, który ujmuje w swoje ręce kierownictwo obchodu w całej Galicyi, zamierza więc rozpowszechnić i spopularyzować dzieła Skargi, wbić w pamięć wszystkich Polaków ten skargowski dogmat, że odrodzenia narodowego warunkiem i fundamentem, jest moralne odrodzenie w duchu katolickim. To było życzeniem i testamentem Skargi, to niech stanie się czynem w 300 lat po jego śmierci.

Posiedzenie komitetu.

Na zaproszenie Stanisława hr. Tarnowskiego zebrało się w pierwszych dnia listopada bież. roku w Arcybractwie Miłosierdzia, kilkudziesięciu najpoważniejszych obywateli naszego miasta, by zawiązać komitet obchodu 300-letniej rocznicy Skargi. Na zebraniu pojawili się i do komitetu ogólnego przystąpili między innemi: X. Biskup Anatol Nowak, X. infułat Krzemiński, X. prałat Czesław Wądolny, XX. kanonicy Krupiński i Starowieyski, rektor Szajnocha, prof. Tarnowski, Brzeziński, Zdziechowski,

Tretiak, Krzyżanowski, Karbowiak, dyr. okręgu skarbowego Pec, wiceprezydent miasta Szarski, X. Pawelski, T. J. Konstanty Popiel, August Sokołowski, radca Porębski, dyr. K. Drozdowski, prof. Mazanowski, dyr. Bednarski, r. Szybalski, starosta Kowalikowski, pp. Sznayder, Olearski, Glatze, Lubecki i inni. Nadesłali usprawiedliwienia i przystąpili do komitetu: prezydent Leo, rektor Zoll, X. Piątkiewicz T. J., Tomkowicz, Dr. Beaupré itd.

Honorowym presesem komitetu wybrano przyszłego Biskupa krakowskiego, rzeczywistym prezesem Stanisława hr. Tarnowskiego.

X. prałat Wądolny zdał sprawę z przygotowawczych prac Arcybractwa Miłosierdzia, które jako instytucya założona przez Skargę, poczuwa się przedewszystkiem do obowiązku uczczenia jubileuszu Skargi. Urządziło więc konferencyę przedstawicieli pokrewnych instytucyi, która uchwaliła:

1) by rocznica Skargi obchodzona była przez cały naród, a sposób obchodu miał wszystkie sposoby działalności Skargi na oku;

2) by centrum obchodu było w Krakowie;

3 by obchodem zajęły się instytucye związane z osobą Skargi;

4) by zawiązał się komitet krajowy.

Dotąd wiadomo, że jubileusz Skargi uczci Akademia Umiejętności, Arcybractwo Miłosierdzia, Towarzystwo Jezusowe, Redakcya „Przeglądu Powszechnego“ i „Głosów katolickich“, Towarzystwo imienia Skargi we Lwowie.

Następnie po przemówieniach prof. Tretiaka i r. Porębskiego oznaczono jako termin obchodu w Krakowie dzień śmierci Skarg , to jest 27 września w roku 1912.

Prof. Antoni Mazanowski podniósł następnie, że Skargę winien uczcić Kraków w imieniu całego narodu, a uczcić winien Skargę nietylko jako wielkiego pisarza i kapłana, ale także jako ideał obywatela, wzór dla czasów dzisiejszych. Mowca rzuca myśl przeniesienia zwłok Skargi na Wawel, gdzie Skarga z ambony przemawiał niegdyś do przedstawicielstwa narodu. Należy nadto spopularyzować dzieła Skargi, bo one są najlepszem świadkiem przeciw zgubnym prądom dzisiejszym. Wydać trzeba

jego dzieła wybrane dla ludu i młodzieży i rozrzucić je masowo.

X. infułat Krzemiński poruszył myśl, by kazaniami z ambon zaznajomić lud z postacią Skargi.

Następnie wybrano komitet ścisły i polecono mu wypracować program szczegółowy obchodu. Zgodzono się na wniosek dra Stafieja, by dobrać włościan i na wniosek Stanisława hr. Tarnowskiego, by do komitetu zaprosić reprezentantów krakowskiego mieszczaństwa.

W końcu uchwalono tekst odezwy, zredagowany przez Stanisława hr. Tarnowskiego. Odezwę podpisze pełny komitet. Tekst odezwy brzmi:

Odezwa do narodu.

„Trzysta lat dochodzi od śmierci Skargi. Głos jego zamilkł, ale echo tego głosu w każdem naszem narodowem nieszczęściu, w każdym nowym ucisku, w każdej nowej boleści odzywa się żalem, że się wszystkie jego przepowiednie sprawdziły, że się jego przestrogi na nic nie zdały, że ten głos wielkiej miłości Boga i Ojczyzny, wielkiej mądrości, nie był na czas słyszanym i wziętym do serca.

„Skarga to w najwz iośniejszem polskiem słowie, w najwznoślejszy polski duch i najmędrszy rachunek polskiego sumienia. Bóg daje takich ludzi; a ludzie nie chcą ich rozumieć i słuchać nie chcą, przez wieki potem żałują w goryczy serca i w zgryzocie.

„My naprawdę zrozumieliśmy Skargę dopiero po spełnieniu się jego przepowiedni, po rozbiorach; ale też dziś wiemy, że on stoi w pierwszym rzędzie między tymi, co nam dobrze chcieli i dobrze radzili na chwałę Boga, na chwałę i dobro Polski.

„Czcimy jego postać, czcimy jego pamięć, chcemy uczcić tę trzechsetną rocznicę jego śmierci.

„Dobrze robimy. Obchodziliśmy pamiątkę wiedeńskiego zwycięstwa, pamiątkę Trzeciego Maja, pamiątkę Grunwaldu. Należy się obchód i Skardze. Inny charakter tego obchodu. Królowie zwyciężali nieprzyjaciół. W ich pamiątce było jakieś uczucie radości tryumfu. Skarga nie odniósł zwycięstwa nad nami, nad „temi chorobami, z których moglibyście się leczyć, byleście chcieli". Jego

rocznica wywołuje uczucie smutne, żałosne, że wszystko, co się na ziemiach polskich dzieje, daje nam czuć coraz żywiej prawdę jego słów, wyrzut polskiego sumienia za ubiegłe wieki i za własne dzisiejsze winy.

„Nie mniej dlatego, owszem dlatego tem więcej, powinniśmy obchodzić rocznicę śmierci Skargi. Powinniśmy oddać mu cześć, a zarazem w tę rocznicę, przy jego grobie, przyrzec jemu i sobie, że chcemy brać do serca i pamiętać jego nauki i leczyć się z tych chorób, które w sobie nosimy, jak nasi ojcowie, jego współcześni, z których jak oni, „leczyć się możemy bylebyśmy chcieli“.

Pamiętajmy, weźmy to do serca, że ten najwznioślejszy duch polski, duch miłości Ojczyzny, połączony jest nierozerwalnie i ściśle z duchem katolickim; że w tem połączeniu jeden i drugi przemawia do nas swoim najwyższym wyrazem. Uczy, przypomina, wbija w samą głębię serca, że te duchy rozdzielone nie są, że wierność katolickiemu Kościołowi jest dopiero doskonałością ducha polskiego, jego siłą żywotną, warunkiem i rękojmią jego przyszłości?

Związek ten rozrywają wszelkiemi siłami nieprzyjaciele obcy i swoi, liczniejsi i straszniejsi, jak za życia Skargi.

Przyrzeczmy jemu, przyrzeczmy sobie, przyrzeczmy Bogu, że tego związku zerwać nie damy, że go będziemy bronić ze wszystkich sił, aż do ostatniego tchu życia.

W tych uczuciach obchodzimy trzechsetną rocznicę śmierci Skargi. Obchodzimy ją wszędzie na ziemi polskiej, gdzie tylko możemy, ale przedewszystkiem tu, w tem mieście, w tym Krakowie, gdzie z ambony głosił wzywanie do pokuty i kazania sejmowe. Wszędzie dobrze, wszędzie potrzebnie, acz w Krakowie koniecznie.

Dzień obchodu, 27 września, dzień śmierci Skargi. Szczegółowy program będzie ogłoszony, jak będzie ustanowionym. Na dziś tylko to ogólne zawiadomienie“.

Odezwę powyższą podpisali, jako jedni z pierwszych: X. Biskup Anatol Nowak, Jego Eksc. Stanisław hr. Tarnowski, X. prałat Czesław Wądolny, X. infułat Krzemiński, X. kanonik Krupiński, wiceprezydent miasta Dr.

Henryk Szarski, X. kanonik Franciszek Starowiejski, Konstanty Popiel, Józef Dobrowolski.

Ks. Stojałowski a Stapiński.

Śmierć ks. Stojałowskiego nasuwa mimowolnie porównanie pomiędzy nim a Stapińskim. Obaj są bezsprzecznie największymi działaczami na niwie ludowej, lecz jak bardzo różnią się od siebie!

Ś. p. ks. Stojałowski pierwszy rozpoczął pracę około uświadomienia ludu i wywalczenia mu należnych praw i wpływu na sprawy publiczne, a każdy początek bywa trudny. Dla ks. Stojałowskiego był ten początek tem trudniejszy, że rozpoczął swoję pracę, w czasie, kiedy partya szlachecka panowała w kraju niepodzielnie i zazdrosnem okiem strzegła swego panowania. Więc, gdy ks. Stojałowski rozpoczął swoją pracę nad ludem, poczytano mu to niejako za zbrodnię.

Wiedział ks. Stojałowski, że wystąpieniem swojem poruszy gniazdo szerszeni, ale się nie uląkł, bo wielkie jego serce gorzało całą miłością Ojczyzny, miłością Kościoła i ludu i gotów na prześladowania, stanął do walki nieustraszony. Więc pismem i żywem słowem zaczął głośno wołać, że chłopu dzieje się krzywda, pismem i słowem wpajał ludowi, który dotąd nazywał sam siebie cesarskim, że nie jest cesarskim, lecz polskim.

Nie szczędził ni trudu, ni grosza, jeździł od powiatu do powiatu, zwołując wiece, na których pouczał chłopów o ich prawach, a i obowiązkach względem Kościoła, Ojczyzny i współobywateli wszystkich stanów. Bo on chciał budować, a nie burzyć, bo on w miliony serc chłopskich chciał wlać patryotyzm, poczucie ducha obywatelskiego, pogłębić wiarę i przywiązanie do Kościoła, słowem chciał z chłopa polskiego zrobić obywatela-Polaka.

Ale nietylko podjął on walkę z ciemnotą i nędzą stanu chłopskiego; nieumiejętność gospodarowania na zagonie ojczystym kazała mu szukać środków do podniesie-

nia ekonomicznego ludu. Dał więc pierwszy podwaliny do założenia u nas Towarzystwa Kółek rolniczych, które się tak chlubnie zapisało w historyi podniesienia ekonomicznego ludu wiejskiego — szerząc przeszło ćwierć wieku fachową oświatę i skupiając rzesze chłopskie do samopomocy.

Więc chociaż ś. p. Stojałowski jął się tak zbożnej pracy, choć na swoim sztandarze wypisał jako hasło: „Z szlachtą polską, polski lud!?“ poczytano mu pracę nad ludem za zbrodnię. Panujące wtenczas w kraju sfery w obawie, by niepodzielne panowanie nie wysunęło się z ich rąk, postanowiły za wszelką cenę pozbyć się Stojałowskiego i uczynić go dla siebie nieszkodliwym. Zaczęły się więc prześladowania tak ze strony władz duchownych jak i cywilnych. Pozbawiono go probostwa, więziono, ścigano żandarmami, obłożono nawet klątwą kościelną. Ale hardy duch ks. Stojałowskiego, któremu świecił wielki cel: uobywatelnienie ludu, nie ugiął się pod tymi ciosami, nie padł.

Nie mogąc w kraju — obrał siedzibę poza krajem i stamtąd kierował pracami swych przyjaciół — a kiedy oczyścił się wreszcie z zarzutów, którymi go całe lata czerniono, kiedy Rzym, uznał jego niewinność i zdjął z niego klątwę, wrócił do kraju, by dalej prowadzić swoje dzieło. Prawda, błądził nieraz ks. Stojałowski, ale postawmy się w położenie jego. Prześladowany i ścigany mógł popełnić niejeden czyn podyktowany mu zemstą osobistą i rozpaczą — bo przecie był człowiekiem — ale wnet po zastosowaniu cofał się z fałszywej ścieżki i stawał się napowrót sobą, to jest gorliwym katolikiem i Polakiem i obrońcą pokrzywdzonego ludu.

Mimo wysiłków wrogów, których mu nakoniec i w obozie ludowym przysporzono, nie stracił zaufania wśród ludu, który go posłem swym i do parlamentu i do Sejmu wybierał i jeżeli o kim, to o ks. Stojałowskim można było powiedzieć, że był posłem z woli ludu, bo nie popierał go nigdy ani rząd, ani pieniądze, lecz jedynie niefałszowana wola ludu.

Przy ostatnich wyborach przepadł, bo przeciw niemu wystąpiły do walki wszystkie możne czynniki, nie co-

fano się przed niczem, zgwałcono formalnie wolę ludu. Skołatany wreszcie tylu przeciwnościami, uległ ciężkiej chorobie i zmarł w nędzy prawie, ubogi, bo w pracy swej nie gonił za majątkiem ani za zaszczytami, chociaż mu je nieraz ofiarowano, by tylko zaprzestał swej pracy nad ludem — ale charakter to był żelazny, który do obranego celu szedł wytrwale, któremu przyświecała tylko jedna idea: oświecony i niezależny lud polski.

Jakże innym, jak mizernym wprost maluje się obok spiżowej postaci ks. Stojałowskiego — drugi wódz ludu, dzisiejszej doby — a wróg nieprzejednany ks. Stojałowskiego — Jan Stapiński.

Urodził się pod strzecha wieśniaczą, to też nic dziwnego, że odczuł upośle zenie ludu i także poświęcił swe życie pracy nad wyzwoleniem swych współbraci z ciemnoty, a głównie zależności politycznej. Wstąpił nie mając żadnego zajęcia, do redakcyi: *Przyjaciela ludu*, pisma radykalnego, przeznaczonego dla ludu, założonego przez Wysłoucha.

Wysłouch poznał się na zdolnościach agitatorskich Stapińskiego i używał go głównie do agitacyi po wsiach. Grunt był już przygotowany pracą ks. Stojałowskiego, umysły rozbudzone, więc praca szła mu gładziej, tem więcej, że w środkach nie przebierał. Bo kiedy ks. Stojałowski w pracy swej, przeciwieństwa stanowe starał się łagodzić, Stapiński przyjął metodę jątrzenia. Przedstawiał chłopom tylko krzywdy, które im się dzieją i pouczał ich o prawach, które im się należą — natomiast pominął zupełnie naukę o obowiązkach, które na nich ciążą, jako na Polakach i obywatelach kraju.

Rozbudził swoją działalnością polityczną samowiedzę chłopa — ale tylko jednostronnie, rozbudził jego poczucie narodowości polskiej — ale schlebiając — jak każdy agitator i demagog mason, pobudził najniższe instynkta i sprawił to, że wywołał nienawiść do wszystkiego, co nie chłopskie i uczynił z chłopów odrębną kastę, występującą wrogo przeciw innym stanom narodu.

Nadto pracował w *Przyjacielu ludu*, który przeszedł na jego własność, nad osłabieniem wiary u ludu, a uczynił to w ten sposób, że atakował i zohydzał duchowień-

stwo, które nie tylko nie chciało mu iść na rękę, ale zwalczało jego zdrożną działalność.

Znając dobrze przywiązanie ludu do Kościoła, maskował swoją bezbożną pracę i witał wiece i zgromadzenia chrześcijańskiem pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ — śmiejąc się w duchu, że tak tanim kosztem może wobec chłopów odgrywać rolę dobrego katolika, choć w piśmie swojem nieustannie głosił co innego.

Pracując tak niby nad uświadomieniem ludu, nie robił, ani nie zrobił nic dla jego ekonomicznego podniesienia, zostawiając tę pracę innym, zwykle prze siebie zwalczonym stronnictwom.

Nie z jego inicyatywy powstały Czytelnie, ani Kółka rolnicze, ani Kasy oszczędności i pożyczek, nie miał w tej pracy żadnego udziału, a jeżeli pojawiał się na ogólnych radach Kółek rolniczych, to tylko po to, aby bruździć i wywoływać niesnaski. A jak z początku swej działalności skorzystał z pracy ks. Stojałowskiego, tak obecnie chce skorzystać z pracy innych i Zarząd Kółek rolniczych wziąć pod swoją komendę.

Wpływ jego na lud, nie umiejący sprawy rozbierać krytycznie, rósł z każdym dniem i stał się dla partyi konserwatywnej bardzo niebezpiecznym. Nie minęły więc i Stapińskiego prześladowania, jakich doświadczył ks. Stojałowski; ale wobec rozmożonego ruchu ludowego i coraz większych mas, zapisujących się pod sztandar stronnictwa ludowego, nie pomogły ani prześladowania starostów, ani zakazy czytania *Przyjaciela ludu* z ambony, więc poczęto się liczyć ze Stapińskim i postanowiono w inny sposób uczynić go nieszkodliwym. Gdy przed pięciu laty z wyborów do parlamentu i Sejmu wyszło stronnictwo ludowe zwycięsko, wybierając pokaźną liczbę posłów ze Stapińskim na czele, stał się Stapiński ważnym czynnikiem politycznym, którego już nie można było lekceważyć, a ponieważ walka z nim była dość trudna, trzeba było na niego inny środek obmyśleć.

Stapiński rozpoczynając swoją karyerę agitatorską i dziennikarską, był człowiekiem biednym; — żył z tego, co mu przyniosły poselskie dyety i redakcya *Przyjaciela*

ludu — a nie było to zbyt wiele; Stapiński zaś potrzebował pieniędzy tak dla siebie, jak i na agitacyę, bo agitacya wymaga dużo pieniędzy. Założył więc Bank parcelacyjny. Z początku szły interesa dobrze, kupowano dobra, parcelowano nieraz z krzywdą parcelantów, *Przyjaciel ludu* miał mnóstwo ogłoszeń — pieniądze płynęły hojnie do kieszeni Stapińskiego, a wpływ jego i urok rósł coraz bardziej. Dostaje dalej koncesyę na założenie Towarzystwa asekuracyjnego i na Bank ludowy; za to falanga ludowców wstępuje do Koła polskiego — jest już kupiony. Zostaje wiceprezesem Koła, sięga nawet po ministerstwo.

Ale założony bez potrzebnego kapitału Bank parcelacyjny zaczyna się chwiać, następuje sromotne bankructwo, spowodowane lekkomyślną gospodarką, bo Stapiński umiał tylko burzyć a nie budować; pada strach na radę nadzorczą Banku, bo ta sprawa pachnie kratkami; na to właśnie czekał rząd i konserwatyści. Z jednej strony trzeba było ratować chłopów, którzy zawierzyli swoje oszczędności Bankowi — z drugiej była to sposobność nie lada dostać w swoje ręce Stapińskiego. Ówczesny minister Biliński daje dwa miliony i w ten sposób chroni chłopów od ruiny, a zarządców Banku parcelacyjnego od odpowiedzialności sądowej. I co się dzieje. Oto przy tegorocznych wyborach Stapiński i ludowcy występują jako partya rządowa, połączona przymierzem z konserwatystami; niedawni wrogowie połączyli się.

I ten sam Stapiński, który niedawno wołał, że czaszkami szlachty będzie brukował ulice, ten sam Stapiński pomaga im do pozyskania mandatów poselskich i odzyskania chwilowo utraconej przewagi i rządów niepodzielnych w kraju; ten sam Stapiński, który się zaklinał, że do roku 1910 reforma wyborcza sejmowa musi być uchwalona — dziś w przymierzu ze stańczykami robi co może, by tą reformę odwlec lub uczynić ją taką, aby i konserwatyści nic nie stracili, a on coś zyskał. Skądże ta zmiana? Stapiński stara się wmówić w swoich popleczników, że tak każe mu działać wyższa polityka, na której chłop się nie rozumie, ale ta wyższa poliyka polega na tem, że Stapiński musi dziś tańczyć tak, jak mu

zagrają konserwatyści, którzy w postaci hrabiów wstąpili do stronnictwa ludowców — a do tego dzisiejszy Stapiński jest syty.

Napełnił sobie kieszeń przy Banku parcelacyjnym, niesie mu też pewnie jakie takie dochody „Wisła“, do której Rady nadzorczej należy — pokrzepił się sprzedażą koncesyi na bank ludowy żydom, a do tego dyety poselskie — cóż mu więcej potrzeba Do uzupełnienia karyery chyba jeszcze pióropusza ministeryalnego. Tak więc dorobił się i znaczenia i pieniędzy — a wciąż głosi, że pracuje tylko dla ludu — i znajduje jeszcze tysiące takich, co mu ślepo wierzą.

Co za różnica między nim a zmarłym ks. Stojałowskim!

Jeden sterany w walce o dobro ludu, umiera w nędzy — drugi porósł w pierze, bo w pieniądz i zaszczyty — a dla czego?

Ks. Stojałowski pracował tylko dla idei i z Bogiem, więc praca jego była pożyteczna, Stapiński pracuje bez Boga, pracuje więcej dla siebie, jak dla idei, więc praca jego jest dla kraju i społeczeństwa szkodliwa.

Niepowodzenie masonów.

Jak wiadomo, w roku bież. upłynęło 50 lat od czasu utworzenia królestwa włoskiego i 40 lat od czasu zagrabienia Ojcu św. Piusowi IX., miasta Rzymu.

Z okazyi tych »jubileuszów« masoński rząd włoski zarządził na rok bież. rozległe przygotowania celem godnego »uczczenia« panowania królów włoskich nad papieskim Rzymem. Ogłoszono więc i zorganizowano wystawę powszechną, w Rzymie miał się odbyć liczny zjazd monarchów, projektowane były demonstracyjne obchody przeciwko »przywódcy klerykałów« Papieżowi i t. d. Tymczasem zapędy włoskiego rządu doznały wielkiego niepowodzenia.

Przedewszystkiem katolicy nie wzięli udziału w wystawie, ze zjazdów projektowanych też nic się nie urzeczy-

wistniło, albowiem katoliccy panujący, a nawet heretyccy, jak cesarz niemiecki Wilhelm, uchylili się od zaproszeń, z tej prostej przyczyny, że nie chcieli należeć do demonstracyi przeciwko Papieżowi.

Nadto Ojciec św. Pius X. ogłosił, że w tym roku żadnych urzędowych przyjęć nie będzie z powodu żałoby kościelnej, gdyż Papieże pozbawieni zostali dziedzictwa św. Piotra dzięki gwałtom rządu włoskiego.

Do przyczyn tych dołączyła się jeszcze jedna przyczyna, która działa nietylko na katolików — cholera.

Rząd włoski porozsyłał na cały świat hałaśliwe wiadomości telegraficzne, że cholery we Włoszech niema. Tymczasem cholera jest od maja i coraz więcej się rozszerza. Według obliczeń gazet zagranicznych w 18 prowincyach włoskich zachorowało na cholerę od 18-go czerwca do 26-go sierpnia roku bież. 14.500 ludzi, zmarło 6 tysięcy.

Wiadomości o cholerze, jak również opisy buntów cholerycznych. urządzanych przez ciemny motłoch przeciwko sanitaryuszom i lekarzom, napełniły trwogą tych, co przy warunkach sprzyjających nie omieszkaliby wziąć udziału w uroczystościach masoneryi włoskiej.

Tak więc masoneryę włoską spotkało fiasco czyli niepowodzenie, które wywołało wielkie rozgoryczenie w szeregach całego Wielkiego Wschodu wolnomularskiego. Tyle sobie obiecywano, tyle rojono planów, a tu nastąpiła zupełna — klapa.

Rozmaitości.

Automatyczna obsługa. W Ameryce znaleść można i restauracye z automatyczną obsługą. Wchodzący do restauracyi, siada przy stole, na którym znajduje się tabliczka i przybór do pisania. Gość wypisuje swoje życzenia, a tabliczka zapomocą elektryczności odbywa drogę do kuchni.

W chwilę później środek stołu przy pomocy odpowiedniej maszyneryi zapada się pod ziemię, siedzący po-

zostaje przy wąskim pasie zewnętrznym. Po ustawieniu potraw i napoi, środek stołu wraca automatycznie na dawne miejsce, z chwilą naciśnięcia odpowiedniego guzika obniża się znowu po drugie danie.

Rozwód wśród dzikich. Instytucya rozwodu jest znana nietylko wśród ludów cywilizowanych, znają ją i ludy dzikie. Małżonkowie z plemienia Bnduma, zamieszkujący Afrykę środkową, rozwodzą się nie rzadziej, niż stadła paryskie. Ma to plemię pewien kodeks rozwodowy. Jeżeli rozwodu żąda mąż, to musi zrzec się posagu, który dał żonie (małżonkowie tego plemienia) nie biorą posagu, lecz dają go swym żonom, chociaż to nie zasmuca zwykle rozwodzących się, gdyż po większej części zdążyli zawsze przed rozwodem przehulać posag żony.

Gdy rozwodu żąda żona, to w razie żądania bez „powodów prawnych“, musi wrócić mężowi podwójną wartość otrzymanego posagu. Jeżeli sama nie posiada tyle bogactwa, to nie może dopóty wyjść powtórnie za mąż, dopóki jej przyszły małżonek nie wypłaci całej należytości pierwszemu.

Jeżeli żądanie rozwodu było umotywowane „przyczynami słusznemi“, to wtedy żona nic nie płaci. Słuszne powody rozwodu, są następujące: gdy mąż bije żonę, nie ubiera jej i nie dba o jej potrzeby; niezgodność w pożyciu; zdrada jednej ze stron, jeżeli żona nie chce wykonywać robót domowych, gotować obiadu, dbać o wygodę męża i t. p. Zwyczaj wymaga, żeby przed rozwodem krewni obu stron, namawiali poważnionych małżonków do zgody, gdy te namowy nie odniosą skutku, wtedy rozwód następuje bez specyalnych ceremonii. W razie rozwodu dzieci bez względu na płeć pozostają przy ojcu.

Emigracya do Kanady. Ciekawe liczby dane co do tej emigracyi podaje M. Meuriot w paryskiem Towarzystwie statystycznem:

Kanada należącą obecnie do największych krajów zamorskich, do których przybywają emigranci, zaczęła dopiero od roku 1825 przyciągać europejskich przybyszów i z początku było ich bardzo niewiele; przyrost był stały z rok na rok. W roku 1871 liczono już jednakże 786 tysięcy emigrantów, z tego 87 tysięcy Niem-

ców. 8 tysięcy Fracuzów, 31 tysięcy Rosyan, 188.440 Amerykanów. Z tym też rokiem zaczyna się szybki bardzo przyrost emigracyi; gdy w roku 1871 liczono w Kanadzie ogółem 8 milionów 485 tysięcy mieszkańców, to spis ludności z roku 1901 wykazuje już 15 milionów 370 tysięcy.

Od roku 1901 do 1910 przybyło znowu 1 milion 485 tysięcy emigrantów, z czego tylko na rok 1910 przypada 288 tysięcy. Największa część przybyszów osiada na roli, tym ostatnim daje rząd bardzo dogodne warunki kupna ziemi. Za małem wynagrodzeniem dostaje kolonista koncesyę na 64 hektary, które po trzech latach stają się jego własnością, o ile kolonista przynajmniej przez 6 miesięcy stale przebywa w swej kolonii i 15 hektarów uprawia. Prócz tego mogą koloniści nabywać dalsze obszary ziemi do 64 hektarów w cenie 2 koron za ar. W ostatnim dziesięcioleciu wydał rząd około 700 tysięcy takich koncesyi.

Jakie ludzie w Austryi mają dochody? Na 29 milionów osób, z płacących w Austryi podatek osobisto-dochodowy jest 40 tysięcy takich, którzy fasyonują swój dochód wyżej 10 tysięcy koron rocznie. Takich, którzy mają 10 do 12 tysięcy rocznego dochodu jest 5.212, 19 do 20 tysięcy rocznego dochodu ma 1.317 mieszkańców, 20 do 22 tysięcy 1.738 osób. Dochód pomiędzy 38 tysiącami a 40 tysiącami koron fasyonuje 529 osób.

W następnym stopniu (40 do 44 tysięcy koron) jest ich więcej, bo 643. Odtąd cyfra maleje. 92 do 96 tysięcy dochód posiada w Austryi tylko 72 obywateli, 84 zaś osób przyznaje się, że mają dochodu od 100 do 104 tysięcy koron. Takich, którzy mają dochodu ponad 200 tysięcy koron jest ogółem 455.

Liczba żydów w Czechach zmniejszyła się znacznie — jak to pokazał ostatni spis ludności. W roku 1900 było żydów w Czechach 92 tysiące 806, a w roku 1910 jest tylko 85 tysięcy 599. Nie mają żydzi co robić w Czechach, bo naród tam oświecony, a gdzie oświata, tam dla żydów niema interesu, bo nie mają kogo oszukiwać.

WIGILIA NA SYBIRZE.

(Opowiadanie powstańca).

Porankiewicz chrząknął raz jeden i drugi, chrząknął wreszcie i trzeci i przytrzymując jedną ręką drzwi, drugą zaś wyrażając nam wszystkim atencyę głęboką, wyrzekł uroczyście.

— Kolacya gotowa, proszę do stołu!

Widok, który nam się po wejściu okazał, był tak niespodziewany, że, wszedłszy, stanęliśmy, jak wryci. Przy ścianie wewnętrznej pokoju stał stół niemały, przykryciem białem, jak należy nakryty, przykryciem, przez którego dziury wyglądało siano, na stole leżące. Stół był oświetlony dwiema świecami, w lichtarze blaszane dobrze pogięte, wetkniętemi; na jednym końcu stołu umieszczona została wielka miska z przyjemnie i wonnie dymiącą kupą ładnie podrumienionych »oładi« (coś w rodzaju naszych racuszków, tylko z przaśnego masła), na drugim końcu znajdowała się miska z »pępkami«, octem i pieprzem przyprawionymi, około miski leżał chleb i stał gąsiorek, naczyniem drobniejszem, a różnorodnem otoczony.

Na samym zaś środku, na jedynym, niegdyś białym, a dziś zżółkłym i poszczerbionym talerzu leżały okruszyny z przysłanego mi opłatka.

Ani przykrycia białego, ani siana ani opłatka nikt się nie spodziewał; więc też wrażenie, wywołane tylu niespodzianymi przyborami, było potężne. Porankiewicz, wysoce zadowolony z efektu, wysunął się teraz naprzód i, zbliżywszy do stołu, wziął ostrożnie talerz z opłatkiem i prostując się, aż mu w krzyżach zatrzeszczało, chrząknął, usta otworzył i gdy wszyscy z najwyższą ciekawością oczekiwali całej oracyi, wyrzekł drżącym głosem słów czworo:

— Panowie! Opłatek wprost z Warszawy...

I Złotousty nie przemówiłby silniej.

Już bowiem niecierpliwsi zbliżali się do stołu, już ponętny zapach »oładi« górować zaczynał nad powagą chwili niedawnej, ale gdy słów tych czworo rozległo się w pokoju, cisza zapanowała grobowa, jakoś mimowoli wyciągnęli się wszyscy w szereg jeden, i tylko głów pięcioro zwróciło się ku talerzowi.

Porankiewicz wyprostował się znowu.

— Hm, hm¡ Panowie! Świętość taka...

— Poświęcony? — radosnym podziwem przerwał lękliwie Bartłomiej.

— Spodziewam się! innegoby nie przysłali — z głębokim przeświadczeniem odparł Porankiewicz. — Ale ciągnął dalej — hm, to jest chciałem powiedzieć, gdy jest świętość taka, więc się podzielimy?

— Podzielimy! a juści podzielimy! — ust pięcioro wyrzekło, jakby jedne usta.

Porankiewicz zrobił nowe usiłowanie, aby stanąć prościej...

— Gdy zaś, to jest, chciałem powiedzieć, nie ubliżają kochanemu panu Babińskiemu — i skłonił się mu uniżenie — wszyscyśmy w tych oto pałacach niby gospodarze, więc spodziewam się, to jest myślę, najlepiej będzie, jeżeli pan, jako gość, nas wszystkich obejdzie...

I ponsowy cały, spocony, jak po pracy największej, oddał mi talerz z ukłonem.

Wziąłem talerz i zbliżyłem się do Babińskiego.

I teraz dopiero, gdy mi samemu mówić wypadło, zrozumiałem, jakiego wysiłku potrzebował mój poprzednik dla swych oracyi króciutkich; ręce moje trzęsły się, usta zamknęły zupełnie. Babiński zbladł, aż zbielał, a gdym podszedł do niego bliżej, surowa twarz jego zjawiła się przedemną, nieruchoma, jak z marmuru wykuta, i gdyby nie to, że powieki zalatały mu zawzięcie, myślałbym, że to trup, nie zaś żywy człowiek, stoi przedemną. Zbierał długo okruszyny, ale te wypadały mu ustawicznie, i wątpię, czy wziął choćby jedną...

Z innymi było toż samo.

Porankiewicz, jako człowiek miększego serca, pierwszy zaszlochał, jak dziecko i, choć Bartłomiej, stojący za nim,

krzepił go szturchaniem i ujmował prośbami rzewnemi: »Cichoj, bracia, cichoj, bo ryknę, jak baran!« nic to jednak nie pomagało. Więc też, kiedym podszedł do Bartłomieja, siły już go opadły: nisko schylił swą głowę osiwiałą i wyciągając rękę po opłatek, zaczął głośno, powoli:

— W imię Ojca... i Syna... i Świentygo... i Świentygo — powtórzył ciszej... i... ryknął głosem wielkim...

A. S.

POLSKI OPŁATEK.

Chlebem pokoju niech was Bóg obdarza,
Niech śpieszy serca naszego zadatek,
Ten — u polskiego święcony ołtarza —
Polski opłatek!

Chlebem pamięci niech was Bóg obsyła,
Weźcie zbóż naszych ten śnieżysty płatek,
Nad nim już gwiazda ojczysta świeciła —
Polski opłatek!

Chleba wytrwania niech wam Bóg nie skąpi,
Z nim zapał ojców i hart naszych matek
Niech w serca wasze, w progi wasze zstąpi —
Polski opłatek!

Chlebem miłości niech was Bóg bogaci,
Tę miłość siejcie w sercach waszych dziatek,
Wieść o niej niesie od dalekiej braci —
Polski opłatek!

Boże Narodzenie w Anglii.

Jak we wszystkich krajach północnych o długiej i ciężkiej zimie o ponurem niebie, tak i w Anglii dzień Bożego

Narodzenia ma większe znaczenie, aniżeli jakiekolwiek inne święto religijne.

Betlejemska gwiazda jest tam pierwszą zapowiedzią odrodzenia w naturze, przepowiednią wiosny. Oczekują tego święta wszystkie stany, bo przerywa ono jednostajnie, a ciężkie życie jednych, nową zaś radość przynosi szczęśliwym. Dzień ten, to era w społecznem życiu Anglików, i nie Nowy Rok, jak w sąsiedniej Francyi, ale Boże Narodzenie (»Christmas«) jest u Anglików osią, około której się ich życie obraca.

Uciecha, to główny rys tego święta. Naród angielski, który niezaprzeczenie jest religijnym i który szczerze przywiązany jest do swego Kościoła, nie obchodzi świąt Bożego Narodzenia żadnemi wyjątkowemi ceremoniami.

W protestanckich kościołach Anglii, niema Mszy pasterskiej, która tak pięknie wyobraża wyłonienie się ludzkości z ciemnych pogaństwa mroków na jasne drogi chrześcijaństwa. Nabożeństwo jest zwykłe, niedzielne i można na niem zauważyć mniej nawet parafian, niż w niedzielę, a to z powodu wyjątkowych przygotowań do biesiad.

Aby jednak święto miało także znamię religijne, chłopcy, co śpiewają w chórach kościelnych, przychodzą wieczorami na ganek domów bogatych parafian i śpiewają »kolendy« — za co otrzymują poczęstunek.

Niema w Anglii naszej uczty wigilijnej, ani łamania się opłatkiem, za to coraz więcej rozpowszechnia się zwyczaj stawiania choinek i przybierania ich świeczkami i różnymi podarunkami. Dzieje się to jednak nie w dzień wigilijny — ale w dzień Bożego Narodzenia. W ten też dzień, każdy dom, nawet najuboższy, ukazuje się przystrojony zielenią i kwiatami.

Najważniejszą jednak rzeczą jest u Anglików uczta »Christmasu«. Już na kilka dni przed Bożem Narodzeniem sklepy angielskie przepełnione są indykami, tucznemi gęsiami i olbrzymiemi ćwierciami wołowiny. Najuboższe nawet rodziny przygotowują sobie na ten dzień obiad wyjątkowy. Są rodziny robotnicze, które co sobotę przez sześć miesięcy składają po kilka miedziaków do klubu, który im kupuje indyka, gęś lub polędwicę.

Ci, których i na to nie stać, wiedzą, że zapomniani nie będą przez ludzi zamożniejszych. Jest to jasną i piękną stroną »Christmasu«, że daje pochop do miłosierdzia i brata jedne stany z drugiemi.

Głoszą stare kroniki, że ongi lordowie (magnaci) angielscy biesiadowali pospołu ze swymi włościanami, że całe woły pieczono na ogniskach zamkowych, że płynęły strugi piwa. Obecnieł ączność i zgoda różnych sfer społeczeństwa objawia się w inny sposób. Każda rodzina zamożniejsza ma swoich znajomych ubogich, rozdaje im w tym dniu kołdry i węgle, różne artykuły spożywcze i wyprawia obiad świąteczny. W każdej dzielnicy, w każdej parafii, komitety miejscowe urządzają składkowe bankiety dla biedactwa i całe tłumy zasiadają za tymi dobroczynnymi stołami.

Gdy zamożni i szczęśliwi gromadzą się u swoich własnych ognisk, przynoszą z sobą świadomość spełnionego społecznego obowiązku. Jeżeli przekraczają umiarkowanie w jedzeniu i piciu, nie można sądzić ich z surowością nieubłaganą. Żaden obiad »Christmasu« nie może się odbyć bez sążnistej polędwicy i potężnego indyka, a uwieńczeniem obiadu jest »plum-pudding». Jest to ciężka i niestrawna mieszanina tłuszczu, mąki, rodzynków, owoców i t. d. Bywa ona przygotowana zawczasu pod dyrekcyą pani domu i każdy członek rodziny zawezwany bywa do pomięszania łyżką składowych części »plum-puddingu», ma to zabezpieczyć mu szczęście na rok następny. W końcu wrzucane bywają w tę mieszaninę monety, pierścionki i t. d., które stają się własnością wybrańców fortuny. Gdy stawiany jest przed panem domu »plum-pudding«, zapala on uroczyście spirytus, w którym się kąpie i po jego wypaleniu spożywany bywa bez wyjątku przez każdego z obecnych.

Zwyczaj idący obecnie w zapomnienie gromadził rodzinę, starszych i młodszych, po obiedzie w ciemnym pokoju, oświeconym jedynie przez wielką czarę płonącego punczu. Wrzucone do tego krateru monety i klejnoty były łowione wśród płomieni przez zuchwalszych i chciwych.

Ponieważ w ten dzień drugiego święta, wszystkie biura i sklepy są zamknięte, ale szynki stoją otworem, zatem warstwy niższe, zaopatrzone w świeżo otrzymane pie-

niądze, hulają, i miasto nie wygląda pociągająco. Wieczorem wszystkie teatry grają w natłoczonych salach pantominy, to jest rodzaj czarodziejskich sztuk.

Oto »Christmas« angielski taki, jaki był, jaki jest i jaki będzie prawdopodobnie na długie jeszcze pokolenia.

Sokrates o pracy.

Mędrzec grecki Sokrates (żył od roku 470 do 399 przed Chrystusem), spostrzegł razu pewnego, że Arystarch, jeden z jego przyjaciół, nadzwyczaj skłopotane miał oblicze.

— Kochany przyjacielu — mówił do niego Sokrates — zdaje mi się, że ci coś dolega, a co nas dręczy, zwykle przyjaciołom powierzać powinniśmy. Być może, że oni nam pomogą do ulżenia ciężaru.

— O, tak, drogi Sokratesie! — odparł Arystarch — znajduję się w wielce kłopotliwem położeniu. Wiesz, że skutkiem obecnego powstania, wielu obywateli zmuszonych było uciekać do Pireus, zjechało się też do mnie rodzeństwo tak licznie, że nie rachując niewolników, jest u nas w domu osób czternaście.

Posiadłości ziemskie wcale nie procentują, bo je przeciwna partya zagarnęła przemocą; z domu również nie ma dochodu, bo się wszyscy z miasta wynieśli; sprzedać mebli i sprzętów nie można; pożyczki zaciągnąć niepodobna; liczyć trzeba chyba na jakąś nadzwyczajną pomoc, czy też na znalezienie pieniędzy na ulicy.

Łatwo więc pojmiesz, że w takim stanie, widząc zwłaszcza łaknących krewnych, ból serce ściska, a jeszcze mi boleśniej, gdy pomyślę, że niema środka wyżywienia ich wszystkich, jak należy.

Sokrates słuchał, nic nie mówiąc, aż wreszcie odezwał się:

— Powiedz mi, mój przyjacielu, czemu się to dzieje, że Ceramon, który równie sporo ludzi miał do wyżywienia, nietylko zaspokoił potrzeby życia, ale nadto odłożył jeszcze tyle, że się stał bogatym, a ty tymczasem, dla

braku odpowiednich środków, zagrożony jesteś wraz ze swoimi krewnymi, głodową śmiercią?...

— O, na to bardzo łatwa odpowiedź — rzekł Arystarch — on ma niewolników, ja przeciwnie, wolnych ludzi do żywienia.

— Komuż więc tedy przyznajesz przywileje człowiecze, czy twoim wolnym ludziom, czy niewolnikom Ceramona?

— Bardzo naturalnie, moim wolnym ludziom.

— Czyliż to nie hańba, że on przy pomocy owych nieludzi stał się bogatym, a ty z wolnymi ludźmi masz głód i nędzę?

— Ba, nic dziwnego, jego niewolnicy są rzemieślnikami, moi wolni, ludźmi wyższych pojęć.

— Ażaliż artyści i rzemieślnicy nie są to ludzie, którzy coś pożytecznego zdziałać potrafią?

— Bez wątpienia.

— A krupy owsiane naprzykład, czy należą do pożytecznych rzeczy?

— Najzupełniej.

— I chleb także?

— Ma się rozumieć.

— A części ubrania dla obu płci, jak spodnie, surduty, chustki?

— Rzeczy istotnie pożyteczne.

— Więc tedy, czy twoi wolni ludzie znają się na tem wszystkiem i potrafią to zrobić?

— Tak sądzę.

— Alboż nie wiesz o tem, że Stauficydes z jednej tylko podobnej roboty, mianowicie przygotowując krupy, nietylko siebie i swoich żywił, ale karmił jeszcze trzodę chlewną i woły, nadto tyle złożył, że jest w stanie przyjść z pomocą pieniężną krajowi? Że Civibos z piekarni utrzymuje cały dom i żyje na wysoką skalę? Że Demebos i Colyttos zajmując się sporządzaniem wierzchnich ubrań, również żyją wygodnie, tak, jak Menon ze szycia surdutów, a większa część Megarensów z napierśników?

— Wierzę temu. Oni mają kupnych barbarzyńców, którzy mogą być przymuszonymi do roboty. Moi zaś ludzie, przeciwnie, urodzili się wolnymi i są mi kuzynami.

— Więc mniemasz, że ponieważ są oni ludźmi wolnymi i twoimi kuzynami, mogą nic więcej, jak tylko jeść i spać? — Albo też sądzisz, że inni wolni ludzie, którzy to czynią, lepszymi są i szczęśliwszy los mają, niż ci, którzy posiadają proceder i zajmują się nim? Albo uważasz, że ospałość i lenistwo, jak równie zaniedbanie nabycia pożytecznych wiadomości przyczynia się do umocnienia zdrowia, daje siłę i zdolności zdobycia potrzebnych środków do zaspokojenia potrzeb, i że pracowitość i pilność nie ma najmniejszego znaczenia w życiu człowieka? Albo, że oni, wedle twoich własnych twierdzeń, wyuczyli się tego wszystkiego w przekonaniu, że się to na nic nie przyda, że nie zrobią z tego żadnego użytku? Kto wreszcie prędzej przywyka do życia moralnego i porządku? czy leniuch, czy ten, który się czemś pożytecznem zajmuje? Kto sumienniej wykonywa obowiązki sprawiedliwości, pilny i pracowity, czy próżniak? Kto bojaźliwiej, z większym przestrachem myśli o koniecznych, niezbędnych potrzebach życia i bardziej waha się przy wyborze środków? Jeżeli w tym znajdziecie się do siebie stosunku, to wierz mi, ani ty dla nich nie jesteś bardzo życzliwym, ani oni dla ciebie. Ty dla nich dlatego, ponieważ myślisz, że cię wystawiają na koszta, że narazili cię na wydatki, oni zaś dlatego, że nie czują, iż są dla ciebie ciężarem.

Wskutek tego coraz bardziej oddalacie się od siebie, stajecie się obcymi i staracie się zapominać o wzajemnych usługach, o wdzięczności za już wyświadczone dobrodziejstwa. Przeciwnie zaś, gdy wprowadzisz ich w czynne życie, zyskasz na życzliwości, przekonasz się bowiem, że są dla ciebie użyteczni, a oni wzajemnie pokochają cię, bo będą wiedzieli, że praca ich i postępki sprawiają ci przyjemność.

Wówczas z ukontentowaniem przypominane zostaną dawne dobrodziejstwa, uczucie wdzięczności będzie żywsze, a zatem i stosunki wzajemne będą przyjacielskie, pełne zaufania.

Nie nastawaj na nich, aby zajęli się nieodpowiednim procederem, ale pobudź ich tylko do pracy, wskaż im drogę, a ręczę ci, że się wezmą do tego, co dla nich stosowne, z największą ochotą.

— Rzeczywiście — odpowiada Arystarch — to wszystko, coś mi mówił, wielce mi się podoba. Aż dotąd nie miałem odwagi pożyczyć pieniędzy, wiedziałem, że nie będę w stanie ich oddać. Teraz zaś obudziłeś we mnie otuchę i najlepsze chęci, wezmę się więc do dzieła.

Jakoż kupił, co było potrzeba i urządził, jak należało. Pracując, śniadano wesoło. Po ukończeniu pracy z równą wesołością i przyjemnością siadano do obiadu. Niedawno smutne twarze, rozjaśniał uśmiech zadowolenia i szczęścia. Nikt ukośnem nie rzucał okiem, ale wszyscy śmiało patrzyli sobie w oczy. Pokochali go, jako doradcę i przyjaciela, on zaś jako pożytecznych domowników.

Wkrótce też Arystarch odwiedził znowu Sokratesa, żeby mu o wszystkiem opowiedzieć, a był wesół i w najlepszym uspobieniu ducha.

Po krótkiej jednak opowieści, Arystarch rzecze:

Jedno mnie tylko martwi, że mi wszyscy mogą czynić wyrzuty, że ja jeden tylko z całego domu jem bez pracy.

Na to Sokrates:

— No, no, i na to jest sposób, oto opowiedz im bajkę o psie. Posłuchaj! Kiedy zwierzęta obdarzone jeszcze były mową, rzekła razu jednego owca do pasterza:

— Dziwna to naprawdę rzecz, że my dajemy ci swoją wełnę, jagniątka i dostarczamy sera, a ty nam nic nie dajesz i żywić się musimy tem, co znajdziemy na wygonie. Przeciwnie zaś psu, z którego nie masz najmniejszej korzyści, udzielasz pokarmów, które sam pożywasz i prawie się z nim dzielisz ostatnim kawałkiem chleba.

— Bo tak być powinno — przerwał pies, słuchający opowiadania. — Ja właśnie strzegę was, ja was bronię od złodziei i drapieżnych wilków. Gdybym nad wami we dnie i w nocy nie czuwał, trwoga i śmiertelna obawa nie pozwoliłyby wam żyć spokojnie.

Owce przyznały słuszność dzielnemu psu i nie spierały się więcej o przywileje, jakich używał.

Otóż tedy powiedz swojemu krewnemu, że jak ów pies w bajce, tak i ty jesteś ich stróżem i obrońcą. Tobie właśnie zawdzięczają oni, że ich nikt nie prześla-

duje i nie niepokoi, mogą więc bezpiecznie zajmować się pracą.

Arystarch odszedł zadowolony.

Pierwsze lata kolei żelaznych.

Niema pewnie dla nikogo wątpliwości, że największym wynalazkiem technicznym XIX. stulecia jest kolej żelazna, która w krótkim czasie tak się po powierzchni ziemi upowszechniła, i takiego w stosunkach ludzi i narodów do siebie dokonała przewrotu, że dziś nie można sobie nawet wyobrazić, by ludzkość mogła bez niej egzystować.

Co prawda pomysł poruszenia wozów po drogach dla ułatwienia komunikacyi, stosownie wyżłobionych, a zatem zaopatrzonych w koleje, w pierwotnem tego słowa znaczeniu, nie jest bynajmniej nowym, bo już Grecy i Rzymianie używali dróg, zaopatrzonych w stosowne dla kół rowki do przewożenia wielkich ciężarów. W angielskich kopalniach posługiwano się oddawna belkami drewnianemi, po których toczono wózki do przewożenia odłamków węgla lub rudy żelaznej przeznaczone. Dopiero jednak Anglik Stephenson wpadł na myśl zastąpienia belek szynami żelaznemi, a siły koni ruchomą maszyną parową.

W ten sposób powstała kolej żelazna w naszem teraz rozumieniu.

Pierwsza na kuli ziemskiej była kolej żelazna ze Stocktonu do Darlingtonu w Anglii, mająca 6 mil angielskich, czyli około 10 kilometrów długości, oddana do użytku publicznego 25 września 1825. Po niej zbudowano i otwarto w dniu 15 września 1830 kolej z Liwerpoolu do Manchestru. W 10 lat potem były już wszystkie większe miasta angielskie połączone sobą koleją żelazną.

Na stałym lądzie europejskim pierwszym krajem, który dostał kolej żelazną, była Belgia; która zbudowała kolej żelazną z Brukseli do Mechlina w roku 1835.

W Niemczech zbudowano w kilka miesięcy później i oddano do użytku publicznego dnia 7 grudnia 1835, kolej z Norymbergii do Fürth. Dopiero w dwa lata potem

zbudowano kolej żelazną z Lipska do Althen, a w roku 1838 połączono Poczdam z Zehlendorfem pod Berlinem. W Austryi pierwszą była oddana do użytku w roku 1836 kolej z Wiednia do Berna morawskiego. Z miast polskich pierwszy otrzymał, jeżeli się nie mylimy, kolej żelazną Kraków za czasów jeszcze swej samodzielności politycznej.

Były to jednak koleje żelazne zupełnie prawie odmienne od dzisiejszych, koleje, których widok wznieciłby w nas tylko uśmiech politowania. Dosyć powiedzieć, że wymienioną powyżej pierwszą w Anglii kolej żelazną urządzono pierwotnie do ruchu za pomocą koni, i dopiero po roku odważono się do przyprzągnięcia do pociągu lokomotywy, która poruszała pociąg z niebywałą dotychczas chyżością 10 kilometrów na godzinę.

Z początku nie chciano się odważyć na jazdę koleją żelazną nocą, a gdy z przyczyny krótkości dnia w zimie trzeba było koniecznie choć części zarwać do jazdy koleją żelazną, to odprzęgano od pociągu za nastaniem zmierzchu lokomotywę, a przyprzęgano konie, które wydawały się pewniejszemi od lokomotywy. Jeszcze w roku 1842 były takie koleje w Niemczech z pociągami z lokomotywą za dnia, z końmi w nocy.

Stosownie do tego stanu rzeczy i wagony dla pasażerów były bardzo pierwotne. W ogólności nie było z początku różnicy między pociągami towarowymi, a osobowymi. Osoby ładowano poprostu na wagony odkryte lub, co najwięcej, w dach zaopatrzone. Dlatego ludzie zamożni uprzyjemniali sobie podróż koleją żelazną w ten sposób, że je chali własnymi powozami, umieszczonymi na wagonach takich, jakich się używa teraz do przewozu węgla lub drzewa, zwykli pasażerowie jechali nieraz wśród pak, napełnionych towarami.

Bardzo ciekawą jest opinia o kolejach żelaznych jednego z niemieckich Towarzystw lekarskich, które oświadczyło się przeciw używaniu przez ludzi kolei żelaznych, twierdząc, że szybka jazda (ówczesna?) szkodzić bardzo będzie zdrowiu przez trzęsienie, a szybkie miganie się przed oczami przedmiotów, znajdujących się koło toru, wywoływać może choroby umysłowe! A dziś! Rozwój kolei żelaznych na całej prawie kuli ziemskiej przeszedł naj-

bujniejszą wyobraźnię wynalazcy i doszedł do stopnia, który stanowi prawdziwą chlubę naszych czasów, a przecież nie można wątpić, że koleje żelazne nie zatrzymają się w dzisiejszym stanie, — lecz będą rozwijać się i doskonalić dalej.

Kopalnia przedhistoryczna.

Nadzwyczajne odkrycie zrobiono w górach Aramo, położonych w północnej Hiszpanii. Góry te tworzące odnogę północną wielkich, nadbrzeżnych gór kantabryjskich, leżą na południe od starożytnego miasta Oviedo, w prowincyi astyryjskiej. Istnieją tam pokłady miedzi i kobaltu (rzadkiego metalu, znajdującego się razem z miedzią, żelazem i manganem; kobaltu używają do wyrabiania farb, szczególnie niebieskiej), przy których wydobywaniu pracowali już ludzie w czasach przedhistorycznych. Ze zbocza gór prowadzą prostopadłe szyby w głąb ziemi na kilka metrów głęboko do znajdujących się w podziemiu poziomych ganków.

Wewnątrz tej kopalni znaleziono dobrze jeszcze zachowane kości ludzkie, oprócz tego różne narzędzia z kamienia, kości i rogu. Wydobyte kości należą do szesnastu szkieletów, z których dwa można było zupełnie zestawić. Wśród narzędzi znaleziono młotki różnej wielkości, śpiczaka, dłuta kamienne i rogowe, służące do łamania kamieni.

Oprócz kości i narzędzi znaleziono także pewną ilość monet, drążki, które prawdopodobnie służyły do podtrzymywania pochodni, jak również gałęzie, które owinięte w skórę i napojone tłuszczem i żywicą, jako pochodnie służyły. Z innych znalezionych drobniejszych rzeczy wymienić jeszcze należy naczynie, dziwacznie z łupiny orzecha (wielkiego gatunku) wyrobione, kilka zwykłych naczyń z drzewa i jeden nóż wyrobiony z kości. Wszystkie znalezione rzeczy wskazują, na jak wielkim poziomie kulturalnym ówcześni mieszkańcy tych okolic, znajdować się musieli. Niektóre młotki posiadają wagę około 20 funtów, z tego, jak

również z wielkości szkieletów, można wnioskować, że ówcześni górnicy musieli być ludźmi ogromnej siły.

Wszyscy ci ludzie, wnioskując z postawy szkieletów, nagłą śmiercią przy pracy zostali zaskoczeni. U niejednego wydaje się, jakoby w ręku trzymał jeszcze młotek lub inne narzędzie. Ludzie ci prawdopodobnie zostali przez ziemię zawaleni i zginęli z powodu braku powietrza.

Praca w tych podziemiach musiała być straszną, ponieważ ganki wykuwane w kamieniu są tak ciasne, że człowiek średniej wielkości z biedą się przez nie zdoła przecisnąć.

Co do pracy samej, da się niejedno jeszcze nadmienić I tak młotków używano niektórych z trzonkiem, inne bez trzonka, trzymając go w gołej ręce. Niektóre trzymano w ręce za pomocą rzemienia. Spiczaki były wyrobione z rogów zwierzęcia, jakie w dzisiejszej Hiszpanii już nie istnieje. Pochodnie przyczepiano do ścian za pomocą gliny. Niektóre ganki miały taką spadzistość, że robotnicy musieli się wciągać pod górę za pomocą rzemieni. Glina, znaleziona w kopalni, wskazuje dzisiaj jeszcze tysiące odcisków od palców.

Pismo »Echo des Mines«, które o tem dziwnem odkryciu donosi, nie umie używania wydobywanych kruszców przez ówczesnych mieszkańców wytłomaczyć, w każdym razie nie umiano jeszcze kruszców użytkować do wyrabiania narzędzi, inaczej nie posługiwanoby się narzędziami kamiennemi lub rogowemi.

TO I OWO.

Piaski muzykalne.

Jest to zjawiskiem znanem, że w miejcowościach, gdzie ziemia pokryta jest warstwami mniej lub więcej grubemi piasku suchego i drobnego, piasek ten pod wpływem wiatru, który przesuwa jego wierzchnie pokłady, wydaje dźwięki muzykalne, niekiedy bardzo wyraźne.

Zauważono nieraz w Egipcie w okolicy Tor, szczególnie u stóp góry Synai, strumienie grające piasku, który

oddziela wielką świątynię Abu-Simbel od małej świątyni poświęconej królowej Nefertari. Grunt jest bardzo pochyły w tem miejscu. Spuszczając się z góry na dół piasek lotny, wywołuje falowanie połączone z pewnym dźwiękiem podobnym do tego, który wydaje oddalający się pociąg. Dźwięk ten trwa nawet kilka minut.

W jaki sposób drobne uderzenia części piasków, wprawionych w ruch, mogą wzbudzać hałas tak głośny i dziwny? Czy w skałach pod piaskiem są wydrążenia zdolne powiększyć swym odgłosem siłę dźwięku? Pewien uczony stawia to pytanie, nie dając na nie odpowiedzi. Rzeczywiście dotychczas nikt nie rozwiązał tego zagadnienia w zadawalniający sposów.

Liczba gwiazd widzialnych.

Liczba gwiazd, które, przy pomocy najlepszych teleskopów i najlepszych fotografij można widzieć, podawana jest na 100 milionów. Według nowego obliczenia astronoma Gorego cyfra ta winna być uważana za prawdziwą.

Gore obliczył gwiazdy na mapach fotograficznych nieba, wykonanych przez dra Robertsa, i przekonał się, że na jednym stopniu kwadratowym drogi mlecznej można widzieć przecięciowo 4 tysiące 137 gwiazd, zaś tylko 1.782 w strefie sąsiadującej z tą drogą. Gore, porównywując te obliczenia z dawniejszem, przez profesora Pickeringa dokonanem, otrzymał cyfrę 64 milionów 184 tysiące 757 gwiazd widzialnych.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.